



DZIECI SZCZĘŚCIA.

DZIECI SZCZĘŚCIA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Waleryę Marrené

— 308 —

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTAŁA.

- *Norwy-Świat* Nr. 41.



Дозволено цензурою.
Варшава, 23 Декабря 1891 года.

2160



Zegar stojący na kominku wydzwonił już dawno dziesiątą godzinę, gdy panna Marcela Sawińska wyszła ze swego sypialnego pokoju. Płeć przezroczysta i delikatnie zabarwione policzki świadczyły o długim, spokojnym śnie, oczy spoglądały swobodnie i wśród jasnej twarzy błyszczały pogodą, jak dwa słońca. Czoło, skronie, powieki miały perłowe odbłyski, zdobiące niekiedy w młodości pleć jasnych blondynek.

Pomimo wczesnej godziny, panna Marcela była ubraną wykwiłtnie. Miała na sobie blado-niebieską kaszmirową *matinée*, oszytą mnóstwem koronek. Był to strój, w którym przyjąć mogła poufałych gości, ale, który świadczył zarazem, że nie ciążyły na niej żadne obowiązki, przypadające zwykle pani domu, że rano nie zajmowała się ani spiżarnią, ani porządkiem domowym, ani nawet kwiatami, zapelniającymi żardinierki w buduarze, do którego weszła, i w wielkim przyległym salonie.

Bo też Marcela nie potrzebowała trudzić się w podobny sposób. Dwóch lokajów od rana przyprowa-

działo apartament do należytego porządku, kwiaty odmieniał co tydzień ogrodnik, gospodyni miała pod swém zawiadywaniem kuchnię i szpizarnię. Marcela co najwyżej odbywała z nią konferencyę wieczorem, w czasie gdy panna służąca układała jęj na noc włosy, bo musiała przecież zawiadomić ją z góry, czy nazajutrz zaproszono parę osób na obiad, czy też miała zasiąść do niego tylko rodzina.

Te lekkie obowiązki Marcela pełniła od lat paru, kiedy straciwszy matkę, stanęła na czele ojcowskiego domu. Nie były one wcale uciążliwe, ale ponieważ Marcela była młoda, dziwiono się powszechnie, iż potrafiła utrzymać dom ojcowski na odpowiedniej stopie tak pod względem elegancyi, jak powagi. Potrafiła ona więcęj jeszcze — matkowała młodszęj o cztery lata siostrze, która teraz właśnie pod jęj okiem kończyła edukacyę.

Z tego powodu uważano Marcelę za osobę wyjątkową, i na nięj też widać było zadowolenie i pewność siebie, jaką nadaje stanowisko, przywyknienie do rozkazywania, lekceważenie pieniędzy, których ojciec dostarczał zawsze bez rachunku.

— Czy panna Jadwiga już wstała? — zapytała służącej, która przyniosła jęj zapomnianą chustkę i francuską powieść czytana wczoraj wieczorem.

— Jeszcze nie, obudziła się dopiero.

— Powiedz, żeby mi zrobiono herbaty, a jak się

panna Jadwiga ubierze, niech przyjdzie pić ją ze mną do jadalnego pokoju.

— Ach! twoja herbata! wiesz, że jej nie cierpię— odezwał się za drzwiami wesoły głosik. I panna Jadwiga wbiegła do pokoju, rzucając się siostrze na szyję.

Stanowiła ona kontrast zupełny z Marcelą tak z twarzy, jak z usposobienia. Była o tyle niesforną, o ile Marcela miała układ pełen powagi. Żywa jak iskra, słowa i czyn zwykle u niej myśl wyprzedzały, ku wielkiej rozpaczys starszej siostry, która pod względem konwenansów była bardzo uważającą i nie znosiła żadnych niestosowności. Liczba tych potępionych niestosowności przerażała Jadwinę; nie mogła czy nie chciała jej spamiętać, zawsze też przeciwko niej wykraczała.

Obie siostry były blondynki, tylko włosy starszej, podobne do promieni płynnego złota, obejmowały regularny owal twarzy; włosy młodszej, kapryśne, niesforne jak ona sama, tworzyły mnóstwo loczków, pukli, promieni, kosmyków, spadających na szyję, skronie, czoło i twarz śliczną, ale nie mającą nic klasycznego, zakrywały nawet niekiedy oczy, błyszczące a modre jak dwa bławatki.

Rysy sióstr miały może rodzinne podobieństwo, ale ukształtowały się stosownie do charakteru. Nossek Jadwini lekko podnosił się w górę, różowe nozdrza drgały za każdym wzruszeniem, wargi jej

z żywej purpury miały figlarne zagięcia, zapewne od śmiechu, który gościł na nich nieustannie i rysował mnóstwo ruchomych dołeczków na jej policzkach i bródce.

— Jadwiniu, Jadwiniu! — wołała Marcela, usiłując oswobodzić głowę z jej gwałtownego uścisku — ostrożnie, popsujesz moje czesanie. Matylda układała je przez godzinę.

Różowa buzia skrzywiła się znacząco.

— Jesteś już pod bronią — zawołała z przestraszeniem.

— A ty Jadwiniu, do czegożeś podobna?

Jadwinia spojrzała na swój flanelowy szlafroczek i zapewne pomyślała o włosach zachwycających, ale niedotkniętych jeszcze grzebieniem i szczotką.

— Jeszcze tak rano — wyrzekła, poruszając się leniwo.

— Blisko południe; mówiłam ci tyle razy, iż panna powinna być zawsze tak ubrana, by w potrzebie każdemu pokazać się mogła.

— Bo widzisz śpieszyłam się, ma przyjść panna Nelicka.

— Panna Nelicka? Przecież nie bierzesz już od niej lekcji.

— No, tak, niby; ale ja ją bardzo kocham i chciałam zasięgnąć niektórych wiadomości, więc prosiłam, żeby do mnie przyszła.

— Moja Jadwiniu! cóż za wyrażenia. Zkądże

znowu ta miłość do osoby zapewne bardzo dobrej, bardzo zacnej, lecz ostatecznie nie należącój do naszego świata. Nie jesteś już małą dziewczynką!

— Nie wiedziałam, że się będziesz gniewała; sądziłam, że nauczycielka jest zawsze dla mnie najlepszym towarzystwem, zwłaszcza taka, jak panna Nelicka. Wszyscy ją chwalą.

— To zupełnie co innego; ja chwale ją także. Są odcienia, które powinnabyś już rozumieć. A teraz chodź na herbatę.

— Ślicznie dziękuję; wiesz, że tych twoich szkaradnych ziółek nie cierpię. Wolę się pójść ubrać, zanim panna Nelicka nadejdzie.

— Ależ nie ma potrzeby, dla niej i tak będziesz dość ubrana. Zjedz śniadanie. Nie chcesz herbaty, to każ sobie dać kawy.

Jadwinia zrobiła nieokreśloną minkę zepsutych dzieci, gdy im dają to, czego nie lubią.

— Kawa, herbata: to wszystko do siebie podobne — odrzekła, prostując się z dziecinną powagą — tu i tam wchodzi jednaki pierwiastek.

Marcela omal nie parsknęła śmiechem.

— Zkądże o tém wiesz?... — zawołała.

Jadwinia zamiast odpowiedzi, pociągnęła siostrę do jadalnego pokoju, wołając, że jest straszliwie głodna i zapominając o tém, że nie cierpi herbaty, zasiadła do niej i wypila dużą filiżankę.

Kończyły obie śniadanie, gdy do jadalnego poko-

ju wszedł bocznemi drzwiami młody człowiek. Jadvinia podskoczyła ku niemu.

— Dzień dobry, Stasiu — zawołała — cóż to się stało, że nie jesteś w biurze?

Nowo przybyły nie odpowiedział ani na uścisk, ani na pytanie; nie zdawał się odczuwać należycie jej gorących uczuć. Usunął ją zwolna na bok i nie mówiąc przeszedł się raz i drugi po obszernej jadalni, nie witając się nawet z Marcelą, której oczy śledziły go z widoczném zadowoleniem.

Był to pieszczołek i nadzieja rodziny: brat jedyny. Blondyn, jak siostry, mógł mieć zaledwie lat dwadzieścia kilka, chociaż żółta cera i oczy podkrążone sprzeczały się z młodością. Pomiędzy nim a Marcelą istniało wyraźne podobieństwo; miał on jak ona regularne rysy i spokojne, wykwintne obejście, tylko u niego spokój ten graniczył z apatyją.

Stanisław czynił wrażenie człowieka, którego mało co obchodzi na świecie; często nie umiał odpowiedzieć na to, co do niego mówiono, bo choć nauczył się zwracać z wyszukaną grzecznością do osób, które z nim rozmawiały, najczęściej myśl jego była gdzieindziej, a nawet zwykle im więcej zdawał się słuchać, tém mniej uważał. Jego piękne, jasne oczy, spoglądały zwykle półsennie, jakby trudno mu było rozchylić ociężałe powieki; przesuwał białą ręką po rudawym zaroście z wyrazem najwyższego znudzenia.

W eleganckim rannym ubiorze chodził tu i tam

po lśniącej posadzce, w której jego postać odbijała się jakby w zwierciadle. Wreszcie zbliżył się do stołu i zapytał:

— Niema herbaty?

— Jest, jest! — zawołała Marcela.

I wbrew zwyczajowi nałała mu jéj sama.

On nie usiadł, sięgnął po cytrynę, wycisnął ją prawie całą w filiżankę i pił z wolna zamyślony.

W téj chwili dzwonek odezwał się w przedpokoju i za chwilę weszła do jadalni kobieta niemłoda, z twarzą inteligentną, ruchliwą, ale zmęczoną, ubrana w czarną, wełnianą suknię i czarny kapelusz, którego pióra musiały być nieraz na wilgoci i wietrze bo rozkręciły się zupełnie.

— A! panna Nelicka — wyrzekła protekcyjnie Marcela, nie wstając z miejsca.

Stanisław zamyślony zapomniał uklonić się nowo przybyłej. Nie uczynił tego zapewne przez niegrzeczność, ale był zwykle roztargniony; a trudno przecie wymagać, by kto przełamywał swą naturę dla jakiejś nauczycielki, która nawet ładną być przestała. Zresztą Marcela, bardzo w podobnych razach uważająca, nie przypominała mu także należnego pannie Nelickiej powitania.

Jadwinia za to, pomimo niedawnych napomnień siostry, zerwała się z miejsca i poprowadziła przybyłą czempredzėj do siebie.

— Niema ojca?—zapytał Stanisław, ciągle przechadzając się po pokoju.

— Naturalnie, jest na sądach.

— Nie wiesz kiedy wróci?

— Nie widziałam go dzisiaj. Zapewne na obiad.

— Czy nie masz przypadkiem pięciuset rubli, Marcelko? Przeklęty bak; karta nie dopisała mi znowu wczoraj!

Mówił to naturalnie; widocznie gra była uważaną w rodzinie za dozwoloną rozrywkę, a przegrana nie robiła różnicy, bo siostra odparła z uśmiechem pobłażliwości:

— Tobie bo, Stasiu, nie dopisuje ona jakoś nigdy.

— A tak, niemam szczęścia—przyznał dobrodusznie.

— U kogożeście grali?—spytała po chwili Marcela, — ale może moje pytanie jest niedyskretne?

— Bynajmniej; hr. J. zaprosił nas po teatrze na partyjkę do siebie. Grali wszyscy — wyróżniać się było niepodobna.

— Naturalnie—odparła przekonana—wyróżniać się niepodobna.

— Był tam także hr. G., książęta P., pan K., baron L.

Wyliczał z widoczną przyjemnością ten szereg arystokratycznych nazwisk, których siostra z nie-mniejszą przyjemnością słuchała, a potem dodał:

— Jeśli masz pieniądze, daj mi; gdy przegram lubię płacić zaraz rano.

— Masz słuszość, tak czynić należy. Ale ja tyle nie mam, mogłabym zaledwie dać ci połowę tój sumy.

— Przecież karcianego długu na raty rozkładać nie będę. Muszę iść szukać ojca. Chciałem się z nim rano zobaczyć i nie wiem, jak się to stało, zasnęłem.

— Nic dziwnego, mówiono mi, że już w biały dzień powróciłeś do domu.

— Ciekaw jestem kto ci to powiedział i kogo to obchodzi może? o której ja powracam.

Położyła mu rękę na ramieniu pieszczotliwym ruchem.

— Obchodzi tych, którzy cię kochają. Patrz, jak ty wyglądasz.

Zwróciła go do lustra, zmuszając do przejrzenia się.

— Trudno, żebym był tak rumiany, jak Jadwinia. Wiesz, że nie lubię, kiedy się kto do mnie wtrąca.

— Och, Stasiu!—zawołała z wybuchem — baw się, wydawaj, zgrywaj, tylko nie każ nam się lękać o twoje zdrowie; pamiętaj, że matka nasza na suchoty umarła.

— Moja Marcelko! Każdy miał rodziców, którzy na coś umarli. Nie jest to przyczyna, by nie używać młodości.

— Używaj, tylko nie nadużywaj — prosiła siostra.—Bawić się powinienes—to tak naturalne, ale dbać o siebie także.

— Ależ dbam, dbam, zaręczam ci, że dbam — mówił znudzony jej troskliwością.

Uściskał ją pospiesznie i wyszedł szukać ojca. Sanki pędziły na wszystkie strony, napelniając wesołym brzękiem dzwonków powietrze.

Był to piękny dzień zimowy. Jaskrawe słońce uderzało skośnymi promieniami o szyby okien, o latarnie i odbijało się rażąco w każdym błyszczącym przedmiocie.

Białość śniegu mieniła się na dachach kolorami tęczy, lodowe stalaktyty zwieszane z nich, jak pryzmaty żyrandolu, łamały światło; trotuary zalegały tłumy. Wszędzie widać było eleganckie kapelusiki, mikroskopijne muffki, kosztowne futra, strojne okrywki, i twarze ożywione, na które mróz kładł kolory zdrowia... Stanisław szedł ku Miodowej ulicy, gdzie skupia się ruch sądownictwa; wiedział, że tam był jego ojciec, jeden z najpierwszych adwokatów warszawskich; szedł przez serce miasta, koło teatru i modnych magazynów, rozdając wśród wykwintnego tłumu, różnego rodzaju ukłony—gdy zatrzymał go głos znajomy:

— Cóż to, Stasiu, nie w biurze?

Interpelował go w ten sposób kolega jeszcze ze szkolnej ławki, a dziś prawnik początkujący, Jerzy Tomilski.

— Głowa mnie boli i spać mi się chce piekielnie, a muszę poszukać ojca.

— Pewnieście gdzie znowu birbantowali do rana!
Apatyczna twarz Stanisława ożywiła się nagle.

— Trochę, trochę — odparł z uśmiechem.

— To się zdarza, ale swoje odrobić potrzeba.
Ciebie coś bardzo często głowa boli.

Młody Sawiński wzruszył ramionami.

— Za głupie tysiąc rubli nie będę się przecież zabijał; bo wreszcie niewiem, po jakiego dyabła ojciec chce koniecznie, żebym w tém biurze pracował.

— Jakto! cóżbyś innego robił?

— No, tak, tak; coś robić potrzeba.

— A ponieważ nie chciałeś być prawnikiem...

— Ja nie chciałem? Ja chciałem, to profesoro-
wie nie chcieli; zawsze mnie któryś obciął na egzaminie.

— To na jedno wychodzi. Dość, że ojciec wyrobił ci to miejsce, które dostałeś jedynie dzięki jego wpływowi i na którym, zdaje mi się, trzymasz się także dzięki jego wpływowi.

— Więc widzisz: czy będę regularnie, czy nie, uczęszczał do biura — wyjdzie absolutnie na jedno.

— Gdybyś był innym człowiekiem, powiedziałbym ci, że od tego zależy awans, przyszła karyera...

— Ale ja innym człowiekiem nie jestem, a co do awansu...

Roześmiał się i machnął ręką znacząco.

— Wiesz przecież dobrze, iż nie zdobywa się go pracą. Gdybym pracował, jak wół od rana do nocy,

i od nocy do świtu, a nie był synem mego ojca—po trzech latach dostałbym zaledwie miejsce kancelisty i zdychałbym z głodu za jakie trzysta rubli.

— Zawsze przecież na łasce ojca być nie możesz?...

— O, Jerzy! Jerzy!—odparł, przedrzeźniając go Stanisław, gdybyś był innym człowiekiem, nie zadawałbyś mi tego pytania; nie byłbyś także adwokatem bez spraw, nie kłopotałbyś się, jak związać brzeg z brzegiem, i nie latał finansów za pomocą źle płatnych artykułów dziennikarskich.

— Cóż mam robić?

— Co?...

Szli właśnie obydwaj chodnikiem ulicy Senatorskiej około Hersego, gdy przed nim zatrzymały się sanki, całe niedźwiedzim futrem wybite, zaprzężone w parę przepysznych siwków; woźnica okryty cały olbrzymim płaszczem zatrzymał konie przed sklepem, a z sanek wysiadła młoda para.

Stanisław złożył jój głęboki ukłon.

— Oto odpowiedź na twoje pytanie. Przed kilku miesiącami inżynier bez miejsca, którego widziałeś, wszedł w posiadanie tój ślicznej osóбки, a ona przyniosła mu w posagu parę milionów. Tak robią ludzie praktyczni.

— I zostają na łasce żony.

— Wcale nie. Za pomocą owych milionów lub kroci, kupuje się akcye i dostaje wielką posiadę

w jakiej instytucji finansowej—posadę, na której pracować nie potrzeba, do której więc ja mam wszelkie prawo postawić kiedyś swoją kandydaturę.

— Kiedyż, jeśli zapytać wolno?

Stanisław zrobił niedbały ruch człowieka, pewnego siebie.

— Mam czas — wyrzekł — gdy trzydziestka zajrzy mi w oczy. Bo ostatecznie pocóż się mam śpieszyć?

Dochodzili właśnie do rogu ulicy Miodowej, kiedy spotkali Sawińskiego, idącego z młodym adwokatem Ryszardem Czerczą, który zwrócił był niedwno na siebie powszechną uwagę śmiałą rozprawą „o kodeksie napoleońskim w obec dzisiejszych idei”... Zdawali się obadwaj bardzo zajęci rozmową. Spotkanie spowodowało dywersję; Stanisław skorzystał z niej, ażeby odciągnąć ojca na bok, a potem obadwaj, pożegnawszy towarzysza, pośpieszyli do domu.

Sawiński, załatwiwszy bez żadnej trudności interes Stanisława, zapytał o starszą córkę. Była sama w swoim buduarze. Ulubiony ten jej pokój urządzony też był wyłącznie według jej smaku. Siedziała na otomanie z nową powieścią w ręku, której karty przecinała wytwornie rzeźbionym nożem. Przez ciężkie, pluszowe draperye błękitno-zielonego koloru morza, przez koronkowe franki i wielkie liście latanii wciskało się tutaj światło dyskretne, przyćmione, miękkie, jak wszystkie sprzęty, którymi był zasta-

wiony pokój, sprzęty bez kantów, stoliki obite starożytnymi tkaninami, rozstawione na dywanie, zaścielającym cały jego obszar. Zbytek tu panujący, kierowany dobrym smakiem, wytworzył atmosferę wdzięku i harmonii. Tu Marcela poruszała się swobodnie, jak we właściwem sobie otoczeniu. Delikatna i swobodna jej piękność nie była stworzoną do otwartych przestrzeni, do słońca, mrozu, powietrza. Ona mogła tylko zakwitać w półcieniu bogatych apartamentów, w temperaturze właściwej cieplarnianym roślinom, do których była podobna. Jej kibić potrzebowała miękkich tkanin, drobne ręce, o smukłych palcach, zakończonych długimi, różowemi paznogciami, nie mogły dotykać bezkarnie przedmiotów szorstkich, ciężkich, grubych. Ręce te nie były przeznaczone do pracy żadnej, jak nóżki do stapania po twardym bruku ulicznym. Gładkie posadzki, puszyste kobierce, żwirem wysypane aleje ogrodów, to były dla nich miejsca właściwe.

Nie dziw więc, iż w tym wikwintnym buduarze wyglądała, jak piękny obraz w odpowiednich ramach, czuła się prawdziwie u siebie. Należała ona do natur spokojnych, obdarzonych szczęśliwą równowagą władz, z których żadna nie wybujała zbyt i nie psuła ogólnej harmonii. Pragnienia jej nie prześcigały rzeczywistości, a błękitne migdały marzeń rosły tak blisko, iż mogła je ująć z łatwością za wyciągnięciem ręki. Gonienie ideałów, aspiracje

nie licujące z możliwością, tęsknoty nieujęte, to wszystko, co wyradza pesymizm, leżało po za granicami jęj pojęć. Smutki jęj miały zawsze jasno określoną, wyraźną przyczynę i ustawały wraz z jęj usunięciem; a z położenia swego i osoby była zupełnie zadowolona.

— Dzień dobry, ojczy — wyrzekła z uśmiechem, powstając na powitanie.

Sawiński mógł mieć lat około pięćdziesięciu, nie wydawał jednak tego wieku. Średniego wzrostu, z wielką, inteligentną głową i krótką szyją, wyglądał na młodszego, niż był rzeczywiście, z powodu żywości oczów i ruchliwości oblicza. Dzieci po matce zapewne odziedziczyły piękność i spokój, ojciec był wcieleniem energii. On sam był twórcą swego położenia, sam dźwignął się w hierarchii społecznej i strzegł jęj też z niezmierną gorliwością. Lubił używać owoców swęj pracy; lubił na każdym kroku pokazać drugim, jak owoce te były obfite. Marcela rozumiała go doskonale. Jeśli Stanisław był jego nadzieją, starsza córka była ukochaniem.

Na stoliku przed otomanką stał w kosztownym wazonie wielki bukiet rzadkich kwiatów. Sawiński, który może wiedział, z kąd pochodził, zwrócił na niego uwagę.

— Och! — zawołała obojętnie Marcela — przysłał mi go pan Melchior.

— Pan Uścicki coś bardzo często kwiatami cię obdarza — pochwycił z uśmiechem.

A potem dodał poważnie, siadając obok niej na otomanie:

— Czy nie zastanowiłaś się nigdy nad tém?

Nie wiedziała, co sądzić o téj zmianie tonu. Ojciec nie zwykł był mówić słów próżnych.

— Jest on przyjacielem naszego domu — wyrzekła wymijająco — dawnym bardzo znajomym twoim.

Sawiński spojrział uważnie w jęj oczy.

— Mogę z tobą mówić otwarcie, Marcelo. Masz rok dwudziesty drugi; do téj pory nie brakło starających się o twą rękę; ale pomiędzy nimi nie było ani jednéj partyi, o którejby mówić warto.

— Przecież nie myślisz ojeze o panu Melchiorze?

— Gdybyś była mniej rozsądną, nie pomyślałbym o nim z pewnością, ale ty, Marcelo, zdolna jesteś ocenić korzyść podobnego związku. Uścicki nie jest młodym, to pewna...

Zatrzymał się, jakby oczekiwał zdania córki; ona słuchała w milczeniu.

— Jest za to człowiekiem zacnym i niezmiernie bogatym.

— Czy oświadczył się o mnie?

— Oświadczył i nie oświadczył. Niema złudzeń co do własnéj osoby; prosił mnie, żebym cię

wy badał, nie jako twój ojciec, ale jako jego przyjaciel.

— Rozumiem — uśmiechnęła się Marcela — jeśli go odrzucę, przyjaciel zatai to przed ojcem...

— Nie chcę wpływać w niczem na twoją decyzję, rozumiem jednak aż nadto znaczenie majątku, ażeby nie zwrócić twojej uwagi na tę potęgę, na tę dźwignię naszego wieku...

Gdy to mówił, wzrok mu zabłysnął.

— Dziś pieniądź: to ród, zdolność, sława, cnota, rozum... on daje wszystko, wszystko bez wyjątku; bo czemże jest człowiek, który ich nie posiada?

— Och! ja nie jestem wcale chciwa, mój ojcze, to, co mam, wystarcza mi.

Mówiła to w dobrej wierze, nie domyślając się nawet, iż słowa te zakrawać mogły na ironię. Jeśli bowiem nie była bogata, posiadała wszystko, co pieniądź dać może.

— A przytém — dodała po chwili — nie byłabym nigdy zdolna poślubić pana Melchiora.

— Czy chodzi ci o wiek jego? Jest on zaledwie starszy o lat dziesiątek od prezesa Olbrowicza.

Było rzeczą znaną powszechnie, iż wszystkie kobiety za prezesem szalały.

— Ach! cóż za różnica! — zawołała zarumieniona Marcela. — Pan Melchior może być najlepszym z ludzi, może być bogatym, jak Krezus, ale ma w sobie coś tak gminnego...

Twarz jęj przybrała wyraz niesmaku.

— Zaklinam cię — pochwyciła z uśmiechem — nie mów nic memu ojcu o tęg propozycyi, niech nie dowie się o nięj nigdy...

— Jak chcesz — odparł nieco chmurno — myślałem, że będziesz rozsądniejszą, nie mówmy więc o tęg.

— Ja jestem rozsądną, mój ojcz, tylko małżeństwo to uczyniłoby mnie nieszczęśliwą; a wszak ty tego nie chcesz.

— A więc nie mówmy o tęg nigdy.

Była chwila milczenia. Marcela obrywała bezmyślnie listki kwiatów; Sawiński nie odchodził, spoglądał na córkę.

— Doprawdy, ojcz — rzekła po chwili, podnosząc wzrok na niego — zdaje mi się, że zrobiłam ci przykrość.

— Nie, nie, moje dziecię; jesteś trudną, masz do tego prawo — ty, tak piękna, dobra, rozumna, wykształcona...

Chciała mu przerwać, ale mówił dalej.

— Wobec tego jednak nie mam prawie odwagi mówić ci o drugiej propozycyi.

— A... więc jest i druga?

— Człowiek bez majątku, ale zdolny, młody, energiczny... Jednég słowem...

— Ryszard Czercza — dokończyła.

— Wiedziałaś o tęg.

— Inaczéj byłabym bardzo niedomyślną.

— Ryszard Czercza — to za mało dla ciebie...

Patrzyła na ojca zagadkowemi oczyma, w których teraz zagrały jakieś blaski nagle.

— Posłuchaj, ojcze — rzekła — jak ja tę rzecz uważam.

Usiadła wygodniéj na otomanie, oparła głowę na rękę i mówiła.

— Jak sam powiedziałeś, mam rok dwudziesty drugi i dotąd nie zdarzyła mi się partya właściwa; jest to fakt smutny, ale prawdziwy. Czercza ma przyszłość przed sobą, a przy twojéj pomocy... Wszak żałowałeś nieraz, iż Staś prawnikiem nie został; mówiłeś, że potrzebujesz pomocy, że twojéj klienteli wystarczyć nie jesteś w stanie...

— Jak ty to pamiętasz... proszę, proszę...

— Otóż, gdyby pan Ryszard był twoim synem...

Umilkła zarumieniona, a ojciec mówił znowu, może trochę smutnie.

— A więc, jak widzę, ułożyliście to już pomiędzy sobą. Biedny Melchior, nie mógł mieć szansy żadnej; powiem mu, że propozycja jego przyszła nie w porę; była spóźnioną, to może zmniejszy przykrość odmowy.

Marcela zapomniała już o starym zalotniku, myśl jéj biegła gdzieindziéj; zdawała się zapominać o tém, co ją otaczało, nawet zapominać o obecności ojca.

— Powiedz — wyrzekł znowu Sawiński przyci-

szonym głosem, bo pojmował snadź niedyskrecyę swego pytania — więc ty go kochasz?

Zarumieniła się zrazu, jak szesnastoletnia dziewczeczka i zamiast odpowiedzi spuściła głowę, ale po chwili podniosła ją i rzekła z pewną stanowczością.

— Gdybyś uważał to małżeństwo za niestosowne, zrzekłabym się go bez wahania; ale wszakże jedyna to możliwa partya, jaka mi się zdarzyła, bo pana Melchiora nie liczę. Czercza nie zadawałnia mojej miłości własnej, marzyłam o czém inném, przyznaję, ale czuję, iż będę z nim szczęśliwą.

Nie było to wyznanie namiętnej kochanki, lecz kobiety, która obrachowała wszystko, co za i przeciw powiedzieć można, a na szalę kładła też i własną skłonność. Być może, iż czuła się upokorzoną tém, że nie zdobyła sobie człowieka, coby jej mógł ofiarować los wyjątkowy. Chciała więc przynajmniej pokryć swą porażkę miłością, którą Ryszard wzbudzić miał prawo. Być może, iż rok lub dwa przedtém byłaby go odrzuciła. Dziś trafił na stosowną chwilę.

Wiadomość o małżeństwie swjej córki, Sawiński urzędownie zakomunikował kolegom i znajomym. Nie był jednak z samego faktu zbyt zadowolony; można to było poznać z objaśnień, które czuł się w obowiązku każdemu po szczególe udzielać, a wynosił w nich pod niebiosą zdolności i charakter przyszłego zięcia. W końcu zaś dodawał z właściwym

sobie uśmiechem: „umiał się podobać” — jakby tém słowem zamykał usta wszelkim przedstawieniom.

Przedstawień nikt nie robił; małżeństwo to obchodziło tylko wielbicieli Marceli, bliższych przyjaciół Sawińskich, lub Czerczy. Do tych ostatnich należał Tomilski, który znał dobrze Ryszarda. Razem chodzili na prawo, razem je ukończyli. Znał zamiary, położenie swego kolegi, i wieść o jego małżeństwie przejęła go zdziwieniem. Nie chciał jęj wierzyć.

— Czy to prawda, Ryszardzie? — zapytał, spotkawszy go w izbie obrończej i odciągając na bok.

Mógł nie pytać; odpowiedź leżała na wyrazistej twarzy młodego prawnika, w uśmiechu tryumfu, który okalał mu usta, w blasku, który promieniał mu z oka. Sama jego powierzchowność starczyła za usprawiedliwienie Marceli. Czercza nie był pierwszym lepszym, znać to było z pierwszego wejrzenia. Naczelnym rysem jego postaci była energia. Czoło szerokie, rozwinięte, świadczyło o bogactwie inteligencji, czarne włosy, krótko przystryżone, wydatniała szlachetny kontur głowy. Po nad nosem prostym, silnie osadzonym, zbiegały się brwi ciemną linią, nadając ostry wyraz całej fizygnomii w chwilach, gdy nie rozjaśniał ich uśmiech. Oczy były bystre, śmiałe, przenikliwe, grały w nich barwy różne, w ciemności źrenice te świeciły, jak oczy wilka, w promieniach dnia nabierały oranżowych



odcieni. Oczy te wydawały się większemi, niż były w istocie, z powodu koloru powiek, jakby spalonych żarem pragnień, znużonych natężeniem myśli. Odpowiadały im skronie wydatne, nabiegłe wyraźnemi żyłkami, ciemniejsze od białego czoła i matowej twarzy, której ogólny wyraz świadczył o skupieniu władz duszy.

Patrząc na tego człowieka, można było przysiąc, iż wiedział, czego chciał i celu z oka nie spuszczał nigdy, że bezpiecznie było oprzeć się na jego ramieniu, a źle stanąć na jego drodze.

Marcela trafem, czy rozmysłem, dobrze wybrała przysłego towarzysza życia. Było to narzędzie ludzkie, wybornie urobione do walki. Jakiś zaś miał poświęcić się sprawie, na zagadkę tę, dotąd nierozwiązaną, odpowiedź dać mogło jedynie życie.

— Czy to prawda, Ryszardzie? — powtarzał, spoglądając na niego — ty żenisz się z panną Sawińską?

— Alboż cię to dziwi? czy może nie znajdujesz jej dość piękną, lub nie uważasz, by rodzina Sawińskich godną była połączyć się z moją wielmożnością? — odparł żartobliwie.

— Choćbyś miał przygnieść mnie twojém szyderstwem, powiem, że tak jest. Panna Marcela należy do tych kobiet, których życie—to jedynie pasmo uciech i zbytków. Ty wiesz o tém dobrze.

— Przynosi mi téż w posagu część klienteli Sa-

wińskiego, jego wpływy i poparcie; byłbym bardzo niedołęznym, gdybym z tego nie wysnuł dla niej zło-
cistych kobierców i nie usłał nim jéj drogi.

— Ha! więc to dlatego...

Ryszard milczał i spoglądał na niego uśmiechnię-
ty, promieniejący. Jak wszyscy prawie ludzie czynu,
zwierzać się nie lubił.

— Przed kilku dniami — zawołał Jerzy rozdraż-
niony — twój przyszły szwagier wskazywał mi bo-
gate ożenienie jako jedyny punkt wyjścia; ty, jak
widzę, czynisz to samo. Więc już nie pozostaje wam
innéj drogi na świecie, jak uczepić się kobiecego far-
tuszka. W takim razie winszuję, winszuję...

— Ja i Stanisław nie jesteśmy do siebie podo-
bni — odparł Czercza. — Ja, ubogi i nieznany, znaj-
dę w Sawińskim ten punkt oparcia, o który wołał
Archimedes, ażeby świat dźwignąć z posad; do-
wiode, iż Marcela, powierzając mi swą przyszłość,
nie robi złego interesu; pokażę, czém stanie się
ten biedak, którego zaślubia. Otoczę ją bogactwem,
zbytkiem, szczęściem; będzie przedmiotem zazdrości.

— A ty, Ryszardzie?

— A ja?... ja...

Przez chwilę zdawał się wahać, w oczach śmiały
mu się złote blaski. Potém nachylił się do towarzy-
sza i rzucił mu w ucho to jedno słowo:

— Ja ją kocham:

Kochali się oboje więcej, niż to przyznać chcieli. Dwie te natury dopełniały się wzajem.

— Tęm gorzej — zawołał wcale nie rozbrojony Tomilski. — Ty i Marcela! Ty szermierz życia, znający jego zasadzki, bagna, rozdroża; ona—isto-ta cieplarniana.

— Kocham ją taką, jaką jest, z jej przymiotami, przywarami, z czem chcesz wreszcie. Miłość moja nie jest dogmatycznie wyrozumowana, jest może nierozumną, wszystko mi jedno. Los czyni ją możliwą, sprzeczać się z nim przecież nie będę. Za kilka dni nasze zaręczyny. Jesteś zaproszony.

— I ja, i pół Warszawy co najmniej.

— Sawiński daje tym sposobem dowód znajomości ludzi. Zięć, zaprezentowany wśród świetnego balu, inaczey wygląda, niż ten, któremu się córkę przyrzeka, jakby w tajemnicy, w szczupłym kółku rodzinnym. Zapewne marzył on dla Marceli o innym małżeństwie, ale skoro te marzenia się nie spełniły, chce podnieść rzeczywistość do ich wysokości.

— I ty, Ryszardzie, miałbyś tego potrzebować?

— W twoich oczach nie, ale świat nie wie nawet o mojem istnieniu; cyfry nieznane nie mogą mieć żadnego znaczenia, dopóki jakimbądź sposobem nie staną się widzialnymi. Sawiński ułatwi mi drogę; rozumię, że dziś jest to nasz wspólny interes. Bądź pewny, że jeśli człowiek dochodzi szybko do zamierzonego celu, czy to będzie majątek, sława, zaszczyty—

może mieć zdolności, ale niewątpliwie łączy do nich zręczność, która im pole otwiera.

Rzeczywiście Sawiński rozumiał położenie. Skoro raz zdecydował się oddać córkę początkującemu prawnikowi, bez nazwiska i znaczenia, nie chciał, by to małżeństwo wyglądało na porażkę; przeciwnie, chciał pokazać, iż odkrył człowieka, który mu zaszczyt przyniesie, pysznił się nim zawczasu. Chciał, by uroczystość zaręczynowa zaćmiła świetnością wszystkie inne, by wspomniano ją długo. Było w tém wyrachowanie, ale dogadzało ono także jego miłości własnej. Sawiński, sam twórca swego położenia, był dumny ze środków, jakie mu ono dawało. Urządzenie domu, służba, przyjęcie, stwierdzały je w oczach świata, były niejako materyalnym dowodem zdolności. Dlatego też lubił rzeczy wyszukane, nie dla ich piękności samej, ale wprost z powodu, iż były dla wielu niedostępne.

Pieniądz grał tak wielką rolę w jego życiu, iż nauczył się cenić go nadewszystko, ludzi według niego szacować i pokazywać go wszędzie.

Przed zaręczynowym balem, który wypadł właśnie na początku karnawału, odbywał on nieustanne narady z Marcelą. Wszystko, co najkosztowniejszego posiadała Warszawa, musiało być w dniu tym na jego stole, lub służyć do przybrania apartamentu. Czego nie posiadała, sprowadzono z zagranicy.

Sawiński był wprawdzie czynnym członkiem To-

warzystwa popierania przemysłu krajowego, ale w tych okolicznościach trudno było wymagać, by zadowolnił się tém, co kraj dać może. To dobre dla zwykłych biedaków, rachujących się z każdym groszem; on tego czynić nie potrzebował—on, któremu nieraz jedna wygrana sprawa przynosiła krocie.

Nie dziw więc, iż w dzień uroczysty cały apartament przedstawiał czarujący widok. Z oświetlenia salonu wykluczono lampy. Gorzał on mnóstwem świec, osadzonych w olbrzymi żyrandol ze szkła weneckiego, w także świeczniki, gęsto przybite do ścian, a wielkie starożytne brązowe kandelabry, ustawione w rogach salonu wśród klombów zieleni, dźwigały w górę całe snopy światła. Zębate wachlarze palm, wązkie pierzaste cykasy, kwadratowe wycięte liście filodendronów, mieszały się z lśniąca zielenią kwitnących kamelij i odbijały ostro na białych tapetach. Przejmująca woń hyacenty i fijołków unosiła się w powietrzu, snopy światła słały na posadzkę, łamały w szklanych liściach żyrandolów, odbijały w zwierciadłach. Salon, jak zaczarowany pałac dobrej wieszczki, zdawał się oczekiwać strojnego tłumu, który miał go za chwilę zapełnić.

Czasem tylko jeden z licznego zastępu lokajów we fraku i białym krawacie przesunął się do dalszych pokoi, poprawił lub przyniósł coś jeszcze.

Przez drzwi otwarte na rościęz, widać było bu-

duar Marcelli, obwieszony błękitno-zielonawemi draperiami, z takimiż lampami, które, ukryte wśród kwiatów, czyniły go podobnym do tajemniczego przybytku ondyn, oblanego blaskiem księżyca.

Ruch cały skupiał się w dalszych pokojach. W jadalni kończono strojenie stołu, zastawionego w podkowę. Po rogach, w starych francuzkich majolikach, stały olbrzymie bukiety żywych kwiatów. Piramidy z kryształu i srebra dźwigały najwyszukańsze owoce i cukry. W rżniętych pryzmatach szkieł czeskich łamało się światło i rzucało tęcze promienie na misterne desenie obrusu. Bronzy i srebra, umiejętnie rozstawione, połyskiwały nakształt starożytnych zwierciadeł, odbijając globy płonących lamp. Kolorowe kieliszki do win rozmaitych, dodawały do tej wesołej harmonii nutę poważną, przypominały kolorem szyby świątyn gotyckich i kładły gdzie-niegdzie wśród tęcz pryzmatycznych na śnieżnej białości obrusu, na talerzach z saskiej porcelany, malowanych w kwiaty i amorki, swe bursztynowe i rubinowe barwy.

Bohaterka dnia, Marcela, w blado-różowej sukni, naszytej dżetowemi perłami, mieniającemi się w różne kolory, przywodziła na myśl zorzę poranną. Jasnozłote włosy, bez żadnej przymieszki pudru, upięte wysoko, odsłaniały klasyczne zarysy szyi i drobne ucho, w którym rzucały ognie wielkie brylanty koleczyków. Blade róże, wpięte we włosy, zwieszały swe pączki

i liście na ramiona, podobne do lekko zabarwionego alabastru, mieniaącego się odbłyskami muszli perłowej. Zarówno, jak włosy, twarz miała wolną od pudru, który mógł tylko skazić jęj białość. Pięknosć jęj nie potrzebowała dodatków żadnych, jak nie lękała się światła. Spokojna, uśmiechniona, podobną była do wieszczki, królującej w zaczarowanej krainie woni i zbytku.

Ubrana zupełnie już o w pół do dziesiątej, pomimo wczesnej godziny, wchodziła do pokoju siostry. Jadwina miała wprawdzie ufryzowaną głowę, miała nóżki obute w różowe jedwabne pończoszki i różowe pantofelki, miała nawet na sobie z jedwabnej gazy spódnickę, tylko, zamiast stanika, narzucony był na ramiona batystowy kaftanik.

— Cóż się to stało? — zawołała zdziwiona Marcela.

— Widzisz, Marcelko, stanik był zaciasny, posłałam go do magazynu.

— Można go było włożyć — wtrąciła panna Matylda, która z powagą swego urzędu przydowała w ubieralni — ale panna Jadwiga nie chciała pozwolić przysnurować gorsetu.

— Marcelko, ja nie mogę być ściśnięta; nie miałabym żadnej przyjemności — tłumaczyła się Jadwina. — Ja się tak będę bawiła!

— Trzeba było wcześniej o tym staniku pomy-

śleć. Pamiętaj, że w domu własnym panna spóźnić się nie może.

— Oh! jeśli tylko o to idzie, pozwól mi włożyć niebieską sukienkę, a wnet będę gotowa... Świeżuteńka!

— Suknia wełniana! Co też tobie do głowy przychodzi! — rzekła zgorazona tą samą myślą Marcela. — Któż widział na bal kłaść suknię wełnianą!

— Zaręczam ci, tańczyłabym w niej tak samo. Pozwól tylko, a zobaczysz.

— Moja Jadwiniu, czyż nie rozumiesz, co strój znaczy dla kobiety?...

— A te, co nie mają za co stroić się?

— Te — odparła z wyrazem litośnego ubolewania Marcela — bądź pewna, że zawsze przyćmione zostaną.

— To cóż mi po piękności, którą zawdzięczam modniarce, a wreszcie pieniądzom, jakie wydać mogę? Ja chcę się podobać sama przez się, chociażby w brzydkiej sukni.

Marcela uśmiechnęła się, jak matka uśmiecha się z dziwactwa dziecka.

— Nawet Kopciuszek — wyrzekła — zdobyła sobie królewicza, kiedy dobra wieszczka, dotknięciem laski czarodziejskiej ubrała ją w pyszną toaletę, a do tego dodała elegancki ekwipaż.

— To i cóż? bajka dobrą jest dla małych dziewczynek, które marzą o królewiczach, ale ja...

— O czémże ty marzysz Jadwiniu?

Zagadniona wahała się chwilę, a potem wyrzekła z nagłą determinacją:

— O uczciwym chłopcu, któryby mnie kochał strojną, czy nie, bogatą, czy ubogą, z którym pracowałibyśmy razem.

— Ciekawam bardzo, jakbyś ty pracowała? — wyrzekła Marcela, przyglądając się jej z najwyższym zdziwieniem.

— W czasie, gdy on byłby w fabryce...

— W fabryce! myślisz iść za robotnika?

Twarz Jadwini przybrała nagle kolor piwonii.

— Przecież w fabrykach są nietylko robotnicy. Łapiesz mnie za słówka; mówiłam w fabryce, jakbym powiedziała: na sądach, albo w biurze; ja wówczas malowałabym na porcelanie, albo robiła koronki, albo cokolwiek innego, co przynosiłoby mi wiele pieniędzy. Wiesz—jak w tój komedyi „*O własnej sile*”, którą doskonale pamiętam.

Marcela nie przypomiwała sobie komedyi tak dobrze, jak siostra. Zresztą o to nie chodziło.

— Ależ ty tego wszystkiego nie umiesz! — zawołała.

— Wielka rzecz! nauczyć się mogę. Przytém doglądałabym porządku domowego—obiadu: kupiłam sobie nawet książkę kucharską.

— Widzę, iż nie żartem myślisz swoje zamiary w czyn wprowadzić — rzekła z pobłażliwym uśmie-

chem. — Nie wątpię nawet, że masz gotowego bohatera tej pięknej sielanki.

Niewiadomo, co Jadwinia byłaby odpowiedziała na tak wyraźną interpelację, bo w tej chwili wniesiono stanik, i naturalnie, wobec toalety, wszystkie inne kwestye poszły na bok.

O dziesiątej stawił się narzeczony, poprzedzony przepysznym bukietem, przystosowanym do koloru sukni Marceli, bo składały go same różowe kwiaty. Potem przybyło kilku poufalszych, lepiej znajomych, ciekawszych, a po jedenastej goście napływać zaczęli zbitą falą.

Dzwonek odzywał się co minuta, następnie słychać było w przedpokoju szelest sukien, mniej więcej długo przyprowadzanych do porządku i ukazywały się młode kobiety, małżeństwa, rodziny całe. Czarne fraki zwykle zostawały przy wejściu, w czasie gdy gospodarz domu, jego córka i syn przeprowadzali kobiety do miejsc właściwych na kanapach i fotelach, ustawionych w koło ścian wielkiego salonu. Panie, usiadłszy, przypatrywały się jedna drugiej, robiąc przegląd strojów i twarzy. Mężczyźni znów wchodzili po jednym, po dwóch, składali głęboki ukłon Marceli, czasem ściskali jej rękę, witali się z panem domu, ze Stanisławem i skupiali przy drzwiach, coraz zbitszym zastępem.

Marcela czyniła honory domu z właściwym sobie wdziękiem. Było rzeczą widoczną, iż była mistrzy-

nią w tej sztuce. Zapanowała nad rozmarzeniem, które przebaczonoby narzeczonej; dla każdego miała uprzejme słówko lub uśmiech, nawet dla pana Melchiora, który stawiał się, choć sztywny i cierpki, ażeby nie dać poznać swęj porażki. Jadwinia kręciła się jak chochlik po salonie, udzielając gościom swęj wesołości.

Mężka część rodziny znajdowała się także na swém stanowisku. Sawiński był uprzedzająco grzecznym; Ryszard, nie narzucając się zbyt, zabierał powoli swe miejsce w domu przyszłego teścia, a Stanisław—gładki, poprawny w obejściu jak w stroju bez zarzutu, żółto-blady, jak zwykle, z oczyma też, jak zwykle, przygasłemi i lekko podsiniąłemi, spełniał obowiązki wice-gospodarza wzorowo; dość było jednak spojrzeć na niego, by zrozumieć, iż nie bawił się wcale, że czynił tylko ustępstwo konwenansom, w duchu może posyłając do dyabła całe towarzystwo.

Gości przybywało ciągle. Roznoszono herbatę dla formy, gdyż każdy prawie odsuwał podawaną sobie filiżankę. Tłum różnobarwnych kobiet zasiadł wszystkie miejsca, a czarny zastęp mężczyzn posuwał się zwolna ku środkowi salonu nakształt wzbierającej fali. Ci, co nadchodzili teraz, sprawiali pewne zamieszanie. Dla przybywających pań przynoszono krzesła, które znów wysuwały się coraz bardziej, zajmując przestrzeń, przeznaczoną na arenę

tańca; inne przechodziły do dalszych pokoi. Panny po dwie, po trzy razem wysuwały się do buduaru. Niektóre kobiety, spóźniające się z umysłu, wprost tam dążyły.

W buduarze bawiono się swobodnie. W salonie, zrzadka tylko jaka postać mężka śmielsza lub bardziej niecierpliwa, z szapoklakiem pod pachą, nie czekając chwili rozpoczęcia tańca, wysuwała się z szeregów, zalegających drzwi wchodowe, przekraczała dzielącą ją od pań przestrzeń, składała ukłon, zamieniała słów parę i cofała się napowrót, niby dawni rycerze, rozpoczynający harce przed bitwą.

Do buduaru mężczyźni mieli przystęp przez gabinet pana domu i tu już zajmowali miejsca pomiędzy damami na taboretach, krzesłach, jakie w potrzebie przynosili sobie sami i umieszczali przy tych, z którymi rozmawiać pragnęli.

Po za wachlarzami zamieniano spojrzenia, żywe słówka, może wyznania, pod pozorem zamówień do tańca. Kobiety, przy których nie było nikogo, spoglądały wkoło, szukając dobrych znajomych, przyjaciół lub wielbicieli, a tymczasem obmawiały te z pomiędzy siebie, przy których widać było jedną lub nawet dwie i więcej głów męzkich. Panny oburzały się po cichu na tę nieznośną kokietkę, panią Mulską, lub gorzej jeszcze na panią Kalicką... Dwie te panie, siedząc na dwóch przeciwnych rogach buduaru, ka-

żda otoczona swoim dworem, nie szczeniły sobie obmów wzajemnych.

— Ah, pan prezes! — zawołała pani Mulska ze szczególnym naciskiem, witając pierwsza przechodzącego wysokiego mężczyznę.

Przyzwany w ten sposób, zbliżył się z wyszukaną grzecznością, mającą jednak ledwie dostrzegalny pewien odcień lekceważenia. Czy odcień ten tyczył się pani Mulskiej, czy kobiet wogóle, czy też nawet całego rodu ludzkiego—rozpoznać w tój chwili było niepodobna.

— Ah! to pani! zawsze równie piękna, zawsze przepysznie ubrana!

Kobieta spojrziała z zadowoleniem na swoją suknię, złożoną z koronek, aksamitów, jedwabi, kwiatów, dżetów, piór, całych ptaków i tego wszystkiego, z czego suknia składać się może.

— Dlaczegożby inaczej być miało? — spytała dość głośno, by usłyszała ją starsza o wiele pani Kallicka. — Nie miałam jeszcze czasu zestarzyć się, ani znudzić strojem.

I oczy jej wielkie, śmiejące się, tak wyraźnie zatrzymywały przy sobie prezesa, iż zajął on miejsce ustąpione mu natychmiast przez jednego z jej sąsiadów.

— Widać ztąd, że jesteś pani szczęśliwą, że nie doznałaś żadnego zawodu, które nieraz starczą za lata.

— Zawodu! Oh! ja nie jestem wcale sentymentalną! — zawołała, patrząc mu w oczy wyzywająco — biore życie takiem, jakiem jest.

— Dobrze pani robisz; ale pozwól sobie powiedzieć, iż jesteś wyjątkiem wśród kobiet.

— Masz na myśli małżeństwo Marceli, prezesie? Nieprawdaż?

Odcień gniewu, czy żalu, pokryty szybką wprawą światową, przemknął po rysach prezesa.

— Panna Marcela jest istotą doskonałą! — odparł z przyciskiem.

— Czy powiedziałaś jej tak kiedy, prezesie? czy też zostawiasz tę specyalność panu Ryszardowi Czerczy, jej narzeczonemu?

— Ryszard Czercza! Czercza! więc tak się on nazywa? Prezentowano mi go, ale przyznam się, nie zwróciłem uwagi na nazwisko.

Mówił to z pozorną niedbałością, wlepiając w piękną panię, czy w jej nagie ramiona, oczy rzucające iskry z za przymrużonych powiek i szkieł okularów. Pomimo to, skorzystał jednak z pierwszej przerwy w rozmowie, by się oddalić. Szedł do salonu, rozdając na prawo i lewo ukłony i skinienia trochę protekcyjonalne, aż wreszcie znalazł się w zagłębieniu okna, napół zasłoniętego franką. Oparł się plecami o framugę i zaczął rozglądać po salonie z większem zajęciem, niż to czyni widz obojętny, tak, jakby kogoś upatrywał.

Właśnie rozpoczynano tańce; pary przesuwały się około niego jedne po drugich. Gdyby kto śledził wyraz jego twarzy, byłby dostrzegł, jak chwilami, na widok wirujących tancerek, zapalały się jego źrenice, na widok innych znów złośliwy uśmiech rysował się na jego wargach. Wszystko to jednak kryły draperye firanek.

Eustachy Olbrowicz, zwany ogólnie prezesem z powodu piastowanej w jakiejś instytucji godności, należał do arystokracji finansowej, mającej już swoje tradycje. Trzecie pokolenie Olbrowiczów obracało milionami i znać to było na dzisiejszym przedstawicielu rodziny i firmy. Posiadał on pewność siebie, jaką daje położenie obok wytwornego obejscia, wyrobionego wychowaniem, a do którego, według okoliczności, mieszał się nieraz subtelny odcień lekceważenia.

Według utartego zdania, znać w nim było pana. Wiek jego był nieokreślony: wyglądał młodo, jednakże od pewnego już czasu znanym był, jako piękny mężczyzna, a jego powodzenie u kobiet było przysłowiowe. Dzięki naturze, czy też sztuce przychodzącej jęj w pomoc, piękność tę zachował w zupełności; wysoka, kształtna jego postać miała jeszcze zupełną elastyczność ruchów, białe czoło było bez zmarszczek, a trochę przerzedzone włosy na skroniach, nie świeciły ani jedną srebrną nicią. Rysy jego delikatne przypominały rzeźby starożytne—nie po-

sagi jednak bogów lub bohaterów, ale raczej faunów i satyrów. Usta jego pięknego rysunku, były przecież trochę zbyt rozcięte, trochę zbyt mięsiste, ale uśmiech ich miał czar sobie właściwy; był subtelny, ironiczny i dobroduszny razem. Czoło szlachetne uderzało wydatnemi kątami. Oczy—bądź to z przyzwyczajenia, bądź z powodu krótkiego wzroku, przy-
mrużał często, zwłaszcza w rozmowie, gdy nie chciał odkryć głębi swęj myśli, malującęj się w nich zbytecznie, chwilami jednak można w nich było zauważyć wyraz zadumy, czy rozmarzenia, jakie mają niektóre, głębiej pojęte głowy faunów.

Prezes słynął z dowcipu i zręczności, z jaką prowadził wielkie interesa, nie pozwalając się im pochłaniać. W towarzystwie był tak swobodny, iż niktby nie pomyślał, jak różnorodne sprawy ciążyły na jego głowie. Miał zawsze czas na zabawę lub miłośćkę. Był wspaniałomyślny, gdy chodziło o cele, dobru publicznemu poświęcone. Kieszeń jego stała zawsze otworem w razie składek, ofiar i t. d., najhojniejszym jednak był wtenczas, gdy pośredniczką miłosierdzia była kobieta; uważano nawet, iż dobroczynność jego wzrastała w stosunku prostym do piękności kobiety. Przystojnej dawał dużo, ładnej—więcej jeszcze, a już taka, co miała szczęście mu się podobać, mogła dowolnie czerpać z jego kasy, na co chciała.

Prezes bywał chętnie w towarzystwach, ale tam

tylko, gdzie wiedział, że spotka ładne kobiety. Znał wszystkie piękności Warszawy, na jakimkolwiek znajdowały się szczeblu towarzyskim; wołał jednak te, co stały niżej, niż wyżej, z przyczyn łatwych do zrozumienia. Kult piękności posuwał tak daleko, iż zdolny był nawet do platonicznego uczucia, jeśli inaczej być nie mogło.

Jakżeż się było dziwić, że kobiety przepadały za prezesem? Miał on nie mniejsze uznanie pomiędzy mężczyznami. Pomimo swych milionów, był przystępny i uczynny, a złośliwość, która była u niego tylko wynikiem obserwacji, umiał tak subtelnie stosować, że nigdy się nie pomylił w adresie i nigdy nikogo nie obraził.

Osobistość tak wybitna nie mogła długo pozostać w ukryciu; niebawem też zbliżył się do prezesa pan Hyacenty, jeden z tych natrętów, którzy tak długo, tak niezmordowanie kręcą się około wszelkiego rodzaju słońce, aż w końcu wyrobią sobie obok nich prawo obywatelstwa i stają się uprawnionymi ich satelitami, odbierają z góry światło, a tracą własną indywidualność, jeśli ją kiedykolwiek posiadały.

Prezes przyzwyczał się do pana Hyacentego, obecność jego przestała mu być natrętną, a tём samém stała się nieraz miłą. Doszło do tego, iż zapraszając prezesa, zapraszano i Hyacentego; on znał jego wszystkie gusta, przyzwyczajenia, zachcianki;

wiedział, co i kiedy będzie mu przyjemnym, kto go znudzi. Był to rodzaj dobrowolnego adjutanta, akceptowanego zarówno przez pryncypała, jak przez świat.

— Cóż to? prezes pozostaje na stanowisku obserwacyjnym? — zauważył, mieszcząc się obok niego za firanką.

Właśnie w tej chwili Marcela przesuwała się koło nich, oparta na ramieniu Ryszarda. Jedwab jej sukni, unoszonej wirem walca, zaszeleściał i musnął stojących, perły dżetowe uderzając o siebie, wydały dźwięk suchy. Dźwięk ten musiał podziałać na nerwy prezesa, bo olimpijska brew jego ściągnęła się lekko.

— Cóż chcesz, — odparł, z ostrym szyderstwem w głosie, wskazując mu młodą parę — wobec tak patryarchalnej uroczyści, to jedno stanowisko zajmując można. W bajkach — księżęta żenili się z pasterkami, tutaj dzieje się na odwrót: księżniczka zaślubia... no, nie pasterza, ale gorzej — kancelistę.

— Już ten narzeczony w czepku się urodził. Nie jeden chciałby być na jego miejscu.

Pan Hyacenty mówiąc to, patrzył z boku na pryncypała i zahazardował dalej.

— Ty sam prezesie...

Przymrużone oczy prezesa spiorunowały go w ten sposób, iż zrozumiał popełnioną niezręczność. Prezes był w najgorszym humorze.

— To zależy — odparł drwiąco. — Podobnie piękna żona, to ma swoje niedogodności. Gdyby jeszcze była choć w połowie tak zręczną, jak piękną... Ale ona zręczną nie jest; inaczej... no, inaczej czyż robiłaby tak lichą partyę?

Wzruszył ramionami, a około ust zarysowały mu się charakterystyczne bruzdy ironii, połączone z wyrazem dojmującego bólu.

— Tylko małe dziewczynki, albo istoty wiekuiście małoletnie — mówił dalej ostrym tonem, właściwym mu w niektórych chwilach — idą za mąż z miłości. Małżeństwo — to jedyna sposobność zdobycia sobie położenia, jaką społeczeństwo daje kobietom. Kochać mogą się sobie potem całe życie... ciekaw jestem, kto im przeszkodzi...

Spojrzał znacząco na Hyacentego i roześmiał się sucho. Hyacenty czuł się w obowiązku odpowiedzieć, ale prezes był w usposobieniu, w którym nie wszystko mogło mu się podobać, mruknął więc oględnie, powtarzając jego słowa:

— Naturalnie, ktoby im przeszkadzał. Kobiety...

— Kobiety — przerwał, zapalając się, Olbrowicz — to dorosłe dzieci; takie są wszystkie, nawet te, co niby wybiegają nad powszednią normę.

Śmiał się z widocznym przymusem. Oczywiście Hyacenty śmiał się także.

— Nie odważyłbyś się jednak przecie powiedzieć tego w oczy tym paniom.

Popatrzył na niego przenikliwym, szyderczym wzrokiem.

— Powiedzieć można wszystko, tylko: jak gdzie, jak kiedy, w jakiej formie... Pamiętaj o tém.

W téj chwili zobaczył puste miejsce przy Marceli i pospieszył je zająć. Teraz twarz jego przybrała wyraz dobrodusznój powagi, oczy przestały rzucać migotliwe iskry. Rozmawiał z nią przyjaźnie, z odzieniem jednak melancholii, którą zauważyć musiała. Zapewne powtarzał jéj życzenia, składane przez wszystkich obecnych.

Hyacenty, który spoglądał na niego uważnie, wyrzekł sam do siebie:

— Hm! to małżeństwo nie podoba się prezesowi... Miałzeby sam!... Głupstwo... Przecież jest żonaty.

Tak jest, prezes był żonatym, a co więcej, jego pożycie domowe miało coś tajemniczego. Niektórzy twierdzili, że ożenił się z interesu, inni znów, iż wbrew wygłoszonej teorii spowodowała go do tego krcku szalona miłość, że żona jego była niegdyś bardzo piękna, chociaż dziś pozostały z téj piękności zaledwie ślady.

Pani Olbrowiczowa prowadziła życie bardzo osobnionie w swoim pałacu lub majątku o mil parę oddalonym od Warszawy, oddana wychowaniu dzieci; nie bywała prawie nigdzie. Pomimo widocznych różnic

upodobań, pożycie Olbrowiczów było zgodne: żona nie zdawała się zwracać uwagi na nieprzeliczone niewierności męża, ani tém mniej szukać za nie odwetu, on znów okazywał się dla niej zawsze pełen szacunku, a nawet szacunek ten miał odcień czułości. Słowem para ta przedstawiała zagadkę swą powagą i zgodą, w pośród okoliczności, które ją zwykle zakłuczają, a w życiu prezesa żona stanowiła dla ogółu cyfrę niewiadomą.

Zabawa ożywiała się coraz więcej. Po walcu nastąpił kontredans, po kontredansie mazur; atmosfera stawała się gorącą i duszną od płomieni świec, od zmieszanych oddechów, a równomiernie z podnoszeniem się termometru, podnosiła się weselość gości. Mazur wrzał życiem. Kilka par krążyło po salonie w malowniczych figurach, koła, krzyże, koszyki wiązały się i rozwiązywały nieustannie. Odgłos holubców mieszał się z dźwiękiem muzyki. Mężczyźni po każdej figurze wymykali się zmordowani do dalszych pokojów, by pokrzepić się kieliszkiem wina i pociągnąć dymu z cygara. Roznoszono nieustannie lody i chłodniki.

Tancerki co chwila, pod pozorem poprawy stroju, wachlując się biegly do toalety, by opsypać pudrem twarz i ramiona. Mniej zamiłowane do tańca, lub mniej poszukiwane, zajmowały miejsca w buduarze a nawet nieodstraszone dymem wciskały się do pokoju panów.

Wszędzie można było spotkać grupy rozmawiające z ożywieniem... Lody pękły, rozluźniły się węzły etykiety, spojrzenia stawały się wyraziste, usta bardziej wymowne, zwierzenia poufalsze.

Odurzająca atmosfera balu działała na wszystkich bez wyjątku. Było coś podniecającego w powietrzu, przesyconém woniami, drgającym od skocznych tonów, od par krążących, w szalonym wirze. Odczuwała ją nawet zimna, sztywna, ostrożna sędzina Ożycka, która nie lubiła wydawać się ze swoich myśli.

Teraz na kozetce w buduarze obok doktorowej Ryłskiej, nachylona ku niej dzieliła z nią uczynione spostrzeżenia — a pani Ożycka słynęła z bystrego wzroku i ostrego języka.

— Marcela jest promieniejącą — mówiła sznurując wazkie usta w ten sposób, jakby upatrywała w tym fackie coś gorszącego lub obrażającego ją osobiście.

— Nic dziwnego — odparła dobroduszna doktorowa: kiedyż będzie szczęśliwą, jeśli nie dzisiaj.

Doktorowa stanowiła zupełny kontrast z sędziwą. Była to okrągłutka i wesolutka kobieta, patrzyła na świat przez różowe okulary dobrego humoru. Sędzina była poważną jak kodeks i strzegła też kodeksu przyzwoitości towarzyskich, zazdrosna jak argus jaki, wszędzie upatrując przekroczenia.

W tej chwili zajmująca rozmowa tych pań przer-

waną została hasłem, wydanem do kolacyi. Mazur zmienił się od razu w poważny polonez. Pary chwile zatrzymywały się w miejscu jakby niepewne, potem uszykowały jedna za drugą i sunęły do jadalnego pokoju. Dwóch panów zbliżyło się i podawszy ramię sędzinie i doktorowej poprowadziły je do wielkiego stołu, w chwili właśnie, w której już, już miały uczuć się obrażone, że o nich zapomniano.

Jadalnia pomimo ogromnych rozmiarów nie mogła pomieścić zaproszonych; ustawiono stoły dodatkowe w gabinecie Sawińskiego i w pokoju Stanisława. Olbrowicz naturalnie znalazł się przy głównym stole trafem, czy z powodu umyślnych manewrów pomiędzy piękną panią Mulską, a równie piękną panią Kalicką. Naturalnie obie prześcigały się w zabiegach zabawienia go, zwrócenia uwagi.

Finansista łaskawie bawić się pozwalał, zagadkowy uśmiech nie schodził z ust jego, oczy jednakże z po za okularów nie przestawały śledzić Marceli, która nie usiadła do stołu, ale obchodziła go wraz z ojcem w czasie, gdy Jadwinia prezydowała przy stole panińskim, a Stanisław zajmował się młodzieżą.

Sędzina z doktorową usiadły przy sobie. Roznoszono majonezy, przystrojone z całym wykwintem kulinarnéj sztuki wśród sosu najczystrzego kremowego koloru, widać było gdzie niegdzie różowe mięso łososi, czerwoną barwę homarów, ciemne, wonne

trufle, żywe odcienia pikli przy purpurowych i złotych kroplach galarety.

— Co za wykwint — szepnęła doktorowa, przybierając po raz drugi ogromną porcyę łososia. — Tego w domu nie zrobiono. Widać zaraz, że to od Stepkowskiego pochodzi.

— Czy nie mówiłam, jakie tu zbytki — zawołała tryumfująco sędzina, a idąc za przykładem sąsiadki nałożyła sobie czubaty talerz.

— Niby to smaku dodają, te wszystkie figle kuchenne. Ciekawam, komu chcą zaimponować, jużci nie Czerczy, bo ten zapewneby się na tém nie poznał.

Oczy doktorowój szukały narzeczonego, znajdującego się w téj chwili koło Marceli, i spoczęły na nim. Pani sędzina nieznacznie pociągnęła ją za rękaw.

— Wszakże jest prezes — rzekła zniżonym głosem, wskazując go oczyma — dla niego przecież wystąpić warto — zna się na tém.

— Oh prezes! takj zajęty, że nie wie nawet, co ma na talerzu. Patrz pani, jak Mulska śmieje się do niego, pokazując białe, ostre ząbki, a Kalicka magnetyzuje go spojrzeniem. Która téż odniesie zwycięstwo?

Sędzina wzruszyła ramionami.

— Zwycięstwo! obiedwie i żadna. Czyż pani prezesa nie zna! Podobają mu się wszystkie kobiety na świecie, oprócz jednej — własnej żony. Teraz przecież nie zajmują go sąsiadki, z po za nich upa-

truje on kogoś innego, a upatruje tak uparcie, że doprawdy gdyby tylko był wolny — kto wie, czy byłibyśmy dzisiaj na zaręczynach Czerczy.

— Doprawdy! — zawołała zdumiona doktorowa. — Taki bogaty!

— Taki bogaty — powtórzyła — mógłby przecież się rozwieść.

— W ich świecie to nie uchodzi. Prezesowa jest kobietą rozsądną; zazdrości nie okazuje. Wniosła mężowi znaczny posąg, należy do rodziny poważnej. Rozwód — to skandal; a mąż mój powiada, że skandal zawsze nadweręza kredyt.

Sędzina wypowiadała to wszystko sentencyonalnie, doktorowa potakiwała.

— Byłaby to jednak — wyrzekła, wracając do swojej myśli — nie lada partya dla Marcelli.

— Wierzę, i poprawiłaby interesa Sawińskich. Cóż, kiedy z tego być nie może.

— Czerwone czy białe? — odezwał się w tej chwili głos gospodarza domu, który obchodząc stół, zatrzymał się przy nich. — Czém mogę służyć.

Doktorowa zarumieniła się, sędzina podniosła na niego świdrujące oczy.

— Białe, białe! — zawołała — to mój kolor.

A potém dodała śmiało.

— Mówiliśmy właśnie o panu. Cóż to za świetne towarzystwo! Jakie urządzenie, a jaka kolacya!

Już to wieczoru nikt tak, jak mecenas, urządzić nie umie.

Sawiński odpowiedział coś niewyraźnie—odwołał go, a sędzina piła powoli nalane przez niego wino.

— Mąż mówi, że to wino przynajmniej na cztery ruble butelka. Co za zbytki! co za zbytki!

Tymczasem wnoszono jedne po drugich wykwinne potrawy, a pani sędzina, powtarzając ten wykrzyknik, żadnej nie pominęła.

Teraz przyszła kolej na wety; wino szampańskie pieniało się w czarach barwą bladego rubinu, służba odkorkowywała butelki dyskretnie, tak, iż czasem tylko odezwał się zgłuszony łoskot wysadzonego korka. Weselość się wzmagala, rósł gwar rozmów i mieszał się z gwarem, dochodzącym z bocznych pokojów.

Wnoszono właśnie toast na cześć narzeczonych. Pan Seweryn, urzędowy mówca, podniósł się i rozpoczął przemowę. Wszyscy powstali, mężczyźni wieńcem otoczyli mówcę, umilkły gwary pojedynczych głosów, a on mówił:

— Kiedy młodość łączy się z młodością, wdzięk z wdziękiem, kiedy...

Nagle w salonie dały się słyszeć skoczne nuty walca i młodsza część towarzystwa, łamiąc pravidła etykiety, pomknęła niecierpliwa w wir tańca. Hałas sprawiony tym sposobem, zagłuszył mówcę w pół frazesu.

— A toż co! — szepnął Sawiński, dając napróżno znaki, by muzyka ucichła.

Ale nie łatwo było dać się usłyszeć wśród tłumu i gwaru. Wszyscy ruszali się od stołu. Mówca pozostał z oracyą, przygotowaną od dni kilku, niezadowolony, pomimo podziękowań Sawińskiego i narzeczonych.

— Któż dał znak rozpoczęcia tańców? — spytał gospodarz domu Stanisława, który nawet wśród ogólnego rozochocenia nie stracił swój chłodnej, urzędowej miny.

— Doprawdy nie wiem. Czekałem na rozkaz ojca.

W tej chwili przesuwiała się przy drzwiach salonu młodziutka para, Jadwisia w objęciu jakiegoś tancerza. Jej sukienka różowa fruwała tylko wokoło nóżek, wykonywających szybkie obroty. Fruwały wstążki i kwiaty, fruwały jasne pukle włosów; a fioletkowe oczy błyszczały radością. Tancerz jej, wysmukły, zręczny, młody, jak ona, ze złocistym puszkim, wysypującym mu się około ust malinowych, unosił ją i przyciskał do siebie instyktownym ruchem, jakby zapomniał o reszcie świata.

Tworzyli oni oboje rodzaj wdzięcznej zawieruchy wirującej po wielkim salonie.

— Zdaje mi się — szepnęła z uśmiechem Marcela, wskazując na siostrę — że to jest winowajczyni.

Właśnie w tej chwili muzyka umilkła, zrozumiałszy nakoniec dawane jej sygnały. Jadwisia ze swym

tancerzem zrobiła jeszcze parę obrotów siłą rozpędu, potem wysunęła mu się z rąk i upadła prawie na krzesło wależąc z zawrotem głowy. A chcąc zapewne ukryć rumieniec zaczęła się wachlować gwałtownie.

— Nie prawdaż — wyrzekła podchodząc do niej Marcela — żeś to ty niewczesnym walcem popsuła cały efekt mowy pana Seweryna?

— Oh! Marcelko, tak nam się przy kolacyi nudziło, a potem obiecałam tego walca panu Gustawowi i on się dopominał...

Pan Gustaw był to młody technolog, który ferye świąteczne spędzał u rodziny w Warszawie.

W tej chwili starsza siostra zrozumiała, czemu fabryka nasuwała się na myśl Jadwisi i z kąd czerpała wiadomości chemiczne, któremi popisywała się coraz częściej.

— Już rozumiem — wyrzekła — a tobie tak pilno tańczyć z panem Gustawem.

Jadwinia zrobiła figlarną minkę.

— Widzisz — ja nie wiedziałam, że pan Seweryn ma przemowę. Zresztą, czy tak bardzo o nią chodzi?

— Ojciec z tego nie rad.

— Ojcu tak wypada; przecież i on jej nie żałuje; zaręczam — zawołała, zrywając się z miejsca. — Ale czemuż nie grają? Szkoda czasu. Ah! jak ja lubię tańczyć...

— Z panem Gustawem — dokończyła starsza siostra.

— A gdyby tak było! Ty wolisz tańczyć z Ryszardem, niż z innymi.

— To wcale co innego. Ryszard jest moim narzeczonym.

Jadwinia podniosła nagle oczy i spojrzała na siostrę wymownym wzrokiem; można w nim było wyczytać wyraźnie, że i Gustaw narzeczonym jej zostać może. Marcela rozśmiała się pobłażliwie.

— No — szepnęła — do tego jeszcze daleko.

Rozmowę ich przerwała znowu muzyka, pary szykowały się do kotyliona. Teraz salony przybrały odmienny charakter. Starsza, poważniejsza część towarzystwa, wysunęła się po kolacyi. Ojcowie rodzin grali w wista w gabinecie pana domu; matki, przykute do miejsca zabawą córek, ogłuszone dźwiękiem muzyki i wirem par, zmęczone, zrezygnowane, przypatrywały się tańcom półsennemi oczyma.

Młodzież szalała, rozgrzana, rozochocona, przeczuwając koniec zabawy i chcąc użyć jej jeszcze. Służba snuła się znużona, świece dopalały się w żyrandolach i kandelabrach, a chwiejąc się od przesuwających par, rzucały na wszystkie strony ruchome cienie profitek.

Przez drzwi, na oścież pootwierane, dochodziło niekiedy chłodne powietrze, mieszając się z gorącą atmosferą balowej sali i tworząc z nią kontrast, po-

dobny do tego, jaki przedstawiało kilku zmordowanych tancerzy, odpoczywających w bocznych pokojach.

Wszędzie już czuć się dawały ostatnie tchnienia zabawy. Kotylion, przeciągany sztucznie, dogorywał, czasem zdawał się już konać, wówczas zmęczone matki podnosiły się z kanap, wołały córek, dotykały troskliwie ich twarzy i szyi, zalecały spoczynek. Marcela i Jadwiga prosiły, by nie przerywano zabawy, a ostatni zastęp niezmordowanych tancerzy nadawał jej nowy impuls, dopominał się o prawa u tancerek i na wpeł przemocą wprowadzał je znowu. Matki godziły się na to, zwyciężone ostatecznie błagalnym uśmiechem córek i znów zrezygnowane opadały na swoje miejsca.

Ale sztuczne podbudzenie trwało krótko; na wszystkich znać wyczerpanie, muzyka i tancerze dobywali sił ostatnich — nadaremnie. Siły wypowiedziały posłuszeństwo. Aż wreszcie, kiedy mdłe światło poranka wciskać się zaczęło przez zamknięte szyby do oświetlonych salonów, ostatni goście wychodzili tłumnie. Wśród ciszy, zalegającej miasto o tej godzinie, rozległ się głuchy turkot powozów i zniknął w oddali, a w salonach, pełnych przed chwilą ruchu, gwaru, woni, strojów i zbytku, wałały się strzępki tarlatanów, tiulów, płatki opadłych kwiatów, kawałki wstążek, gdzie nie gdzie złamany wachlarz, zapomniana chustka lub rękawiczka. Ja-

kiś nieskończony smutek wiał z tego zbrukanego apartamentu; posadzka, w której przed kilku godzinami przejrzyć się było można, teraz zdeptana, starta, bez blasku podobną była do pobojuwiska.

Sawińscy nie patrzyli na ten smutny widok. Każdy szukał spoczynku i zasnął wśród miłych marzeń. Ojciec rad był, że uroczystość odbyła się z należnym blaskiem, że zaszczyciło ją obecnością wielu znakomitych osobistości. Stanisław cieszył się, że ten nudny wieczór był skończony. Marcela marzyła szczęśliwa, a serduszko Jadwini biło szybko, gwałtownie i ukołysało ją do snów radosnych. Każdemu z nich uśmiechały się błogie nadzieje.

Nazajutrz Marcela obudziła się około południa. Czowała jeszcze znużenie; ale znużenie bez przykrości, znużenie, które przypominało jej wieczór tryumfu i szczęścia.

Dzwoniąc na służącą, pomyślała, że Ryszard przyjdzie zapewne zapytać o jej zdrowie, a pilno jej było zobaczyć go znowu. Miała mu tyle rzeczy do powiedzenia o wczorajszym wieczorze.

Panna służąca, zaspana jeszcze, podniosła stopy i jasne słońce zimowe rozświetliło szyby, czyniąc wyraźnemi fantastyczne kwiaty, jakie na nich mróz wyrysował. Myśli Marceli były także jasne i słoneczne.

Ubrawszy się, przeszła do jadalnego pokoju i zapytała o ojca. Wbrew zwyczajowi, Sawiński spo-

czywał jeszcze, a ponieważ nie naznaczył godziny, o której go obudzić miano, nikt do jego pokoju nie wchodził.

Była to niedziela, więc Marcela uśmiechnęła się tylko.

— Biedny ojciec! — szepnęła — niech śpi, był tak zmęczony.

Tymczasem wstała Jadwinia i przybiegła ucałować starszą siostrę. Stanisław pił herbatę u siebie.

Zbliżała się druga, a w pokoju pana Sawińskiego panowała jeszcze zupełna cisza, kiedy przyniesiono do niego telegram. Telegramy u ludzi mających rozległe interesa, są rzeczą codzienną. Marcela nie byłaby z tego powodu przerywała spoczynku ojca, ale telegram ten wymagał natychmiastowej odpowiedzi, a godzina była już tak późną, iż zdecydowała się posłać go ojcu.

Po chwili wśród cichego domu rozległ się okrzyk przerażenia, potem kroki szybkie i służący wpadł do pokoju, wołając:

— Pan nie żyje!

Zwyczajem prostych ludzi, śpieszył ze straszną nowiną i wypowiedział ją bez oględności żadnej.

Marcela poprawiała kwiaty w żardinierce i słowa te padły wśród jej marzeń, wśród spokojnych myśli, jak piorun, co uderza z pogodnego nieba. Oczy, szeroko rozwarte, wlepiała w zwiastuna nieszczęścia, nie zdolna zdać sobie dokładnej sprawy i była, jak

skamieniała z rękoma, zanurzonemi wśród kwiatów, cała drżąca, bez głosu.

Służący opowiadał, jak wszedł na palcach, przemówił, jak pan się nie ruszył; wówczas dotknął się jego ręki, ręka była już zlodowaciała.

Słuchała. Chciała przemówić, biedz, zobaczyć sama, zaprzeczyć tej strasznej wieści. Ten człowiek mylić się musiał; to co mówił, było niepodobieństwem; trzeba było wezwać ratunku, doktora.

Ale nie była w stanie postąpić kroku, wydać głosu, w oczach zrobiło się jój ciemno i padła zemdlona, tłukąc majolikowy wazon, którego ręce jój uczepliły się konwulsyjuie.

Służący, przerażony tym rezultatem wieści, rzucenój nieogłędnie, nie wiedział, co ma uczynić; ale już ruch niezwykły zrobił się we wszystkich pokojach, słyhać było płacz, okrzyki, bieganie, a we drzwiach ukazał się Stanisław na wpół ubrany, błady śmiertelnie.

Na widok zemdlonój siostry, zrobił ruch, pełen gniewu, czy zniechęcenia i wydał rozkaz służącemu, by natychmiast biegł po doktora, a sam jak szalony rzucił się do pokoju ojca. On także nie mógł uwierzyć tej nagłej śmierci.

Przy łóżku umarłego klęczała już Jadwisia, zanosząc się od łez, przyciskając usta gorące do jego ręki.

— Doktora, doktora! — wołała wśród łkań.

O tój godzinie znaleźć pomoc lekarską było rzeczą trudną. Zresztą wszelka pomoc była już od dawna zbyteczną. Upłynęło wiele czasu, zanim przywołany lekarz przybył, na to tylko, by stwierdzić śmierć, spowodowaną atakiem apopleksyi piornnującej. Doktor, odchodząc, rzucił zwykle w podobnych razach słowa.

— A przestrzegałem pana Sawińskiego... Wiedziałem, co mu grozi. Skarżył się nieraz na zawrót głowy, duszność. Nie chciał mnie słuchać. Pracował za wiele...

Pracował za wiele!—te słowa rozległy się w sercach dzieci, jak wyrzut straszliwy. Pracował przecie dla nich!

Teraz już cała rodzina zgromadziła się w pokoju zmarłego; Marcela nawet, otrzeźwiona, przywlokła się tutaj. Była ona najukochańszem dzieckiem ojca, powiernicą zamiarów, przyjaciółką, ona też może najsrożej cierpiała. Stała, wsparta o krawędź łóżka ze złożonemi rękoma zamknięta w sobie, jak zawsze, podobna do białego posągu boleści. Żal jój swym głębokim charakterem stanowił kontrast z dziecinnemi łzami Jadwini, z twarzą brata, w której znać było tyle przynajmniej frasunku, co żalu.

Tak zastał ją Ryszard, który, śpiesząc tutaj według zwyczaju, spotkał się we drzwiach z okropną wieścią. Marcela usłyszała go, rozeznała zbliżające się kroki, zwróciła się ku niemu, jakby szukała

wsparcia, opieki, i skłaniając głowę na jego ramię, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Zdawało się jêj, iż po ciosie, jaki ją spotkał, kochała go więcej jeszcze. On był teraz dla niêj jedyną ostoją, podporą jedyną. Przerazona nagle poniesioną stratą, pomyślała, iż stracić go może także, i garnęła się do niego, jakby osłonić mogła swą miłością od niewidzialnych pocisków śmierci.

Ryszard przycisnął ją do siebie. Miał do tego prawo. Wszak wczoraj jeszcze uroczyście zaręczyli się z sobą. Rozciągając nad nią swą opiekę, wyprowadził ją z tego żałobnego pokoju, a wychodząc dał znak Stanisławowi, by oderwał Jadwinię od martwych zwłok. Ale Stanisław z twarzą ukrytą w dłoniach nie zdawał się go słyszeć.

Marcela dała powodować sobą; pozwoliła odprowadzić się do swego pokoju, posadzić na szezlongu, pozwoliła mu nawet odejść od siebie. Pojęła, że on teraz musiał objąć ster domu i to sprawiało jêj rodzaj ulgi.

Z Jadwinią sprawa okazała się trudniejszą. Było to dziecko jeszcze, uczucia jêj były niepohamowane. Trzeba było gwałtem prawie oderwać ją od ojca. A gdy wreszcie znalazła się przy siostrze, rzuciła się na poduszki kanapy, daremnie starając się uspokoić łkania namiętne.

Kiedy umiera ubogi, boleść rodziny komplikuje się niepokojem o koszta pogrzebu. Tutaj przynaj-

mniej tego niepokoju być nie mogło; potrzebna suma na najwspanialsze obrzędy, znaleźć się musiała w kasie zmarłego, może nawet w podręcznym portfelu. Teraz jednak nie była pora właściwa do przeglądania spuścizny zmarłego. Stanisław przywykły, by za niego myślano i działano, nie był w stanie postarać się o konieczne środki. Wszystko więc spadło na głowę Ryszarda. Okazał się on żywą opatrnością rodziny, prawdziwym opiekunem sierot. Wprawdzie na szczeblu towarzyskim i w położeniu majątkowém Sawińskich opieka ta była czysto-moralnej natury, koszta zaś wyłożone na wydatki pogrzebowe stanowiły zbyt drobną przysługę, by warto było o nią wspominać. Każdy z przyjaciół domu to samo byłby uczynił bez wahania, tylko z prawa Ryszardowi należało się pierwszeństwo. Tak osądził świat.

Nie dziw więc, że w tych warunkach pogrzeb odbył się z należytą okazałością i zgromadził te same osoby, które przed kilku dniami uczestniczyły w wesolej uroczystości zaręczyn. Orszak składał się z tak zwanój inteligencji, pomieszanój z eleganckim towarzystwem, w którym żyli Sawińscy. Mroźna, zimowa pogoda sprzyjała obrzędowi i zgromadziła nawet dalszych znajomych, którzyby się zawahali przed błotną wędrówką na Powązki. Pod ożywczemi promieniami słońca stawili się wszyscy, bo wreszcie był to cel przechadzki, łatwe spotkanie ze

znajomymi, sposób okazania tanim kosztem swego współczucia i przepędzenia kilku godzin.

Przed karawanem, którego czarne sukno pokropione było srebrnemi gwiazdami, przed szeregiem księży, postępujących zwolna, niesiono wieńce od kolegów zmarłego, od przyjaciół, od rodziny, a białe wstęgi i zieleń liści odbijały na czarnych ubiorach tych, co je nieśli w urzędowém milczeniu. Za trumną, jak zwykle, szła rodzina w czarnych krepach i oznakach grubój żałoby. Rodzinę tę składały tylko dzieci zmarłego. Sawiński nie miał tu żadnych krewnych. Ryszard podawał ramię narzeczonej, Stanisław prowadził Jadwinę. Zwykła jego apatyczna powaga, zwykła bladość nocy bezsennych nadawała mu pozór, odpowiedni tej smutnej ceremonii. Tutaj, jak zawsze w oku świata, był poprawnym i bez zarzutu. Jadwinia miała powieki zapuchnięte i zanosila się od łez. Czasem zatrzymywała się, jakby już nie miała siły iść dalej i przyciskała chustkę do oczów zrozpaczonym ruchem. Brat chciał wsadzić ją do powozu, ale ona opierała mu się i szła dalej, podtrzymywana sztuczną energią.

Za nimi dopiéro parami, gromadnie, cisnął się tłum bliższych i dalszych znajomych. Zapełniał on całą szerokość ulicy, snuł się na trotuarach długim szeregiem, aż około korowodu karet i powozów postępujących noga za nogą. Słowem był to świetny

pogrzeb, jeden z tych, co przynajmniej raz na tydzień przeciągają przez ulice Warszawy.

Pomiędzy tłumem była sędzina Ożycka, i doktorkowa Rylska, pani Mulska i pani Kalicka... Te ostatnie w wytwornych futrach, w kapeluszach według najświeższej mody, przyglądały się sobie wzajemnie, szukały oczyma prezesa, który tak jak zaszczycił żareczyny, zaszczycił i pogrzeb swoją obecnością.

Prezes dnia tego był jednak nieprzystępny; szedł blisko trumny tak, by mógł widzieć Marcelę i wżajem być od niej widziany, z postawą nastrojoną do okoliczności.

Pomiędzy tłumem krzyżowały się te wszystkie stereotypowe zdania, jakie ogół czuje się w obowiązku w podobnych razach wypowiadać.

— Mój Boże! otóż to życie ludzkie. Jedna chwila, i niema go!

— Parę dni temu był taki wesoly. Ktoby się tego spodziewał.

— Nie stary wcale i tak mu się zmarło.

— Wyglądał na starszego brata swych córek.

— Ha, taka to kolej, wszyscy na to przyjdziemy.

— Człowiek nafrasuje się, nadreyczy i po co?

Koniec jeden.

Na tle tej samej filozofii, wywoływanej każdym pogrzebem, rysowały się bardziej osobiste uwagi, domysły spostrzeżenia.

— Marceli ślicznie w żałobie—mówiła pani Muł-

ska do prowadzącego ją męża. — Już to w czarnym kolorze tylko młodym do twarzy.

Mówiła to w ten sposób, by mogła usłyszeć ją wiekuista rywalka, pani Kalicka, z którą zawsze jak na złość spotkać się musiała. Dodała więc głośniej podnosząc w górę świeżą twarzyczkę, która wyzywała śmiało promienie słoneczne.

— Nie ma to jak młodość!

Po chwili zapomniała o swojej rywalce, pochwycona codziennymi warunkami życia i mówiła, zwracając się do jednej ze znajomych, znajdującą się blisko:

— Ten pogrzeb trwać będzie bardzo długo, a ja mam dzisiaj obiad proszony.

Zdwała kroku, jakby mogła tém samém przyspieszyć pochód żałobnego orszaku, a tymczasem ujrzała pana Henryka, jednego ze swych stałych wielbicieli, kiwnęła na niego nieznacznie mufką, by się przybliżył.

P Henryk nie dał sobie dwa razy tego rozkazu powtórzyć; rzucił się pomiędzy tłum i roztrącając go walecznie, znalazł się niebawem przy boku pani Mulskiej, bez względu na ściągające go oburzone spojrzenia.

Pani Mulska zwróciła się do niego i szeptała coś, na co on wybuchał tłumionym śmiechem. Mąż, który ją prowadził, był zawsze taki poważny, iż dziwił

się nie było można żonie, szukającej weselszego towarzystwa.

Pan Henryk wiedział, czém się przypodobać, więc zrobił dowcipną uwagę o kapeluszu pani Kalickiej; z kolei pani Mulska chychotała się, zakrywając mufką usta. Oczy jednak ją zdradziły. Zresztą w tej chwili „*De profundis*”, zaintonowane przez duchowieństwo, niewczesny ten śmiech zagłuszyło.

Pani Kalicka widziała to i gorszyła się postępowaniem swęj rywalki wraz z prowadzącym ją panem Alfredem... Wszakże to pogrzeb, wesołość urąga żalowi rodziny, uroczystości obrzędu, wreszcie przyzwoitości samęj. Wiadomo przecież, że ta biedna pani Mulska jest trochę postrzelona, przytém nie tylko nie umie się prowadzić, ale nawet zachować przyzwoicie... Wypowiedziawszy to z właściwém ubolewaniem, pani Kalicka dała po cichu szczegółowe instrukcyę panu Alfredowi, gdzie mają się spotkać na przyszlęj maskaradzie. Czyniła to jednak z pobożnie spuszczonemi oczyma i z takim wyrazem, jakby rozpamiętywała zasługi zmarłego. A pan Alfred uszczęśliwiony otrzymaną schadzka, umiał także ułożyć twarz według okoliczności. Oboje więc przedstawiali wzorową parę, pełną skupienia i powagi.

Sędzina z doktorową spotkały się także. Witwały się kiwając smutnie głowami z minami wyroczni, jakby chciały powiedzieć: a co, czy nie mówiłam? Nie mówiły przecież nic; nieszczęście, jakie spadło

na Sawińskich, było nieprzewidziane, pomimo to rozumiały się doskonale.

— Otóż i po wszystkim! — szepta sędzina.

— Tak! po wszystkim — odpowiada doktorowa. — Co oni teraz poczną?

— Co? Będą musieli pracować i oszczędzać się, jak każdy inny. Po tych wszystkich zbytkach, to łatwo nie pójdzie. Oh! pożałują teraz nie jednego zmarnowanego grosza, zaręczam! Mój mąż zawsze mówi, że Sawiński mógł krocie zostawić.

— Patrz pani! Marcela wygląda, jakby z krzyża zdjęta, Jadwisi trudno poznać tak zapłakana, nawet Stanisław zdaje się w rozpacz.

— Czy to panią dziwi? — ofuknęła ją sędzina. — Czyż nie mają czego płakać? Razem z ojcem stracili wszystko.

Potem dodała twardo.

— Teraz płaczą po nim, ale będą oni płakać na niego.

— A narzeczony! patrz pani, narzeczony—wołała doktorowa — wygląda jak okradziony.

— Bo też i jest nim. Rzeczy się zmieniły; teraz to on robi nieosobliwą partyę. Utrzymać taką panią, jak Marcela, bez pomocy ojca—to nie małe zadanie.

— Może też Sawiński co zostawił?

— Długi zostawił, powiadam pani, długi tylko; bo choć się zapracowywał.. i tak nastarczyć nie mógł wydatkom.

W miarę posuwania się ku cmentarzowi, orszak się zmniejszał; ktoś przypomniał sobie pilny interes, innemu było zimno, trzeci był zmęczony. Wytrwali siadali do powozów, a mniej wytrwali wprost pozostawali w tyle i odłączali się od orszaku; tylko niosący wieńce postępowali naprzód sztywno, urzędownie, zmieniając się co prawda od czasu do czasu.

Dziwiono się prezesowi, który nie cierpiał pogrzebów, a jednak teraz doszedł do samych Powązek i nie zważał wcale, gdy nieodstępny towarzysz, pan Hyacenty, przedstawiał mu parę razy, że idąc tak daleko może zmęczyć się lub zaziębić.

Blisko rodziny postępował także pan Melchior. Nie było to nic dziwnego; znano stosunki, jakie łączyły go ze zmarłym. Przecież można było zauważyć, iż współczucie jego tyczyło się głównie Marceli. Szedł patrząc w nią jak w tęczę i nawet przysuwał się kilka razy, prosząc Marceli, by wsiadła do powozu, gdyż może zaziębić się lub zmęczyć. Ale ona nie była w stanie odpowiedzieć mu. Może nie zauważyła nawet tej troskliwości.

Kiedy smutny obrzęd został ukończony, kiedy wypowiedziano kilka mów, spuszczone trumnę do grobu, odmówiono modlitwy i zamknięto nad nią żelazne drzwi grobowca rodzinnego, kiedy wszyscy śpiesznie rozchodzić się zaczęli: porzucając okolicznościowe zachowanie się, przywdziane jak czarny strój na pogrzeb, kiedy wreszcie do karety wsiadła

Marcela, jej siostra i Stanisław, Ryszard uczuł, że dopełnił w części przynajmniej swego obowiązku.

Obie siostry, łkając rzuciły się w głąb powozu; Stanisław, który usiadł na przedzie, posunął się chcąc zrobić miejsce przyszłemu szwagrowi. Ale on zamiast wsiąść, zatrzasnął drzwiczki.

— Nie jedziesz z nami? — zapytał Stanisław przez okno.

— Nie; mam jeszcze tu rachunek do załatwienia. Powóz ruszył. Ryszard potrzebował może skupić myśli, odetchnąć zdala od wielkiej boleści, której widok był mu nieznośny. Spozrzegł jednak, iż zwraca uwagę całego orszaku, powracającego teraz rażno, niemal wesoło do miasta. Wsiadł więc do jednego z powozów, kazał wyminąć ten tłum znajomych i objechać bocznymi ulicami.

Pierwszy raz od dni kilku miał chwilę czasu, ażeby zastanowić się nad sobą, nad swoim położeniem. Czuł się nad wszelki wyraz znużony. Drobiazgowy zabiegi, wydatki, targi: ten cały ciężar, który spadł na niego, był mu nieznośny. Faktycznie on zastąpił miejsce zmarłego w rodzinie. Czy tak miało być zawsze, czy on miał dalej dzwigać aż trzy egzystencye, niezdolne istnieć same przez się? Śmierć Sawińskiego niweczyła wszystkie nadzieje, burzyła gmach marzeń i przeszłość—bliską, zdobytą już, stawiała znowu w oddali. Nie była to jednak boleść serdeczna, to też nie odejmowała mu ona trzeźwego poglądu na

położenie. Dla niego śmierć ta była katastrofą raczej, niż cierpieniem; ambicya jego więcej, niż uczucie była podrażnioną.

Niecierpliwym ruchem zrzucił kapelusz, czoło miał pałające. Piękna jego, energiczna głowa, w tył przechylona, wspierała się na jasnym obiciu karety i rysowała na niej swe kształty rozwinięte prawidłowo, bez zarzutu. Brwi teraz ściągnięte, łączyły się wyraźniej twardą linją, nadającą ponurą surowość rysom. Oczy zapadłe nieco przez te dni trudów i bezsenności, zdawały się powiększone, paliły się wśród przyciemnionych powiek ogniem refleksyi i woli. Siedział nieruchomy ze żrenicami sztywno wbitemi przed siebie w przedmioty, których nie zdawał się widzieć, zapatrzony w głąb własnej myśli. Wśród miasta już wychylił się przez okno i zamiast do Sawińskich, kazał się zawieźć do siebie.

Kiedy Marcela uspokoiła się trochę, szukała przy sobie Ryszarda i zapytała o niego brata. W chwili w której najdotkliwiej dało się jej uczuć sieroctwo, potrzebowała spojrzeć w oblicze jego, by zaczerpnąć siły i odwagi. Sądziła, że zastanie go już w tym smutnym, pustym, przerażającym domu, gdzie wszystko mówiło o zmarłym, przypominało przeszłość; sądziła, że on odczuje tę potrzebę jej serca — zwrócenia się teraz do przyszłości, że osłodzi jej tę okropną chwilę. Ale go tutaj nie było...

Stanisław rzucił się jak długi na szezlong w pokoju siostry i milczał pognębiony.

— Czy Ryszard nie mówił ci, kiedy tu będzie? — spytała go Marcela.

Stanisław wzruszył ramionami.

— Nie mówił nic. Musi być zmęczony, odpoczywa także.

Siostra nie odpowiedziała. Czyż on mógł znaleźć spoczynek zdala od niej, czyż nie odczuwał już tętna jęj zboląłego serca? Zrozumiała teraz, iż on nie mógł podzielać w zupełności jęj żalu: on nie stracił ojca, jak ona.

Fakt to był naturalny, a jednak uczyła w nim coś na kształt rozdźwięku; zrodziło się w niej jakies cierpienie nowe, odmienne, osobistej natury.

Ryszard stawił się dopiero na drugi dzień; zamieniwszy parę słów z Marcelą, udał się do Stanisława. Nadeszła pora rozpatrzenia się w interesach zmarłego; interesa te chciał wyrozumić wraz z jego synem.

Stanisław, pogrążony w apatycznej bezczynności, siedział rozpostarty w fotelu z cygarem ustach, w rannym ubiorze. Podał rękę przyszłemu szwagrowi.

— Ach! przyszedłeś wreszcie! Marcela wczoraj troszczyła się o ciebie; ledwiem zdołał jęj wytłumaczyć, że potrzebujesz spoczynku.

-- Potrzebowaliśmy go wszyscy. Dziś jednak należy rozpatrzyć położenie i zastosować się...

Stanisław przerwał mu skinieniem ręki, pełnym zniechęcenia.

— Nie ma się do czego spieszyć — szepnął pośpnie.

— Jakto!

— No, tak. Wiadomo przecież, że ojciec majątku żadnego nie miał, z pewnością i kapitałów nie zebrał.

— Więc w takim razie...

Niedokończył zaczętej myśli ale wpatrzył się w Stanisława badawczo... On wzrok ten zrozumiał, bo odparł:

— Tak, tak, mamy prawdopodobnie bardzo mało, albo nawet nie zgoła. Czyż nie wiedziałeś o tém?

Ryszard umiał panować nad sobą, twarz jego nie drgnęła.

— Nie, nie wiedziałem — odparł z prostotą.

Była chwila milczenia — długa.

— Więc cóż teraz będzie? — zapytał wreszcie Ryszard.

Stanisław strząsnął niecierpliwym ruchem popiół z cygara, który osypał tureckie obicie fotelu i dywan, zaścielający ziemię.

— Właśnie — rzekł — myślałem o tém, chciałem się ciebie zapytać.

Brwi Ryszarda się zbiegły.

— Zapytać się mnie! — powtórzył. — Zdaje mi się, że jesteś człowiekiem rozumnym; nie potrzebujesz pytać i wiesz sam, co uczynić należy. Ty zresztą jesteś jeszcze najszcześliwszy z całej rodziny; masz swoje stanowisko.

— Ja?... Jeśli mówisz o tym tysiącu rubli pensyi rocznej, to masz też co brać w rachunek. Wiesz dobrze, iż mi zaledwie starczy na cygara.

— Ależ to zmienić się musi!

Stanisław rzucił z gniewem niedopalone cygaro, mrużąc przez zęby:

— Niech dyabli wezmą podobne położenie.

Ryszard zrobił widoczny wysiłek woli i zwrócił się do niego, jak do rozkapryszonego dziecka.

— Pomyśl — wyrzekł—ilu ludzi posiada mniejsze środki, niż te, o których wyrażasz się tak lekceważąco, a pomimo to żyje przyzwoicie.

— I cóż ztąd! Czemu mi nie dasz odrazu za przykład nędzarzy, nie mających nic wcale; oni także żyją...

— Bo do nędzy z tysiącem rubli rocznie jest ci bardzo daleko.

— Wszystko jest względne, a z mojami potrzebami...

— A! z twojimi potrzebami... — powtórzył po wolnie Ryszard. — Tak, rzeczywiście, rozmowa nasza jest daremna.

— Łatwo tobie mówić — pochwycił Stanisław.
— Ty, co jesteś na drodze do sławy, do majątku.
Ha! gdybym ja był na twojem miejscu!

Uśmiech pełen goryczy przemknął po wargach Ryszarda. Mógł mu powiedzieć, że obydwaj byli twórcami swego położenia. Nie uczynił tego. Zdawał się zatopiony w myślach, a myśli jego musiały być poważne i przykre, bo twarz miała wyraz surowy. Żrenice straciły swą przejrzystość i świeciły chłodnym blaskiem, nie pozwalając odgadnąć uczuć.

Nie tracił czasu na odpieranie zdań przyszłego szwagra, jakby zdania te i człowiek, który je wypowiedział nie zasługiwały na to. Co innego ważyło się w jego myśli.

Po chwili jednak wyrzekł znowu:

— Czy znasz napewno stan waszego majątku, czy też domyślasz się go tylko?

— Mogę zaręczyć, że tak jest.

— Czy Marcela wie o tém?

— Marcela? Także ją znasz! Ona nie pomyślała nawet o podobnych rzeczach. Kobiety tego nie rozumieją. A potem ona dotąd czuje tylko moralną stratę.

Ryszard nie odpowiedział nic. Pochylił głowę nieznacznym ruchem, i bezwiednie pochwyciwszy w rękę kościany nożyk, leżący na stole, ścisnął go

z nerwowem wysileniem. W tej chwili drzwi otwarły się cicho i weszła jego narzeczona.

Przyszła tu, bo potrzebowała być z Ryszardem; potrzebowała jego słowa, jego spojrzenia, by mieć odwagę do dalszego życia, a może czuła ogarniającą ją straszną samotność.

Ale pierwsze spojrzenie rzucone na niego, uczucia tego nie rozwiało. Ryszard postąpił ku niej wprawdzie z pośpiechem, wziął jej rękę, pocałował, a gdy to czynił, czuła jak dłoń jego drżała, jak usta były spieczone, ale twarz pozostała surową, źrenice nie miały blasku, jaki w nich dawniej widziała. Rozumiała wyraźnie, iż śmierć ojca musiała spowodować zmianę położenia, do którego zastosować się należało. Nie miała przecież wcale jasnego pojęcia, na czem te zmiany zależeć mogą; nie pojmowała, co jest zbytkiem, a co nim nie jest, bo sztuczne potrzeby były dla niej równie niezbędne, jak i konieczne. Znała tylko życie z jego łatwój strony, wyrobiła sobie w niem nawet pewną praktyczną wprawę, ale ta ograniczała się tylko do warunków, wśród których zostawała. Po za niemi była podobną do istoty spadłej z księżyca na ziemię. Oczekiwała od Czerczy wskazówek wyraźnych; wszakże on teraz powinien był nią rządzić!

On jednak pod tym względem zachowywał milczenie, więc powtórzyła mu pytanie, które on zwrócił do Stanisława.

— Cóż teraz będzie?

Powinien był na to pytanie być przygotowany, a jednak wzdrygnął się, gdy mu je zadała. Wahanie jego trwało krótko.

— Muszę — rzekł — zbadać sam stan interesów; dotąd nie wiem jeszcze nic pewnego.

Może spodziewała się innych słów, może nie myślała wcale o sprawach majątkowych, musiała przecież uznać słuszność tej odpowiedzi.

Niestety, stan interesów Sawińskiego aż nadto łatwym był do zbadania. Według przewidywań Stanisława był on rozpaczliwy, a nawet gorszy, niż sądził. Zmarły nie posiadał żadnej nieruchomości, ani sumy złożonej w jakim banku—ale za to miał w tych bankach wyrobione kredyty i na te kredyty zaciągnięte pożyczki. W kasie znaleziono gotówki zaledwie tyle, ile jej potrzebował na bieżące wydatki. Wprawdzie apartament zbytkownie umeblowany, obrazy, rzeźby i t. p., musiały zapewne pochłonąć sumy, przewyższające o wiele obecne pasywa, sprzedaż ich jednak mogła w najlepszym razie pokryć tylko należności.

Sprawdziwszy te smutne fakty, Ryszard nie miał odwagi odrazu odkryć je Marcei; łączył się z niemi silnie problemat przyszłości. Zamknął się u siebie, nie chciał widzieć nikogo i całą długą noc zimową przepędził, bijąc się z myślami. Rozumiał jednak, iż są rzeczy, z którymi zwlekałby daremnie i naza-

jutrz stawiał się u narzeczonej o godzinie, w której zwykł był odwiedzać ją dawniej.

Marcela znajdowała się w tym samym błękitnym buduarze, w którym tyle spędzili chwil dobrych, w którym wypowiedział jej swą miłość, w którym rozmawiali jeszcze w dniu zaręczyn, upojeni swém szczęściem. Jak wówczas, ostre światła dnia zimowego łagodziły ciężkie franki i zieleń wielkich liści palmowych. Tylko zamiast eleganckiego jasnego szlafrocza, Marcela miała na sobie żałobną suknię; zamiast uśmiechu, na twarzy jej tkwił wyraz bólesci i niepokoju.

Ryszard zbliżył się do niej w milczeniu, wziął obie jej ręce i ścisnął tak gwałtownie, iż o mało nie krzyknęła. Ale w tym uścisku odczuła jego miłość, i ogarniona wzruszeniem, instynktownie przytknęła oczy, jakby chciała zapomnieć o wszystkiém i widzieć tylko to, że on ją kochał.

Wtedy usłyszała głos jego, głos stłumiony, jakby wydobywał się z trudnością ze ściśniętej piersi.

— Nie przynoszę pocieszających wieści.

Cóż znaczyły wieści, jakie przyniósł, cóż znaczyło troszkę więcej lub mniej majątku, skoro posiadała jego miłość!

— Choćby były najgorsze — szepnęła — cóż ztąd?

Zrobił niecierpliwy ruch. Więc miała na zawsze

pozostać tém rozpieszczoném dzieckiem losu, nie rozumiejąc życia.

— Cóż więc? — spytała — nie jesteśmy bogaci. Nieprawdaż?

— Nie.

— Cóż nam zostało?... nie będziemy mogli trzymać powozu?... licznój służby?... wielkiego apartamentu?...

Mówiła to z przerwami, oczekując za każdym słowem zaprzeczenia. Ale on milczał.

Ubóstwo nie miało dla niej wyraźniejszych kształtów.

— To i cóż? — dodała nieogłędnie, jak istota, nie pojmująca realnych warunków. — Przystaniemy na małym.

On znowu nie odpowiedział.

— Jakto? — spytała — czyżbyśmy nie mieli nic wcale?

— Niestety!

— Więc — zawołała — te piękne sprzęty, które mój biedny ojciec gromadził z takim zamiłowaniem, stanowią całą naszą spuściznę?

— Marcelo!...

Zrozumiała, że nie miał odwagi mówić jasno i wyrzekła:

— Powiedz wszystko od razu, ja to wolę.

— A więc, długi, jakie ojciec zostawił, równo-

ważą ich wartość. Potrzeba będzie sprzedać wszystko, ażeby je zaspokoić.

Sprzedać—były to pierwsze słowa, mające dla niej określone znaczenie. Sprzedać, rozstać się z przedmiotami, do których przywykła od dzieciństwa...

— Ha! skoro tak trzeba... — wyrzekła po długiej chwili, podnosząc głowę spuszczoną, jakby w głębi serca spełniła już tę ciężką ofiarę.

Miała nadzieję, że on teraz myśl jej skieruje ku przyszłości, że przemówi wyraźnie i wzamian za to, co porzucić musiała, cfiaruje schronienie w tém nowém gniazdku, o którém już rozmawiali nieraz. Wszak on powinien zabrać ją jak swoją z tego opustoszałego, zrujnowanego domu, co przestał do niej należeć, gdzie za chwilę zapewne zleciéć się miała óma wierzycieli i zagrabić to wszystko, co jej drogim było.

Spojrzała na Ryszarda. Oczy miał spuszczone, był bardzo blady i z tego zapewne powodu ciemna linia brwi złączonych rysowała się wyraźnie, nadając jego twarzy ostry wyraz. Czekala przez chwilę, ale ta twarz miała coś nieubłaganego, w miarę, jak się w nią wpatrywała, przebiegało ją nerwowe drżenie, bo on nie był podobnym do kochanka; przywodził raczej na myśl człowieka, co wyrwał z piersi uczucie, i pełna przerażenia, bólu, niepewności, zawołała:

— Ryszardzie!

Zrozumiał ten okrzyk śmiertelnie zranionego serca, rozumiał wszystko to, co w nim dźwięczało. Podniósł głowę z nagłym postanowieniem, jak ten, co rad był zwlec bolesną chwilę, przecież nie cofa się przed nią, gdy nadeszła. Przez czas jakiś spoglądali na siebie już nie jak kochankowie... We wzroku obojga znać było, że badali się wzajem.

Marcela była dumna, i duma dodała jęj siły.

— Pomiędzy nami — wyrzekła głosem, który mimowoli drżał i łamał się na ustach — skończyło się wszystko. Nieprawdaż?

Wzrok utkwiała w jego twarzy, jakby chciała się przekonać, z jakim czołem zniesie te słowa, czy nie zaprzeczy jęj gwałtownie... Ale on był snadź na to przygotowany i uczuć swoich nie zdradził.

— Posłuchaj mnie, Marcelo: gotów jestem uczynić wszystko, co będziesz chciała. Nie jesteśmy dziećmi oboje, sądzmy położenie takim, jakim jest. Pozwól je sobie przedstawić.

— Alboż go nie rozumiem aż nadto! — wybuchnęła.

— Kiedym cię poznał — mówił, nie zwracając uwagi na tę przerwę — mogłem sądzić, że los ziścił najwymyślniejsze moje marzenia. Pokochałem cię, zostałem twoim narzeczonym. Wszystko zdawało się nam sprzyjać.

— Tak, tylko omyliły cię pozory.

Pogardliwy uśmiech zarysował mu się na ustach.

— Sądzę, iż poznałaś mnie nadto, by stawić w rzędzie łowców posagowych. Nie potrzebuję dobić się tego, co sam zdobyć potrafię.

— A jednak...

Skinął ręką, prosząc, ażeby pozwoliła mu dokończyć.

— Ja sam zbuduję przyszłość mojej rodziny; mam na to potrzebne siły, ale żeby to uczynić wśród mnóstwa cisnących się wściekle do celu i nie przebierających w środkach, potrzeba mi czasu lub szczęśliwego trafu, a tymczasem trzeba mieć swobodne ręce, ażeby utrzymać się na powierzchni, nie być zepchniętym na dno społeczne. Ujrzałem cię, pokochałem, jak...

Zatrzymał się, jakby nie chciał dać folgi miększym uczuciom. Ale głos i spojrzenie, które zastępowały słowa, były wymowne. Po chwili mówił dalej, zapanowawszy nad sobą:

— Nie byłbym nigdy prosił o twoją rękę, gdyby twój ojciec nie był w położeniu takiem, że mógł usunąć przedemną trudności. Nie obchodziło mnie wcale to, co posiadałaś, Marcelo; ja czułem się w możności dać ci to wszystko, do czego przywykłaś i więcej jeszcze: otoczyć cię atmosferą dla ciebie konieczną. Inaczej, byłbym szalony, ja, co dopiero muszę sobie wszystko wywalczyć, gdybym tworzył rodzinę bez podstaw żadnych i poślubiał kobietę ta-

ka, jak ty, przywykłą do wszystkich wykwintów życia...

— Ubodzy ludzie żenią się także... — zawołała — pracują wspólnie.

Uśmiechnął się z nieskończonym smutkiem.

— Żony ubogich mężów wychowują się inaczej. Dziś, choćbyś tego chciała, nie zmienisz swojej natury; przeniesiona w inne warunki, musiałabyś być nieszczęśliwą.

— Nieszczęśliwą! — zawołała z takim wyrazem, jakby nie pojmowała straszliwszego nieszczęścia nad to, co ją spotykało.

— Alboż ty masz pojęcie o ubóstwie, Marcelo! To dla ciebie dźwięk tylko bez znaczenia; ty nie powinnaś, nie możesz poznać go nigdy. Ja wzrosłem w jego twardym uścisku, borykałem się z niem od pierwszych dni młodości i wiem, jak ono jest gorzkie. Ubóstwo, to nie tylko cierpienie, ofiara, troska nieustanna—to jeden szereg upokorzeń, przeciw którym buntuje się duma, to wiekuista bezsilność. Nie dołączni tylko przyjąć ją mogą bez szemrania, ja nie dołączny nie jestem.

Milczała przygnębiona, ale wzrok jej mówił, że w tej chwili gotowa była z nim znieść wszystko.

— Posłuchaj mnie jeszcze — ciągnął dalej, jakby czytając w jej myślach. — Tobie się zdaje, iż potrafiłabyś znieść tę groszową dolę bez szemrania, że byłabyś zdolną rachować się, oszczędzać, mieszkać

w ciasnych, dusznych pokojach, sprzątać je sama, jeść nędzny, źle zgotowany obiad, chodzić w wytartej sukni i jeszcze drżać o niepewne jutro.

— Nie mówmy o mnie — zawołała z wybuchem.

— Przeciwnie, tu idzie o ciebie, tyle przynajmniej, co o mnie. Czyż uważasz mnie za tak wielkiego samoluba, iż, myśląc o przyszłości, siebie tylko biorę w rachubę. Przedstawiam ci tę przyszłość taką, jakąby była, gdybyśmy posłuchali serc naszych, bo powtarzam ci, uczynię, co zechcesz. Ale nie łudźmy się daremnie; ty i ja cierpielibyśmy tęp srożej, że w głębi duszy jedno drugiemu przypisywałoby swoje nieszczęście. Ty w nędzy, ty, co na perfumeryę wydajesz paręset rubli rocznie, ty, która niezdolna jesteś włożyć sukni lub uczesać się bez pomocy — ty, co nie potrafisz nawet zrobić kawy lub zapalić lampy — ty w nędzy, Marcelo!

— Bez ciebie także poznać ją muszę.

— Nie, nie, ty nie powinnaś zaznać jej nigdy. Musisz zapomnieć o mnie.

Wstrząsnęła głową; w tej chwili zdawało się jej to niepodobieństwem.

— Zapomnisz. Spojrzysz w życie trzeźwo, spokojnie. Zrozumiesz, że dla takiej, jak ty, kobiety w położeniu, w którym się znalazłaś, pozostaje tylko jedna droga.

Nie zrozumiała go; czytał to wyraźnie w jej ła-

wych, zmaconych oczach. Musiał więc wypowiedzieć to, co wolałby zostawić niedomówione.

— Droga tą jest bogate małżeństwo.

Sporunowała go wzrokiem.

— Zaprzedać się, z inną miłością w sercu — ja, nigdy!

Wybuchła pomimo panowania nad sobą, pomimo przywyknienia do słów mierzonych.

— Nie sądz pan drugich według siebie. Wy, mężczyźni, umiecie zmieniać serce, rozkazywać uczuciom, kierować nimi według potrzeby.

Umilkła nagle. Przenikliwe jego oczy spoczywały na niej bez gniewu, bez oburzenia, ale pełne potęgi.

— Biada tym — odrzekł — co tego uczynić nie potrafią. Tacy są z góry zwyciężeni w walce życia. Dlatego to z pomiędzy tylu wchodzących w jego szranki z odwagą, wiarą, ufnością, tak mało dochodzi do celu.

— O! kiedy mu się wszystko poświęca!

— Wszystko? tego nie powiedziałem! — zawołał z mocą. — Mogę poświęcić uczucie moje, mogę nie zważać na ból własny i nędzę, ale nigdy nie zrzeknę się przekonania, uczciwości, honoru. Ufam, Marcelo, że takich zarzutów nikt mi nie będzie mógł uczynić. W drodze życia upadają, niestety, najczęściej nieoględni, co biorą na barki ciężary nad siły. Trzeba ściśle obrachować położenie, uzdolnienia,

szanse, przeciwności—wytknąć sobie cel i od niego nie zbaczać. Dlatego to powodzenie powszednością nie jest i osiągnięte uczciwymi środkami zasługuje na uznanie. Dzieci biegają zwabione każdą ponętą: ludzie idą, gdzie zamierzali, choćby przez trud i ból.

Mówił jej to, o czém nie słyszała nigdy, tłumaczył mechanizm życia, przedstawiał fakta w oświetleniu nowém, które nadawało im zupełnie odmienne znaczenie. Ale ona nie mogła i nie chciała być przekonaną. Przeciwnie, wobec jego rozumowań czuła się podwójnie nieszczęśliwą. One odejmowały jej położeniu urok wyjątkości. Wreszcie on doradzał rzecz w jej pojęciu ohydną, a rada ta dla niej była stwierdzeniem, dowodem nawet braku serca. Więc z uporem kobiecym wracała do pierwszego oskarżenia.

— Rozumiem — zawołała — nie kochałeś mnie nigdy!..

Uśmiech nieskończonej goryczy zarysował się na jego wargach. Nie próbował więcéj zaprzeczać, ani się bronić.

— Niech i tak będzie — wyrzekł z wolna: sądz tak, jeśli ci to ulgę sprawić może. Kto wie zresztą, może i masz słusność. Miłość nie rzuciła mi na oczy zasłony, nie uczyniła głuchym i ślepym, nie przypięła skrzydeł, nie uniosła po nad świat i warunki życia.

— Ja ich znać nie chcę! — zawołała, wyciągając

ręce, jakby chciała zasłonić się przed tą potęgą, niewieczącą uczucia, stawiając na ich miejsce drobne wyrachowania.

Ryszard wstrząsnął głową w milczeniu. Mógł jęj powiedzieć, że czyniąc tak, postępowała jak ptak, co chowa głowę pod skrzydła, by nie widzieć myśliwych i sądzi, że tym sposobem zażegna niebezpieczeństwo. Mógł powiedzieć jęj wiele więcej, ale w tęg chwili mówiłby napróžno; ona nie byłaby zrozumiała.

Rozmowa ta była dla nich zarówno bolesną; radby ją zakończyć, a jednak, gdy odezwał się znowu, głos mu drżał, i kto wie, czy w tęg drzeniu nie było tajemnej nadziei, że ona nie zechce wysłuchać rozsądku.

— A teraz czekam rozkazów twoich. Czyż potrzebuję powtarzać, że uczynię wszystko, co zechcesz.

— Moich rozkazów! — zawołała. — Nie uważasz mnie przecież za tak nikczemną, bym odwoływała się do danego słowa, do przyjętych zobowiązań, skoro te stanąć mogą w poprzek pańskiemu życzeniu. Nie ma ich już.

Zdjęła zaręczynowy pierścioneł i rzuciła go na stół tak gwałtownie, iż się po nim zatoczył. W tym ruchu niepodobna było poznać poważnej, panującej nad sobą Marceli. Świadczył on o niezmierném wzburzeniu.

On, wbrew słowom własnym, wbrew rozumowaniom, oczekiwał może, pragnął może tajemnie czego innego. Kobieta tego nie odczuła.

— I czegoż pan czekasz jeszcze? — wybuchnęła namiętnie. — Idź, nie zajmuj się mną więcej. Dla mnie przestałeś istnieć!...

Zrobiła ruch królewski, pięknej wysoko stojącej, poszukiwaną kobietą, w którym zabłysła raz jeszcze dawna Marcela, wskazując niemal drzwi narzeczonemu.

On zdejmował pierścionek i z bólem położył go przed nią, ale czynił to powoli, patrząc na nią, jakby rzeczywiście nie mógł oczów oderwać.

— Sądziłem — wyrzekł — iż rozstaniemy się inaczej.

Głos jego był zdławiony, jakby wychodził z rozbitej piersi. Sięgnął po kapelusz i oddalił się z wolna. Czekał, by go przywołała.

Nie uczyniła tego. Łkania rozsadzały jej piersi, wstrzymywała je tylko wysiłkiem woli. Gdy drzwi zamknęły się za nim, wybuchnęła dopiero. Czy płakała za miłością i marzeniami swemi? Czy silniejszymi były uczucia serca, czy zraniona duma? Nie badała, nie wiedziała sama.

Ryszard musiał przechodzić cały apartament; służba była w rozprzężeniu, drzwi główne zamknięte. Świadomy miejsca kierował się ku bocznemu wyjściu, gdy niespodzianie zaszła mu drogę Jadwinia.

Chciał ją minąć, zbyć zwykłym słówkiem, ale ona, chwytając go za rękę, zawołała:

— Panie Ryszardzie, ja muszę z tobą mówić!

Podniósł na nią wzrok błędny. W tej chwili nie pojmował, czego żądać od niego mogła — czego mógł żądać ktokolwiek na świecie. Potrzebował zostać sam-na-sam z bolem piekielnym, który tkwił mu w sercu, a którego on nie mógł splakać, jak Marcela.

— Powiedz mi pan — pytała Jadwinia, niezważając na nic — jesteśmy zrujnowani: wszak prawda? Ja to widzę, choć mi nikt nie mówi.

Skinał głową; nie mógł przeczyć, ani zdobyć się na słowo. Dziewczyna mówiła dalej.

— O tém właśnie z panem pomówić chciałam.

— Ze mną?

— Tak, chciałam poradzić się. Och! ja ciągle myślę, co ze mną będzie. Staś ma swój urząd; zresztą on mężczyzna, radzić sobie powinien. Marcela pójdzie za męża, ale ja?..

Oczekiwała rady, jak od przyszełego szwagra, od głowy domu. On milczał, może nie wiedział nawet, co do niego mówiła.

— Cóż jaby m robić mogła — spytała zniecierpliwiona — dopóki także za męża nie pójdę?

Wspomnienie o małżeństwie, dwa razy powtórzone w tej właśnie chwili, było tą kroplą, co dopełnia czarę. Nie był więcj panem siebie. Czyż

on nie cierpiał w tój chwili więcj, niż jego znieść mogły? Chciał uciec ztąd czempredzj; szarpnął rękę z ujęcia Jadwini i skierował na nią wzrok tak pełen bólu, iż się przed nim cofnęła.

— Więć nie chcesz mi dać rady!...

— Idź do siostry, panno Jadwigo; ona cię potrzebuje bardzo — odparł wreszcie głosem tak zmienionym, iż trudno było poznać jego brzmienie.

— Marcela?... Ona tylko nasłuchuje twego kroku.

Załamał ręce słysząc te słowa.

— Idź do niej — powtórzył gwałtownie — idź zaraz!

Przez chwilę patrzała na niego, gdy się oddalał pośpiesznie. Zaszło tu coś widocznie, czego nie pojmowała. Chciała zasięgnąć wiadomości od Marcelli, ale ona nie była w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie; łkania jej przeszły w atak nerwowy, całe ciało wstrząsało się konwulsyjnie, a głośny płacz rozrywał piersi.

— Cóż się to stało? — zawołała Jadwinia, chwytając siostrę za ręce. — Ryszard tylko co odszedł, poszlę po niego.

Dłonie Marcelli zacisnęły się kurczowo, jakby chciała ją powstrzymać, w oczach odmalował się tak dobitnie wyraz przestachu i prośby, iż Jadwinia nie śmiała się jej sprzeciwiać. Atak zresztą przechodził z wolna, łkania się uspakajały, tylko zęby jej

dzwoniły jeszcze, a z oczów przymkniętych płynęły dwa strumienie łez. Była to cichnąca burza.

Jadwinia z pomocą panny Matyldy rozebrała ją i położyła do łóżka. Marcela dała powodować sobą, bezwładna i bezsilna.

Gdy Stanisław powrócił i zastał siostrę w tym stanie, zmarszczył brwi i rzucił gniewnie dopalające się cygaro, które trzymał w ustach. Nie pytał o powód; zrozumiał go odrazu.

— Tego tylko brakowało — mruknął przez zęby.

— Ale cóż się stało — powtarzała Jadwinia — ja nic nie pojmuję...

— A przecież to bardzo jasne. Ryszard cofnął swoje słowo.

— To niepodobna! — zawołała z zaiskrzonymi oczyma. — On tego nie mógł uczynić. To byłaby nikiemność!

Stanisław się o to nie spierał. Nazwa rzeczy obchodziła go mało.

— To smutne dla Marceli i dla nas wszystkich — odrzekł tylko.

Potem dodał po namyśle.

— W położeniu Ryszarda brać żonę bez posagu byłoby szaleństwem. Wiedziałem dobrze iż go nie popełni. Spodziewałem się tego, co się stało.

— Więc to tak! — powtórzyła namiętnie Jadwinia. — Więc nie ma już na tym świecie ludzi zacnych, bezinteresownych, kochających prawdziwie?

Biedna Marcela!... A ten Ryszard... Ja go nienawidzę!

Mówiła to bezładnie, przez łzy, cisnące się do oczów.

Stanisław wzruszył ramionami.

— Jakie też z ciebie dziecko, Jadwiniu! Cóż chcesz: taki jest świat. Każdy na jego miejscu uczyniłby to samo.

— Nie, nie!—zawołała.—Ryszard jest nikczemnikiem!

— Jest tylko rozsądnym; nie chce brać na siebie obowiązków nad siły. Gdyby był bogatym...

— To nie zmienia rzeczy. Nienawidzę waszego rozsądku, waszjej logiki, waszjej krwi zimnej. I ty — ty, bracie, pozwolisz, by taką krzywdę wyrządzono Marceli?

Patrzył na nią przez chwilę mglistemi oczyma.

— Cóż uczynić mogę?

Wzrok jego spotkał się z jasnemi, pałającemi w tej chwili źrenicami dziewczęcia.

— Mógłbyś ją pomścić przynajmniej.

Po raz drugi wzruszył ramionami.

— O! gdybym ja była mężczyzną! — zawołała.

— To i cóż?

— Rzuciłabym w oczy Ryszardowi nazwę, na jaką zasłużył.

— Gdybyś była mężczyzną, pojmowałabyś lepiej położenie.

— Więc myślisz, że każdy z was jest do niego podobny! Mylisz się, przysięgam.

— Lepiejbyś zrobiła — wyrzekł zniecierpliwiony — gdybyś nie mieszała się do rzeczy, których pojąć nie możesz. Cóż u diabła, czy życie jest poematem, jakim wymarzyły go wasze szalone głowy?

— O! ja wiem, żeś ty taki, jak Ryszard. Ja też nie uwielbiałam go nigdy, a dziś... dziś nienawidzę go z całego serca.

Stanisław nie słuchał jęj dłużej—był zgnębiony. Zastanawiał się nad losem własnym, nad nowemi jego trudnościami. Od śmierci ojca głową rodziny był Ryszard, który wziął na siebie troski, zajęcia i wydatki chwili. Teraz on wycofywał się roztropnie ze zbyt uciążliwego położenia, które spadało całym ciężarem na Stanisława.

Nad smutnym domem Sawińskich roztoczyła się dnia tego grubsza jeszcze żałoba. Wieczór zapadał wczesny, ponury, a członkowie osieroconej rodziny zgubieni w wielkim apartamencie, którego zapomniano ogrzać i oświecić, zamknięci każdy z osobna w swojej własnej boleści, spędzali straszne godziny, które na zawsze zostawiają ślad w życiu.

Jadwinia siedziała w pokoju siostry, owinięta grubym szalem, skureczona w rogu kanapy, nadsluchując oddechu stłumionego Marceli, w którym zdawała się słyszeć niewyraźne westchnienia. Czasem podchodziła do niej na palcach, wówczas zdaleka

zdawało się jęj widzieć błyszczące źrenice wśród śmiertelnie bladęj twarzy, ale, gdy się zbliżyła, Marcela przymykała powieki, udawała śpiącą, jakby lękała się ludzkiego głosu i chciała pozostać sam-nasam ze swą boleścią. Wówczas Jadwinia powracała, na swoje miejsce; na jęj dziecinnęj twarzyczce widniało postanowienie. Jasne brwi były ściągnięte, wargi poruszały się, jakby coś mówiła sama do siebie. Układała w swęj główce snąc zamiary jakieś. Zerwała się, zapaliła świece na biurku siostry. Pochwyciła ćwiartkę papieru i zaczęła coś pisać gwałtownie.

Był to list do Ryszarda. Oburzenie jęj było zbyt wielkie, zbyt młode, by nie wybuchnęło słowem.

„Teraz już wiem wszystko — pisała — Marcela płacze dzisiaj, ale z pewnością w przyszłości błogosławić będzie nieszczęście, które uchroniło ją od związku z panem. Opuszczając ją w podobnej chwili, okazałeś się pan nikczemnym. Skoro nie ma nikogo w rodzinie, coby panu to słowo rzucił w oczy, ja uczynić to muszę. Tak jest, tylko nikczemnicy zdolni są opuścić w podobnej chwili.”

Napisała to wszystko jednym tchem, położyła własne imię i nazwisko, zaadresowała i poszła szukać kogoś ze służby, aby list zaniósł.

Apartment był pusty i ciemny, w kuchni za to odbywał się istny sejm; zgromadziła się tam cała służba, począwszy od zgrabnej panny służącej,

a skończywszy na woźnicy, który przyszedłszy na obiad, nie śpieszył się do żadnej roboty.

Gwar głosów był tak wielki, iż nie usłyszano zbliżających się kroków.

— Cóż, panie Wojciechu, znaleźliście służbę? — pytała ciekawa kucharka jednego z lokajów.

— Żeby tak o co, jak o służbę! — odparł nie dbale zagadnięty. — A pani Mateuszowa?

— Och! ja tam nie czekałam na kartę zwolnienia; zaraz widziałam po śmierci pana, co się święci i wzięłam zadatek z przeciwka.

— Co się było tak śpieszyć—wtrącił woźnica.— Przecież panna Marcela idzie za męża, a służba nie ostatnia.

— Widzicie go—zaśmiała się kucharka.—Z małżeństwa ponoć nic nie będzie; panna Matylda to zaraz zmiarkowała.

— Nie trudno było zmiarkować — przemówiła panna służąca, która dotąd była w kuchni, pod pozorem rozgrzania rąk i słuchała, choć sama nie raczyła mieszać się do rozmowy.

— Teraz — zawołała kucharka z rodzajem tryumfu — będzie im Magda gotowała.

I wskazała na kulawą pomywaczkę, z której się zwykle cała służba wyśmiewała.

— Owa! niby to ja nie potrafię — oburknęła się Magda.

— Ha! niech gotuje kto chce, ja tu przecież nie

zostanę. Słyszałam, że mają ponoć wszystko posprzedawać i wszystkich odprawić.

— Ot niegadalibyście, pani Mateuszowa—wmięszal się znów Tomasz stangret—służba była nie zła; albo to pani Mateuszowa mało koszykowego złożyła.

— Co miałam złożyć... niby to Burska dała się komu pożywić. Sama sobie za to dobrze kabzę nabila; rachowała po cztery głowy cukru na miesiąc, a dwóch nie wydała. Panna Marcela w takie drobiazgi nie wchodziła.

— Abo to Burskiej chciało się na targ chodzić? dyć pani Mateuszowa, widziałem sam, rachowała kuraki na pół rubla, a po dwa złote płaciła.

— A Tomasz to swoim koniom dawał może cały obrok, zwożony z targu? albo i kowalowi płacił te wszystkie podkowy, co panu rachował? — odparła rozłoszczona kucharka, która nikomu dobrego słowa nie dała.

— To swoja rzecz — wyrzekł filozoficznie Tomasz — konie i tak były tłuste i nie kulały.

— A pan Tomasz woził niemi niejednego i brał pół rubelki — potracił Wojciech.

— Niby to pan Wojciech mało się napalił pańskich cygar, naspijał pańskiego wina, nachodził w pańskich rzeczach!

— Tak, nieprzymierzając jak panna Matylda — krzyczała, śmiejąc się kucharka.

— Bardzo proszę — wyrzekła obrażona panna służąca — ja przecież cygar nie palę...

Wojciech bliżej widać wtajemniczony w te sprawy, zaśmiał się dwuznacznie.

— Niech się panna nie gniewa; co się wie, to się wie. Mało to pakietów nawynosiła Magda od panny do brata, czy już tam nie wiem kogo.

Panna Matylda wahała się chwilę, czy ma się obrazić; czy nie, i zdecydowała się wszystko w żart obrócić, rzekła więc z umizgiem do młodego lokaja:

— Że też to pan Wojciech musi wszystko zobaczyć.

— A widzi panna, po co to się próżno zapierać!

Jadwinia słuchała zdumiona. Były to dla niej rzeczy nowe zupełnie. Nie przyszło jej nigdy na myśl, iż byli otoczeni szajką łotrów, szpiegów, nieprzyjaciół. Znowu życie odkrywało przed nią jedną ze swych stron wstrętnych, o której nie miała pojęcia. Wstyd jej było pokazać, że słyszała rozmowę, gdzie na wyścigi chwalono się z popełnionych kradzieży. Z płomieniem na twarzy, jakby to ona dopuściła się złego czynu, odeszła pocichu od drzwi kuchennych, potem zadzwoniła gwałtownie, dała Wojciechowi list i kazała odnieść go natychmiast. Uczyniwszy to, uciekła w głąb apartamentu, ażeby nie słyszeć komentarzy, jakie list ten mógł pomiędzy służbą wywołać. Nazajutrz Stanisław, idąc zwykłym, apatycznym krokiem do biura, spotkał się na chod-

niku z Ryszardem. Na tę ewentualność, jak wogóle na wszystkie ewentualności życia, nie był przygotowany i nie wiedział na razie, jak ma postąpić, czuł bowiem dobrze, iż od tego pierwszego spotkania zależeć miały dalsze ich stosunki.

Nie brał on za złe niedoszłemu szwagrowi tego, co uczynił; spodziewał się nawet takiego obrotu rzeczy. On sam, gdyby się kiedykolwiek miał żenić, o czém zawsze powątpiewał, nie postąpił by inaczej.

Wobec świata przecież, którego sądy i przesady znał doskonale, nie wypadało mu okazywać się pobłażliwym. A przytém miał zawsze instynktowo zawiść do Ryszarda, zawiść próżniaka do czynnej natury—niedolegi do człowieka obdarzonego wyjątkowymi zdolnościami; rad był go upokorzyć wyższością położenia, jakie mu wypadki nadały. W pierwszej chwili więc myślą jego było, spojrzeć mu w oczy i nie chcieć znać więcej. Ale druga chwila przyniosła myśl inną. W położeniu, w jakim się znajdował z siostrami, potrzebowali pomocy ludzkiej; Czercza miał względem nich obowiązki: w danej chwili miał niejakię prawo go wyzyskać. Uważał więc za rzecz stosowną udać, że go nie dostrzega, zachowując sobie tym sposobem na później możność postąpienia według okoliczności.

Ta pośrednia droga odpowiadała jego naturze niezdecydowanej i obojętnej. Idąc więc, spoglądał w bok uporeczywie, przekonany że Ryszard trzymać

się będzie tój samėj taktyki. Omylił się; Ryszard wprost podszedł ku niemu, a widząc jego wahanie, wyrzekł od razu, przecinając ten węzeł gordyjski.

— Co się dzieje z Marcelą? Czekałem tu na ciebie, by się o to zapytać.

Mętnie oczy Stanisława spoczęły na nim niepewne. Przybrał wyraz urzędowo sztywny.

— Zdaje mi się... zaczął powoli, dobierając wyrazów.

— Mniejsza o to, co o mnie sądzisz. Bądź moim nieprzyjacielem, wyzwij, rób, co chcesz, ale powiedz co się z nią dzieje?...

— I cóż cię to obchodzi?

Ryszard zrobił znak, pełen niecierpliwości, ale pohamował się szybko.

— Ty przecież nie jesteś dzieckiem, jak Jadwina. Rozumiesz konieczności, które mną rządzą. Znasz siostrę; wiesz najlepiej, że nie jest do ubóstwa stworzona.

Był bardzo wzburzony, skoro tłumaczył się prawie.

— Więc cóż chcesz wiedzieć? — zapytał Stanisław. — Marcela płakała, miała nawet atak nerwowy. Potem jednak uspokoiła się...

— Tak—wyrzekł po chwili milczenia młody adwokat—spodziewałem się tego; wiem, że o mnie zapomni!...

Mówił to, jakby sam do siebie, z głuchą rozpaczą.

— Ma się rozumieć; alboż myślałeś, że będzie inaczej!

— W takim razie...

— Bądź spokojny; wiedziałem, że tak będzie. Inaczej... Nie ma cię przecież za nikczemnika, jak Jadwinia...

— Los Marceli jest największą troską moją. Wierz lub nie, ale tak jest. Ona stworzona do łatwego życia, do dostatków, do zbytku... ja jęj tego dać nie jestem w stanie.

— Ani ja także, — odparł Stanisław, któremu cała trudność położenia nagle stanęła w oczach.

— Marcela powinna zostać żoną bogatego człowieka — rzekł znowu Czercza. Zapomni o mnie, pogardzi... Ha! jeśli jęj to ulgę sprawić może.

— Marceli teraz nie łatwo będzie pójść za mąż, a przytęm nie kryła się wcale z miłością dla ciebie.

— *La donna e mobile* — mruknął, siląc się na uśmiech; ale uśmiech nie przyszedł mu na usta i zmienił się w przykry wyraz ironii. Zresztą możecie na mnie piorunować i uczynić mnie tak czarnym, iż lada stary niedołęga, a chociażby nawet pan Melchior, wyda się aniołem. Macie do tego prawo. A ja... ja przecież bronić się nie będę.

Oddalił się szybko, a Stanisław pozostał pod wrażeniem słów ostatnich. Nawet jego apatyczny umysł, wobec grozy położenia, zbudzić się musiał.

Po śmierci ojca wystąpił cały szereg wierzycieli,

którym należały się większe i mniejsze sumy. Oprócz banków, w których Sawiński miał wyczerpane kredyty, były rachunki bieżące z dostawcami, zwykle płacone kwartalnie; magazyn, w którym ubierała się Marcela i Jadwinia, żądał zapłaty za suknie balowe, żałobę i różne drobiazgi. Służba także dopominała się o zasługi. Słowem działo się to, co bywa zwykle przy upadku domu, prowadzonego na wielką skalę.

Na ruchunek wierzycelności zajęte zostały sprzęty. Opieczętowano większą część apartamentu, zostawiono parę pokoi tylko na użytek sióstr i Stanisława.

Widząc to, służba rozeszła się nie czekając uwolnienia, unosząc, co kto mógł. W kuchni pozostała tylko kulawa Magda, pomywaczka trzymana z łaski, która nie miała gdzie się udać.

W pierwszych dniach po śmierci Sawińskiego ci, co korzystali z gościnności jego domu, składali rodzinie kondolencyjne wizyty. Nie przyjmowano jednak nikogo. Teraz, gdy rozeszła się wieść o klęsce majątkowej, o zerwaniu małżeństwa Marceli, nie przychodził już nikt.

— Widzi pani — mówiła z tryumfem sędzina Ożycka do spotkanej w Saskim ogrodzie doktorowej. — Wiedziałam ja dobrze, co się u Sawińskich święci.

— Prawda, prawda! — odpowiedziała Rylska z całym uznaniem dla mądrości swjej przyjaciółki.

— I ten Czereza — dodała po chwili — ktoby się po nim tego spodziewał! Taki śliczny chłopiec!

— Tak to zawsze; w nieszczęściu nie ma przyjaciół!

— Ależ narzeczony—narzeczony!—wołała doktorowa, którą ten ostatni fakt najwięcej zaciekał.

— Alboż pani nie wie, że dziś małżeństwa są tylko rzeczą interesu! — ofuknęła ją sędzina.

— Czy pani była u nich? — spytała Ryłska.

— A to po co? zrobiłabym im tylko kłopot i wstyd. Wszakże nie mają nawet krzesła, na którym usiąść można... A pani?

— Ja miałam ochotę pójść, ale bałam się, aby nie pomyśleli, iż robię to przez ciekawość: pojmuje pani. A przytém mam tak czułe serce, iż nie mogę znieść smutku...

Tak mniej więcej musieli myśleć wszyscy znajomi. Dni mijały, nie przynosząc żadnej zmiany. Marcela i Jadwinia przepędzały je razem w pokoju, przytykającym do mieszkania Stanisława. Mieszkanie to niegdyś tak eleganckie, przedstawiało smutny obraz opuszczenia. Kurz grubą warstwą osiadał na sprzętach i posadzce, która straciła dawny połysk i zapyłona, zbrukana, zasłana niedopałkami cygar i zapalek, czyniła przykre wrażenie.

Nie zajrzała tu jeszcze nędza; mieli jeszcze nieco gotówki, a zresztą klejnoty i stroje Marceli mogły zażegnać biedę na czas jakiś; ale znać było ostateczne opuszczenie, jakie zwykle nędzy towarzyszy i czyni ją tém wstrętniejszą. Żadne z nich nie było

zdolne przystosować trybu życia do nowego położenia, żadne nie wiedziało, jak urządzić się na mniejszą skalę, ani nawet, jak uporać z codziennymi potrzebami, bez lokajów, kucharki, służby. Marcela w żałobnej sukni, zrobionej w najpierwszym magazynie, siedziała na kanapie podobna do istoty zbląkannej wśród niewłaściwego sobie otoczenia. Przed nią na stole stała zakopcona lampa, którą napróżno chciano zapalić, lichtarz ze świecą, kiwający się na wszystkie strony, karafka z wodą, której ktoś zapotrzebował przed kilku dniami... Jadwinia, energiczniejsza od siostry, próbowała uprzątnąć pokój, ale nie miała pojęcia, jak się wziąć do tego i trzymając końcem palców szczotkę i ścierkę, które przejmowały ją obrzydzeniem, zdolną była tylko napełnić pokój kurzem, podnoszonym niebacznie ze wszystkich kątów.

— Co ty robisz?—odezwała się wreszcie słabym głosem Marcela, przypatrując się siostrze omdlewającym oczyma, jakby nie pojmowała celu tej czynności.

— Tu tak nieporządnie, chciałam sprzątnąć.

— Ależ ty tego nie umiesz.

Jadwinia przerwała robotę z zarumienioną twarzą.

— Widzisz, zdaje mi się, iż nie potrafimy wielu rzeczy, których ostatecznie nauczyć się trzeba.

Marcela zrobiła wymowny ruch, świadcząc, iż, co do niej, nauczyć się tego nie pragnie. Spojrzała

na swoje śnieżne, utoczone palce, zakończone różowemi delikatnemi paznokciami, podparła zmęczoną głowę na dłoni i westchnęła ciężko, zamykając oczy, jakby nie chciała patrzeć na to, co ją otacza.

Ona, co była wzorową panią domu—pozbawiona licznój służby, stała się nagle niezaradną, jak dziecko. Jadwinia tymczasem zgromadziła w jedno miejsce śmieci, zalegające cały pokój, wyniosła lampę, świecę, karafkę i dumna ze swego dzieła, powróciła do siostry.

— Boże! do czegoś ty podobna! — szepnęła boleśnie Marcela.

Rzeczywiście, cały kurz osiadł na włosach, twarzy, a szczególnie na czarnej sukni Jadwini.

— Widzisz, tyś do tego nie stworzona.

— Oh! nie stworzona! Zdaje mi się, że człowiek jest stworzony do wszystkiego.

Starsza siostra zdawała się jej nie rozumieć; oczy jej, tonące w mgłę łzawej, miały taki wyraz, jakby chciała odrzucić od siebie każdą powszedniość życia.

— Widzisz, Marcelo — mówiła dalej Jadwinia — ja myślę nieraz, iż szczęścia nie stanowi wcale większy lub mniejszy majątek.

— Czyż nie widzisz, co się z nami dzieje? — przerwała gwałtownie Marcela, której wszystkie bóle odnowiły się na te słowa. — Opuszczenie, nędza! oto nasz los.

Poniosła chustkę do oczów i załala się łzami.

— Daruj, Marcelo! ja nie to chciałam powiedzieć. Naraz straciłyśmy wszystko. Są jednak ludzie biedniejsi od nas...

— Ja nie wiem, jak oni żyją, jakie mają nawyki i pojęcia. Oni są innego poziomu, należą do innego świata. Ale my... Dziecinną jesteś, jeśli tego nie rozumiesz.

— Przynajmniej — zawołała Jadwinia — ubodzy wolni są od fałszywych przyjaciół, fałszywych miłości...

— Czy tak wiele znajdziesz—prawdziwych! Rozumiem, chcesz mnie pocieszyć; nie dokazesz tego nigdy, nie potrafisz we mnie wmówić, że nie jestem najnieszczęśliwszą na świecie.

Jadwinia uklękła przed nią, zarzuciła jej ręce na szyję i przez chwilę płakały obie. Wkrótce jednak młodsza siostra podniosła głowę i spytała:

— Tak przecież zawsze nie pozostanie?

Marcela wstrząsnęła głową. Nie wiedziała, co będzie dalej. Los mógł ją miotać dowoli, nie była już w stanie stawić mu oporu.

— Obaczysz — mówiła Jadwinia, bo młoda główka jej pracowała nieustannie — przeniesiemy się ztąd do jakiego małego, ładnego mieszkania. Nie będzie tam ani marmurów, ani bronzów, ani aksami-tów, tylko tani niebieski kreton. Będziemy mieli kwiaty. Nieraz widziałam ich pełno w oknach ubogich dworów. Wszyscy pracować będziemy...

Marcela słuchała ją chmurna, lub nie słuchała wcale. Marzenia siostry nie miały dla niej żadnego znaczenia. Ta nowa siedziba, o której ona mówiła wesoło prawie, jak dziecię, pożądające zmiany, przejmowała ją dreszczem trwogi i wstrętu. Mierzyła dotąd ludzi skalą wydatków, nie dziw więc, iż przyszłość przedstawiała się jej, jak otchłań upadku i nędzy, w której nie mogła dopatrzeć żadnego jaśniejszego promienia.

— Wierz mi — mówiła dalej Jadwinia — wszystko będzie lepsze od tych pustych, zapieczętowanych pokoi, od tego bezładu, w jakim teraz żyjemy. Chciałabym, aby się to raz skończyło.

Ale na myśl o porzuceniu tych miejsc, w których królowała, kochała, była szczęśliwa—Marcela czuła dziwne ściśnienie serca.

— O! gdybym ja mogła umrzeć! — zawołała z nagłym wybuchem.

— Marcelo! Marcelo! — powtarzała młodsza siostra, przerażona tym rezultatem swojej wymowy — nie kochasz mnie, kiedy tak mówisz!

— I cóż ja mogę dla ciebie uczynić? — odparła ponuro. — Czyż nie jestem tak samo, jak ty, ogołcona ze wszystkiego; czyż nie jestem również skazaną na nędzę?

To była jej myśl główna, źródło tej niepociesznej boleści, która przybierała tylko formy różne. Strata ojca, zerwanie z narzeczonym—te dwa powo-

dy aż nadto żal usprawiedliwiały; a jednak nie one to sprawiały jęj najcięższe cierpienia, chociaż nie przyznawała tego przed samą sobą. Mogła mówić narzeczonemu: „przestaniemy na małym” — jest to bowiem frazes elastyczny, frazes, do niczego nie obowiązujący, który wszystko objąć może. Teraz ogarniał ją niesmak, z niczym nie dający się porównać. Natura jęj buntowała się przeciw tak zwanęj prozie życia, a ta ukazywała się jęj z najbrzydszój strony. Ryszard znał ją może lepiej, niż ona sama siebie. Pozbawiona zwykłych zajęć i zwykłych rozrywek, wpadała w stan odrętwienia.

Jadwinia znieść nie mogła milczenia i bezczynności. Co chwila zmieniała miejsce, zbliżała się do okna i opierając czoło o szyby, spoglądała na zaśniewioną ulicę, ważąc w swęj główce jakieś plany, jakieś marzenia i nadzieje, których siostra rozwiąć nie zdołała.

Zegar wydzwonił trzecią.

— Marcelo! — zawołała — ty głodną być musisz; zapomnialiśmy o śniadaniu. Zrobię ci herbaty.

Od czasu odejścia kucharki, Marcela nie była w stanie przełknąć restauracyjnego jedzenia, na jakim poprzestawać musieli; żyła tylko herbatą, którą przyrządzała jęj Jadwinia, parząc sobie ręce, nie przywykłe do tęj czynności.

Stanisław powrócił z biura. Chmurny rzucił się na fotel, paląc w milczeniu cygaro, których jeszcze

zapas posiadał—gdy wbiegła Jadwinia, niosąc bukiet ułożony z bladych róż i hyacyntów. Marcela wyciągnęła ku niemu ręce chciwe, spragnione... Dawniej odbierała tyle bukietów—dawniej, kiedy jeszcze była szczęśliwą! Pochyliła głowę nad kwiatkami i piła ich zapach, jak w tej przeszłości niedawnej, a tak dalekiej. I wraz z zapachem powstawały tłumnie w jej myśli wspomnienia... Takie same blade róże miała we włosach w dzień zaręczyn, takie same były w bukiecie, który on jej przysłał... I lzy gorące stoczyły się na nie z jej oczów i zaświeciły na kwiatkach, niby krople nie ożywczej, ale palącej rosy.

— Od kogo to? — zapytał, zrywając się Stanisław.

Przy bukiecie był bilet wizytowy. Jadwinia podała mu go; przeczytał głośno: „Melchior Uścicki”.

Na dźwięk tego nazwiska bukiet wypadł z rąk Marceli. Niewiadomo, o kim myślała w tej chwili, ale niezawodnie nie był to stary wielbiciel, bo zwróciła przerażone oczy na brata. Stanisław, uderzony przypomnieniem nagłym, ożywiony jakąś nadzieją, zaczął przerzucać w brązowej paterze bilety wizytowe, składane tu od śmierci ojca.

Było ich bardzo wiele. W pierwszych dniach zwłaszcza—wszyscy przyjaciele, znajomi, i ci, których interes wiązał z Sawińskim, spieszyli złożyć

tę oznakę współczucia rodzinie. Pomiędzy niemi znalazł aż cztery bilety pana Melchiora. Widocznie usiłował on widzieć się z Marcelą, a ponieważ ona nie przyjmowała nikogo—przysłał bukiet. Był to poseł wymowny, choć milczący. Wobec sieroctwa, opuszczenia, ruiny—przypomniął, iż był człowiek, co kochał Marcelę i pragnął powrócić jęj to wszystko, co straciła.

Stanisław dotąd mieszał się tak mało w sprawy rodzinne, iż nie wiedział nawet o urzędowych oświadczeniach starego kawalera; wszyscy jednak w domu znali jego uwielbienie dla Marceli; chcąc jęj dokuczyć, prześladowali ją panem Melchiorem i śmieli się z niego za plecami bardzo po cichu, jak śmiać się można z ludzi milionowych.. jeśli blask fortuny pozwala dostrzedz śmieszności. Bukiet, liczne wizyty, a wreszcie ostatnia rozmowa z Ryszardem, którą dobrze pamiętał, otworzyły nagle oczy Stanisławowi. Z dziwną u niego żywością podniósł bukiet, upuszczony przez siostrę, szukał naczynia, w którémby go mógł umieścić, a nieznajdując go, nalał szklanke wody i włożył do nięj kwiaty z niezwykłą starannością.

— Po cóż to? — odezwała się z niechęcią Marcela.

— Po co? Kwiaty pana Melchiora mogą ci być obojętne, ale on o tém widzieć nie powinien.

— Zkądżeby wiedział?

— Nie udawaj, Marcelo — wyrzekł szorstko. — Pan Melchior był tu już wiele razy i niezawodnie przyjdzie dziś jeszcze, lub jutro.

Westchnęła z głębi piersi.

— I ja go mam przyjąć? — szepnęła, oglądając się wokoło z wyraźnym wstrętem — tu!

Mówiąc to, zwracała na brata wzrok pytający, jakby sama nie wiedziała, co ma uczynić.

— Ma się rozumieć — odparł stanowczo. — Czy sądzisz, że on nie wie o tém, co tu zaszło? O zerwaném małżeństwie z Czerczą? o wszystkiém, co ciebie obchodzi? Widocznie pragnie przyjść nam z pomocą, ale chce, żebyś mu do tego dała prawo.

— Ja! — zawołała z wybuchem żalu — ja? O! Stasiu!

Stanisław zbliżył się do niej, wziął jej obie ręce i mówił:

— Posłuchaj mnie. Byłaś zawsze rozumną. Czy chcesz dalej prowadzić życie, jakie się przed nami otwiera, pracować, jeśli tylko pracować potrafisz, lub konać głodową śmiercią? Znosić co chwila upokorzenia, jakie są zawsze udziałem ubogich, wędnać, marnieć, przekwitać, nie używszy życia ani potęgi swjej piękności?

Wzdrygnęła się na myśl o tém, a on ciągnął dalej:

— Albo też odzyskać stracone położenie, być znowu bogatą, strojną, otoczoną hołdami, poważaniem, zazdrością?...

Słowa te wywołały blady uśmiech na jej usta.

— Wiesz dobrze, iż jest tu tylko jedna droga dla kobiety—małżeństwo.

— Z panem Melchiorem! — wybuchnęła Jadwina, która dotąd w milczeniu przysłuchiwała się tej całej rozmowie.

— Choćby z samym dyablem! — zawołał rozgniewany.

Ona, nie zważając na to, mówiła dalej:

— Pan Melchior jest stary, brzydki, pospolity... Łzy popłynęły strumieniem z oczu Marceli.

— Właśnie czas zważyć na dziecinne uwagi i fochy! — ciągnął dalej brat rozgniewany. — Nie mamy nic—nie, nic: rozumiesz? Za parę dni sprzedadzą wszystko, co tu jest, i jeszcze nie opłacą długów. Będziemy musieli wyjść z tego domu, jak żebracy, nie wiedząc, co jutro do ust włożymy. Zapadamy w otchłań nędzy. Odwracają się od nas wszyscy. A kiedy człowiek, posiadający miliony, wyciąga do nas rękę—ty szalona, miałabyś wahać się i płakać, dlatego, że ten człowiek nie jest dość powabny?

Nigdy może Stanisław nie przemawiał z taką stanowczością. Był on w położeniu tonącego, który chwytą się zbawczej deski.

Marcela milczała z załamanemi rękami, z oczyma błyszczącemi łzami.

— Tylko dzieci i szaleńcy bezmyślnie zakładają rękę — mówił Stanisław.

— A! gdybym ja była mężczyzną! — wtrąciła energicznie Jadwinia.

— A! gdybym ja był kobietą, taką piękną kobietą, jak Marcela! — odparł szyderczo. — Potrzeba jęj tylko wypowiedzieć słówko jedno... co mówię! skinąć białym paluszkim, ażeby z ostatnięj toni wyratować siebie, nas wszystkich.

Marcela wlepiąła w niego ciągle wzrok pełen żalności, jak ofiara, której zadają cios śmiertelny. Ona także nie myślała odrzucać uśmiechu losu, choć ukazywał się w niesympatycznęj postaci pana Melchiora. A jednak lży jęj były szczere, szczerym nawet opór, jaki stawiała bratu. Wiedziąła dobrze, iż on złamanym zostanie, ale wołała poddać się jego woli, niżeli uledz własnej pokusie. Przeciw temu małżeństwu buntowało się jęj serce, jęj estetyczne poczucie, jęj przywyknienia, a szczególnięj owe szlachetne pojęcia, któremi przesiąkła i które wyznawała, wprawdzie bez trudu i ofiary żadnej, bo nigdy dotąd konieczności życia nie stanęły z niemi w kolizyi.

— Gdybym mogła umrzeć! — wykrzyknęła znowu z głębi serca.

W tym wykrzykniku konał jęj opór.

— Wiesz dobrze — zawołał gniewny Stanisław — iż śmierć nie przychodzi na zawołanie. Wy kobiety lubicie prózne słowa.

Przycisnęła z rozpoczą dłonie do czoła, zatapiając alabastrowe palce w złotych włosach, a z piersi

jój wrywały się coraz cichsze okrzyki: „gdybym mogła umrzeć!”, jak łkania z piersi uspakajającego się dziecięcia.

Stanisław nie omylił się w swoich przypuszczeniach. Nazajutrz rano nadszedł świeży bukiet od pana Melchiora z prośbą, by Marcela widzieć się z nim raczyła, a w ślad za nim przybył on sam i... został przyjęty.

Stary kawaler był widocznie wzruszony, ale niestety, wzruszenie powabu mu nie dodawało. Minął dla niego niepowrotnie czas, w którym drzenie głosu, wzrok wilgotny, rumieniec na twarzy, te oznaki namiętności mogły wywołać współczucie.

Są ludzie, u których urok młodości zastępuje rozum, wprawa życiowa, wysoka inteligencja; żywość przemienia się u nich w powagę, krewkość w głębię uczucia—tym sposobem życie równoważy nowemi darami to wszystko, co odbiera, kładzie indywidualny stempel na postaci, nadaje piękność właściwą dojrzałości i sprawia, że mąż siwowłosa przyemi nieraz młodzieńca w sercu wybrednej kobiety. Ale pan Melchior takim człowiekiem nie był. Rysy jego popolite, niepodatne były do delikatnego wyrzeźbienia, a co najważniejsze, brakło mu wewnętrznej siły, któraby tego dokonała. Lata pogrubily je, powlekly ogorzałym czerwonawym kolorytem i uczynily tēm popolitszemi.

Cheąc przypodobać się Marceli, pan Melchior usiło-

wał się odmłodzić. Mocno szpakowate włosy jego były teraz czarne, jak heban, wąsy zaginały się ku górze zwycięzko, a garnitur, robiony u pierwszorzędnego krawca, pokrywał umiejętnie ociężałość figury, na której znać było dobrze pięć krzyżyków. Nie dziw więc, że ta zwyczajna postać musiała budzić szczególnie wstręt w wykwintnej, wyszukaniej, przywyklėj do wyrafinowanych form kobiecie.

Bo też pan Melchior nie odznaczał się niczém — niczém zgoła. Umysł, wady, przymioty: wszystko to było u niego zwyczajne i tworzyło arcy powszednią harmonię pospolitości. Ślepy traf rzucił mu w rękę fortunę, odziedziczoną po krewnym, której-by nigdy-by sam zdobyć nie umiał. I fortuna ta była jedyną wyróżniającą go cechą. Pierwsze jego słowo było niezręcznością.

— Panno Marcelo! — zawołał całując jēj rękę — jakże się cieszę, że panią widzę wreszcie. Byłem tu próżno tyle razy.

Odpowiedziała mu, iż przeszli wszyscy bardzo ciężką chwilę; dziękowała za pamięć, ale oczy jēj odwracały się od niego. Dotąd był-to jeden z wielu bywających u nich, dawny znajomy ojca, dla którego była zawsze uprzejmą, jak wzorowėj gospodyni domu przystoi. Dziś po raz pierwszy spojrziała na niego, jak na człowieka, co chciał ją poślubić i widok ten był jēj nieznośny.

— Jesteś pan bardzo dobrym dla nas — skończyła, usiłując pokryć swoje wrażenia.

Pan Melchior nie umiał rozpoznać tych subtelnych odcieni. Zapatrzony w nią zawołał:

— O! któżby nie był dobrym dla pani!

Cała miłość jego wybuchała w tych słowach, w akcencie, jakim je wymówił. Ona nie była w stanie ocenić uczucia tego, prostego może, spóźnionego, ale które drgało prawdą. Widziała formę, nie treść; widziała się upokorzoną faktem, że wbrew sercu i woli zmuszoną była zgodzić się na związek, przeciw któremu buntowała się jęć cała istność i wybuchnęła łzami, używając tej wiekuistej broni bezsilnych.

Łzy te, łatwe do wytłumaczenia wspomnieniem strat poniesionych, pomieszały przecież zupełnie szyki panu Melchiorowi. Chciał on wobec trudności położenia postawić od razu swą kandydaturę, ażeby mieć prawo przyjść z pomocą nieszczęśliwej rodzinie. Teraz nie wiedział, co począć i powtarzał zwykle w tych razach ogólniki:

— Panno Marcelo! uspokój się, nie martw. Możesz sobie zaszkodzić. Pamiętaj o twojem zdrowiu.

Ale Marcela uspokoić się nie mogła. Pan Melchior przerażony musiał poprzestać na ucałowaniu jęć rączek i nie mógł znaleźć chwili, sposobnej do wypowiedzenia swych zamiarów.

— Postąpiłaś, jak dziecko — wyrzekł Stanisław, gdy dowiedział się o rezultacie jęć wizyty.

W gruncie rzeczy jednak pomyślał, iż siostra mogła mieć w tém swoje wyrachowanie. Są wypadki, w których pośpiech jest złym doradcą. Wiek pana Melchiora dawał rękojmię trwałości jego uczuć, a uczucia podobnego rodzaju potęgują się trudnościami.

Posądzając przeciw Marcelę o wyrachowanie, czynił jej niezasłużony zaszczyt. Ona chciała po prostu zwlec chwilę ostatecznych zobowiązań, jak skazany chciałby oddalić spełnienie wyroku. A może też, jak generał osaczony przez nieprzyjaciela, pragnęła stoczyć bitwę bez nadziei zwycięstwa, dla ocalenia honoru.

Gdyby jednak pan Melchior był pozostał trochę dłużej, lub też przyszedł nieco później, byłby miał większe widoki natychmiastowego powodzenia.

Każda majątkowa katastrofa rozbija się na mnóstwo drobnych katastrof, które wywołują starcia i uklucia, zaogniające ranę. Nie zmienia się z dnia na dzień położenia, i nikt nie jest w stanie uregulować interesów bez przykrości naddatkowych. Cała spuścizna po Sawińskim szła na pokrycie długów, ale długi te nie mogły być spłacone odrazu, a pomiędzy nimi były rachunki, dotyczące się wprost pozostałych dzieci. Niektóre drobne należności uiszczone zostały z pozostałej gotówki, ale zaspokoić wszystkich było niepodobieństwem. Najnatarczywszym okazał się magazyn, w którym ubierały się

panny Sawińskie. Co chwila przychodził inkasent, dopominając się o pieniądze, w sposób zrazu grzeźny, potem coraz bardziej natarczywy, aż wreszcie doszedł do grubijaństwa.

Cała дума kobiety, która nie znajdywała się nigdy w podobnym położeniu, burzyła się w Marceli. Jak można było nie uwierzyć jej na słowo, kiedy mówiła, że potrzebnej sumy nie posiadała w tej chwili; jak można było nie poczekać, skoro ręczyła, że ją spłaci... W takiej chwili przyznawała słusność bratu, który znał dobrze upokorzenia ubóstwa i byłaby przyjęła każdą zbawczą rękę, byle się od tych upokorzeń uwolnić. Są z pozoru drobne okoliczności wpływające na kierunek życia. Rachunek magazynu był największym sprzymierzeńcem pana Melchiora, zły los jego sprawił, iż trafił na chwilę, w której właśnie to było zatarte.

Wiadomości z pozoru dla wszystkich obojętne rozchodzą się najszybciej... Małżeństwo Marceli obchodzić mogło co najwięcej rodzinę jej i znajomych; przecież wieść o zerwaniu z Czerczą, lotem strzały rozeszła się po mieście... Jakim sposobem? Kto ją rozniósł? — to należy do tajemnic plotkarstwa. Nie mówili o niem Sawińscy, zamknięci w swój żalobie, tém mniej mówił Czercza. Na pogrzebie widziano razem narzeczonych, idących za trumną. Pomimo to wiedzieli wszyscy, iż małżeństwo było zerwane.

Wytworzyło to dla młodego adwokata trudną po-

zycyę; świat jest zawsze pełen Katonów, którzy tém więcej wymagają od drugich, im mniejby sami zrobili. Katoni ci zwykle oburzają się głównie na tych, którzy przenoszą ich miarą swoją i biorą tém chętniej w głośną obronę pokrzywdzonych, im mniej byliby zdolni coś dla nich uczynić. Ryszard wiedział o tém dobrze, wiedział także, iż są wypadki, w których najroztropniej jest ludziom zejść z oczów. Gdyby miał środki po temu — majątek, wyjechałby na parę tygodni do Paryża, Wiednia, Włoch, a przez ten czas ucichłaby wrzawa. Prawda, iż gdyby miał majątek, wyjeżdżać nie miałby potrzeby. Był jednak przykuty do miejsca brakiem środków. Już i tak weksle jego kursowały pomiędzy lichwiarzami, którym co miesiąc opłacać się musiał; trzeba więc było pozostać i stawić czoło burzy zewnętrznej i burzy własnego serca.

W izbie obrończej w czasie sądów wrzało jak w ulu. Grono ludzi, z urzędu szermujących językiem, staczało tu codziennie nadetatowe harce. Wśród nich zaostrzały się zdania, ścierały dowcipy, a wszystkie plotki miejskie, wszystkie wiadomości brukowe i osobiste, zbiegające się tutaj, jako pogłoski, wychodziły przyobleczone w formę konkretną, niby sentencya wyroku, wprzód rozpatrzonego ze stron wszystkich i przedyskutowanego ostatecznie. Tu rozsądzano bez apelacyi wiele spraw, a trybunał opinii ferował je często wbrew prawu, ale zgodnie

z sumieniem i sprawiedliwością. Tutaj wyrabiały się szacunek lub lekceważenie, a charakter ludzi wazono skrupulatnie na subtelnych szalach. Koledzy wiedzieli wybornie, na jaki stopień zaufania każdy z nich zasługiwał, jakiej próby była czyja uczciwość. Tutaj znali się wszyscy na wylot; rozumiano nie tylko słowa, spojrzenie, mimikę, ale intencje a nawet intencję intencji. Subtelnie wykształcone mózgi wyrobiły sobie subtelne wyrażenia na rozróżnienie odcieni, zaledwie dostrzegalnych. Było to coś podobnego do bajecznego pałacu prawdy. Ludzie wprawdzie nie mówili koniecznie tego wszystkiego, co wiedzieli, ale przenikali wzajem swoje myśli i odczuwali to doskonale. Wyrabiały się tu żywe sympatyje i antypatyje niezwalczone, oparte nie na przywidzeniu, lecz na głębokiej znajomości charakterów i stosunków.

Nie dziw więc, że w izbie obrończej zaręczyny Marceli, śmierć Sawińskiego, zerwanie małżeństwa, były to trzy zbiegające się fakty, które dostarczyły wątku do mnóstwa komentarzy. Sawiński miał położenie wyjątkowe; zdolność, wiedza, charakter nieskazitelny czyniły z niego króla tej burzliwej rzeczywistości. Czerczę znano dotąd zbyt mało, by go osądzić. Ten młody człowiek o ognistém oku, surowej, energicznej fizyognomii i rozwiniętém czole, wzbudził więcej uwagi, niż sympatyi. Małomowny, zamknięty w sobie, czasem sarkastyczny, umiał

w potrzebie dać odprawę ostrą, jak cięcie noża. Na zdolnościach jego poznać się było łatwo, ale przed człowiekiem nie postawiono jeszcze odpowiedniej cyfry. Czekano.

Gdy został codziennym gościem w domu Sawińskiego, podziwiano jego śmiałość; gdy zyskał rękę pięknej Marceli, nazwano go szczęśliwym. Szczęście to budziło zazdrość. Od téj chwili miał wielu nieprzyjaciół cichych, ale zawziętych; byli nimi ci wszyscy, których ubiegł, ci wszyscy, co z trudnością, mozolnie torowali sobie drogę, gdy on odrazu małżeństwem swém stawał u celu. Nienawiści, przytłumione powagą Sawińskiego, wybuchały teraz.

W jednym rogu izby obrończej zebrała się grupa prawników koło Janickiego. Janicki była to wybitna osobistość; zdanie jego miało wielką wagę.

— Czy wiecie — zapytał — kto dostał po Sawińskim sprawę Ławomirskich?

Mówił o jednej z tych spraw, w których idzie o miliony, które stanowią odrazu o majątku i więtości obrońcy, jeśli ją szczęśliwie przeprowadzi, o sprawie łączącej wielki interes moralny z materyalnym. Prawi sukcesorowie, oddaleni zbiegiem wypadków niezależnych od woli, zostali ograbieni z dziedzictwa przez paru awanturników, którzy podstępem wyłudziili zapis dziecinnialemu starcowi.

— Ba! dostał ją pewno ktoś taki, co ją zgubi

i nie wyzyska. Tak zwyczajnie bywa — mruknął Gordzicz, pesymista z położenia i charakteru.

— Zgubi jak zgubi, ale że nie wyzyska należyście to pewna. Broński ją dostał.

— Broński! czy nie mówiłem!—zawołał z rodzajem tryumfu Gordzicz. — Są ludzie, którym pieczone gołąbki same cisną się do ust, gdy tymczasem inni...

Zrobił wymowny ruch, w którym można się było łatwo domyśleć wielu daremnych usiłowań i zawodów.

— Czy cisną się same to jeszcze wielkie pytanie — zaśmiał się dobrodusznie Janicki.

— Olbrowicz podobno tobie powierzył swoje interesa? — wyrzekł jeden z obecnych, zwracając się do Janickiego. — Winszuję, winszuję!

— No — wtrącił Gordzicz — myślałem, że ten przynajmniej powierzy je Czerezy.

— Dlaczegoż Czerezy?

— Boć to przecież domysłny następca Sawińskiego.

— Spóźniłeś się ze swoim domysłem. To już historia starożytna.

— Jakto! jakto! Nie rozumiem?

— To jednak bardzo łatwe do zrozumienia — wtrącił Heleński, znany ze swęj złościwości. — Sprawa różni się wielce od sprawy Ławomirskich. Ławomirski umarł za późno, a Sawiński za prędko by dziedzictwo ich dostało się we właściwe ręce. Ła-

womirski doczekał się utraty rozumu i sporządził testament nieważny, a Sawiński nie miał czasu żadnego napisać. Zresztą, klient—jest to ruchomość, służebność, czy jak ją tam nazwać chcecie, nie podpadająca zgoła prawom spadkowym.

— Co znowu! gdyby piękna Marcela szepnęła słówko prezesowi, powierzyłby swoje interesa nie tylko Czerczy ale samemu dyabłu, dodał inny.

— Dziś Marcela nie miałyby w tem żadnego interesu—ciągnął dalej Heleński.—Nie czyni to jednak zaszczytu przenikliwości Czerczy, który tego nie pojął.

— Interesa Olbrowicza — dla początkującego. Czegóż więcj potrzeba? — mruknął Gordzicz.

— Pokazuje się — mówił Heleński, przybierając zwykle ton dydaktyczny ile razy chciał coś bardzo złośliwego powiedzieć — iż prosta uczciwość bywa czasem dobrym interesem.

— Bardzo rzadko — wtrącił Gordzicz.

— Czercza — ciągnął dalej, nie zważając na przerwę Heleński — jest widać nie tylko nieszczemny, ale głupi także...

— Hm, na takiego to już nie wygląda — szepnęła oglądając się Gordzicz.

— Co prawda, postąpił z Marcelą nieuczciwie — zawyrokował Janicki.

Nikt przeciw temu nie zaprotestował, Janicki rzadko wygłaszał podobnie konkretne zdania. Szczery przyjaciel zmarłego brał gorąco stronę jego rodziny.

Takie same rozmowy toczyły się w innych grupach. Grono młodszych, mniej poważnych i mniej poważanych, zebrało się w innym kącie.

— No, temu Czerczy teraz się urwało — mówił z nieskrywaną radością jasny blondyn z szeroko otwartymi oczyma, w których nie błyszczała wcale inteligencya — zobaczymy, co on zrobi, jak mu zbraknie pleców Sawińskiego.

— Co tam teraz o nim mówić! — dodał nadymając wargi brunet z przebiegłym wyrazem twarzy — to wcale nie honorowy człowiek. Zaręczyć się z panną, a potem ją rzucić — tak się nie postępuje.

— Na dobrą sprawę — wtrącił trzeci — gdyby na świecie była sprawiedliwość, to niktby mu ręki podać nie powinien.

Zaśmiano się nieznacznie, bo ten, co tak mówił, ożenił się z garbatą panną jedynie dla jej pieniędzy, ale pomimo to powtórzono z powagą:

— Tak jest, nie należałoby mu ręki podawać.

W tej chwili wszedł Czercza. Nie było powodu odmówić mu podania ręki, bo do nikogo jej nie wyciągnął; śpieszył się widocznie i tylko ogólnym skinieniem głowy powitał obecnych, potem usiadł przy stole i pisał coś szybko. Gdy powstał, powiódł po zgromadzonych wzrokiem tak bystrym, jak gdyby czytał ich myśli. Był blady, ślady przebytych dni wryły się na jego twarzy wyraźnie. Wiedział dobrze jakie sądy wydawano o nim, wiedział, że naj-

surowiej sędzili go ci, którzy najmniej mieli do tego prawa. To też oczy jego były dumne, niemal wyzywające, a na ustach tkwił przykry uśmiech, który u pewnych natur jest nieraz najwyższym wyrazem bólu. Czuł się pomiędzy nieprzyjaciółmi, doleciał go jakiś szept złośliwy i ociągał się z wyjściem, chociaż pilno mu było się ztąd oddalić. Nie chciał, by ktokolwiek mógł sędzić, iż się lęka albo unika następstwa swoich czynów. Być może, iż chciał pochwycić jakie słówko, które dałoby mu prawo wystąpić przeciw jednemu przynajmniej z pomiędzy tych niechętnych, pozwoliło spojrzeć oko w oko nieprzyjacielowi i zmusić go do milczenia chociażby kulą. Krew mu wrzała, a w duszy pod wpływem serdecznego bólu i zranionej dumy budziła się jakaś dzika żądza krwi i zemsty, ogarniał bezmyślną nienawiścią tych wszystkich, którzy uśmiechali się, mówili coś cicho, lub choćby tylko spoglądali na niego.

Wobec jednak postawy, jaką przybrał obecnie, wszyscy umilkli, jedni umyślnie, drudzy instynktowo. Ostatecznie, co kogo obchodzić mogły stosunki rodziny Sawińskich! Jeśli Czercza zawinił przeciw Marcei—miała brata, który mógł się o nią upomnieć; on jeden miał do tego prawo. Czasy błędnych rycerzy minęły; rola don Kiszota jest niebezpieczną i śmieszną w dodatku. Nikt nie chciał być bocianem i oczyszczać świat z nieprawości ludz-

kich. Bociany miałyby zbyt wiele do roboty, gdyby obowiązkom tym zadość czyniły. Zresztą prawnicy mają zwykle sposobność poznać ludzkość z najgorszej strony, zachowują względem niej tak mało złudzeń, iż z konieczności nabywają pogardliwej pobłażliwości. Najszlachetniejsi, jak Janicki, jak Gordzicz, spotykali się codzien z wielu kolegami, którzy popełnili czyny stokroć gorsze, niż zerwanie małżeństwa z powodów pieniężnych, a pomimo to nie wypowiadali im jawnie swojej pogardy; czyste ich ręce nawet dotykały się nieraz zbrukanych dłoni, a konieczności życiowe stawiały nieustannie wobec siebie nizeczemnych i zacnych, najczęściej dając pierwszym nad drugimi przewagę. Czercza więc oddalał się obojętny z pozoru, trzymając pod swoim wzrokiem obecnych, powoli, jakby oczekiwał wyzwania i dawał nań czas, gdy zbliżył się do niego Jerzy Tomilski.

— Dobrze, iż cię spotykam — zawołał serdecznie, wyciągając do niego rękę.

Ryszard spojrzał z pewnym zdziwieniem na delikatną, kobiecą prawie twarz młodego kolegi, którego jasne oczy zwracały się ku niemu szczerze i przyjaźnie. Ale brew jego pozostała ściągniętą, gorzki wyraz nie zeszedł z twarzy.

— Masz do mnie interes? — spytał krótko.

— Mam! Czy już wychodzisz?

— Tak; sprawa, której bronić miałem, odłożona. Czém służyć ci mogę?

— A więc chodźmy razem.

Przeciskali się przez tłum, zalegający przedsi-
nek; Jerzy wsunął rękę pod jego ramię: tak wyszli
z gmachu sądowego i skierowali się ku ulicy Bielań-
skiej, na której mieszkał Czercza. Gwar uliczny,
brzęk pędzących w różne strony sanek, wołanie wo-
źniców przeszkadzały rozmowie. Szli więc w mil-
czeniu czas jakiś.

— Czegóż chcesz odemnie? — spytał wreszcie
z lekką niecierpliwością Ryszard.

— Chciałbym pomówić z tobą nieco dłużej, otwar-
cie — odparł młody człowiek, z pewną nieśmiałością
podnosząc na niego oczy, błyszczące współzuciem.

— Czy i ty także — wyrzekł Czercza, nerwowym
ruchem usiłując uwolnić rękę z pod ramienia towa-
rzysza — ty także sądzisz mnie i potępiasz? W ta-
kim razie możesz oszczędzić sobie przykrości wy-
powiadania próżnych słów, a mnie ich słuchania.

— Jesteś niesprawiedliwy. Wiesz dobrze, iż ja
wierzę w ciebie, jak w samego siebie.

— Źle robisz, źle na tém wyjdiesz! Któż lu-
dziom wierzy: dzieci i głupcy.

— Ja też nie wierzę ludziom; wierzę człowieko-
wi — odparł Jerzy z przyciskiem.

— Wszystko jedno: ten jeden zawiedzie cię, jak
i wszyscy.

Jerzy nie przeczył, ale nie odchodził. W mieszkaniu Czerczy służący otworzył im drzwi za pierwszym pociągnięciem dzwonka, zdjął futra i weszli do gabinetu, pustego w tej chwili.

Gabinet, był to najpokaźniejszy pokój w małym apartamencie, położonym na pierwszym piętrze wykwintnego domu. Przeznaczony do przyjmowania klientów, miał meble wygodne, kosztowne nawet, ale bez żadnego sprzętu, na którym odbijałaby się indywidualność gospodarza. Znać tu było poniekąd tymczasową siedzibę człowieka, który o nią dba mało, jak żołnierz na kwaterze lub podróżny w hotelu, więc gromadzi to tylko, co mu potrzebne do natychmiastowego użytku, bez względu na smak osobisty.

Dobrze umeblowany gabinet jest dla adwokata koniecznością, jednym z warunków powodzenia. Czercza wiedział o tém. Pokój sypialny za to miał spartańską surowość. Proste sprzęty grupowały się około wąskiego, żelaznego łóżka. Wokoło niego było pełno książek, które stanowiły tu jedyny zbytek i zapełniały go głównie. Zapuszczona w tureckim smaku portyera, nie pozwalała wcisnąć się doń ciekawemu oku przy otwarciu drzwi gabinetu. Klient widział tylko wspaniałe wejście, obszerny przedpokój i wielki gabinet z ogromnym mahoniowym biurkiem, szafą biblioteczną i wygodnymi fotelami.

Tutaj za Czerczą wszedł Jerzy niezrażony chło-

dem i sarkastycznymi odpowiedziami jego. Przeszedł się raz i drugi po pokoju, w czasie gdy Ryszard usiadł przy biurku, sztywno, urzędowo, aż wreszcie zatrzymał się przed nim.

— Mówiłem ci, że wierzę w ciebie, Ryszardzie, i wiem, że się nie zawiodę. Znamy się od...

— Oszczędź sobie tego wstępu — przerwał mu szorstko Ryszard. — Nazywasz się moim przyjacielem, to znaczy zapewne, że masz prawo dotykać najdrażliwszych przedmiotów, wypowiadać mi najprzykrzejsze rzeczy i badać najskrytsze uczucia?

— Takich praw nie mam i mieć nie chcę; przykrości nie zrobię ci nigdy, wiész o tём dobrze — odparł Jerzy, w którego oczach zamigotało coś nakształt łez. — Widzę, że cierpisz, że wszyscy są przeciwko tobie i sądziłem...

— Wszyscy przeciwko mnie! Tak! Czytałem obelżywe myśli w oczach, obelżywe słowa na ustach ludzi, którzy wypowiedzieć ich nie mają odwagi, a z których każdy ma sumienie wytarte, jak kuchenna ścierka. Wszyscy przeciwko mnie... dlaczego?

Mówił to z tłumioną wściekłością i jakby chcąc wyrzucić ją na czémkolwiek, gniótł w ręku gazetę leżącą na stole, nerwowym, namiętym ruchem.

— Ludzie widzą fakta tylko, nie pobudki — szepnął Jerzy — a fakta oddały cię im na pastwę.

— Alboż fakta są w mojej mocy! Alboż nie spały one na mnie całym ciężarem, nie zmiażdżyły mi

serca? Ty jeden może wiesz, że inaczej postąpić nie mogłem. Ty wiesz, jakimi wysiłkami utrzymuję się na powierzchni tego marnego świata pozorów; wiesz, że sam jeden, bez pomocy, wybiłem się z uścisków nędzy, że pracowałem dnie i nocę, żyłem czarnym chlebem i tego nawet nieraz do sytości nie miałem. Ty wiesz, ile wysiłków, pracy, upokorzeń kosztowało mnie zdobycie nędznego bytu; wiesz, że musiałem wejść w lichwiarskie szpony, z których dotąd wydobyć się nie mogę, ażeby mieć narzędzia pracy, pokój do przyjęcia—pozory. I w tém położeniu, ja, niepewny jutra, ja—skrępowany, miałem się ożenić z kobietą, nie mającą pojęcia o wartości pieniędzy, z kobietą, urodzoną, wzrosłą, wychowaną w zbytku! Gdzieżbym ją pomieścił, jak utrzymał? Nie dość na tém: wraz z nią trzebaby było wziąć na siebie ciężar dwóch jeszcze egzystencyj, niezdolnych do samoistnego bytu. Ależ to stałoby się dla mnie kamieniem, uwiązany do szyi, z którym musiałbym pójść na dno społeczne, lub rzucić się do Wisły wraz z tymi, którzyby się na mnie oparli. Gdybym to uczynił, oni wszyscy co mnie potępiają, nazwaliby to szaleństwem, zabiliby mnie swoim szyderstwem, zaprzeczyliby mi prawa bytu, jako pozbawionemu rozsądku. Dziś milczą przynajmniej, nie śmieją rzucić mi w oczy tego, co o mnie myślą; wówczas obrzucaliby mnie swoim współczuciem obłudnym, deptali jak człowieka, który każde-

go potrzebuje, każdego się lękać musi, nikomu narażić nie może.

— Dlaczegoż tego nie powiesz?

— Ja! — zawołał, podnosząc się z miejsca, jakby dotknięty płomieniem. — Ja—im? Kto się tłómaczy, ten z góry uznaje się zwyciężonym. Ja nie powiedziałbym tego tobie nawet, gdybyś nie trafił na chwilę, taką jak ta.

— Ryszardzie, ja znieść tego nie mogę, by powstawano przeciw tobie nieustannie.

— Jesteś dziecinny, sądząc, że winno tutaj postępowanie moje. Oni szukali zaczepki, czekali na chwilę sposobną. Napadają na mnie nie dlatego, że opuściłem narzeczoną, ale że umarł Sawiński, wobec którego milczeć musieli. Teraz wychodzą tylko na jaw tłumione zawiści, niechęci, obudzone powodzeniem. Takie rzeczy trzeba opłacać zwłaszcza, jeśli się je utraci wówczas, gdy nadzieje nie miały jeszcze czasu stać się rzeczywistością i unosiły się tylko przedemną, jak złote motyle. Byłem szczęśliwy, Jerzy, tak szczęśliwy, jak już nie będę nigdy, nigdy, nigdy...

Oparł nerwowo zaplecione dłonie na czole i wielkimi krokami przebiegał gabinet, daremnie chcąc się uspokoić.

Jerzy spoglądał na niego z gorącym współczuciem. Miał on dla niego ten rodzaj czci serdecznej, jaką budzi zwykle energiczna silna natura w młodej,

miękkiej, skłonnjej do entuzjazmu. Ryszard był jego miłością, dumą, ideałem. Ten ból, ujawniający się w człowieku, którego twarz nie ulegała prawie zmianom w oczach ludzi, którego duma panowała nad każdym zewnętrznym objawem uczucia, był mu nad wyraz przykrym. Próbował przemówić do Ryszarda.

— Ty będziesz szczęśliwym jeszcze, Ryszardzie. Alboż na świecie jedna kobieta tylko?

— Jedna kobieta! Więc i ty myślałeś, żem się z nią żenił dla materyalnej korzyści? To tylko umożliwiałło nasz związek. Pokochałem ją jak szalony od pierwszego wejrzenia, od chwili, gdy w złótem świetle wiosennego wieczoru, wśród woni unoszących się w powietrzu, lekkiego obłoku szarych jedwabi i koronek, wynurzyła się przedemną z powozu jěj twarz biała. Powóz w alei łazienkowskiej szedł noga za nogą, a gdy przejeżdżał koło mnie, zadrgała we mnie każda żyłka, nerw każdy; uczulem, żem znalazł swoją władczynię.

— Nie mówiłeś mi tego nigdy.

— Pocóż mówić! co świata do moich uczuć?... Małżeństwo nasze odpowiadało jego wymaganiom: któż miał prawo wchodzić w jego istotne powody? Szczęście nasze kryło się za fałdami konwenansu, nie rzucało się w oczy, nie stało się pastwą plotek. Przybierałem wyraz obojętny, gdy serce rozsadzało mi pierś swoim biciem.

Umilkł nagle i przycisnął ręką czoło, jakby ono pęknąć miało. Może przyszedł mu na myśl pan Melchior i ta nieubлагana życiowa konieczność, która zmusiła go rzucić ukochaną w jego objęcia.

— Nie mów mi o tém nigdy — zaczął znowu za ledwie dosłyszalnym głosem, jakby mu nagle tchu brakło. — Stało się. Odstać nie może i nie powinno.

Kto wie, czy nie odpowiadał w ten sposób jakiejś nagłej pokusie, budzącej się w jego piersi.

— I ci ludzie — zawołał — sądzą mnie, jako odstępcę, mnie...

Wzburzony umysł nie mógł się uspokoić odrazu, na kształt fali, która choć wicher ustanie, długo rozbija się o brzegi. I on cichł i ciągle wybuchał jeszcze.

— A teraz — mówił znowu — trzeba walczyć, walczyć i... zwalczyć!

Jerzy spoglądał na niego z rodzajem uwielbienia.

— Któżby zwyciężył, jeśli nie tacy, jak ty!

— Tak sądzisz? — odparł Czercza, wracając do sarkastycznego tonu, pod którym zwykł był ukrywać wzruszenie. — Nie wiem, czy powinienem ci być wdzięcznym za tę przepowiednię?

— Jakto?

— Nie jesteś przecież tak naiwny, by sądzić, że powodzenie idzie w parze z zasługą, że nagrodą uczciwości jest uznanie, a zdolność daje korzyści. Takie rzeczy dobre są w powiastkach dla dzieci: ludzie

wiedzą, co o nich trzymać. Jeśli więc jesteś pewny, że w tój walce ze światem zwyciężę—no, to nietęgie masz o mnie wyobrażenie.

— Ryszardzie, Ryszardzie, jakiś ty gorzki!

— Ja? dlaczego? Ja stwierdzam jedynie fakt; a jeśli on wydaje ci się potwornym, to już doprawdy nie moja wina. Patrz-że na to, co się dzieje; pobądź się na chwilę tych konwencyonalnych okularów, które jedni drugim wkładają na oczy i zaprzecz mi, jeśli możesz. Zresztą inaczej zacność nosiłaby po prostu nazwę dobrego interesu, a w takim razie gdzież byłaby zasługa?

— Więc pocóż mówisz o walce, gdy jesteś przekonany, iż tylko nikkzemność popłaca. Ty przecież nikkzemnym nie będziesz?

Czercza przez chwilę patrzył w oczy młodego człowieka jasnym, przenikliwym wzrokiem.

— Wszyscy —wyrzekł —próbujemy siły naszej ch zasad w zapasach z rozkładającą się potęgą życia. Trzeba ją znać; inaczej przyszłość zadrwi z naszych pięknych teoryj, pokazując nam ich nicość, i zostawi, jak dzieci, z rozwianym puchem kwiatowym w ręku.

— Może więc lepiej opuścić ręce, lub według twego wyrażenia: rzucić się na dno Wisły?

— Samobójstwo jest dla mnie wstrętne, jak porażka. Życie buntuje się. A potem, im trudniejsze zadanie, tem więcej nęcące. Każdy przecież szedłby prostą drogą, gdyby ona wiodła do celu nieomylnie.

nie. Tak nie jest. Na szczęście, ludzie nie mają nigdy żelaznej konsekwencji; to umożliwia życie. W warunkach jego tworzą się co chwila szpary i szczeliny: a kiedy się z nich korzysta?

W zaciętych, energicznych, rozumnych rysach jego znać było, że należał do tych, co będą umieli skorzystać, co utworzą wyłom w twardym murze konieczności i utworzą sobie taką drogę, jaką iść zamierzają. Oparł głowę na rękę i myślał. Snadź ta droga zarysowała się już przed nim, snadź snuł w myśli plany przyszłości. Pokonany na chwilę—szermierz odwet swój gotował.

* *

Prezes Olbrowicz jadł zwykle śniadanie w małym, na ten cel przeznaczonym pokoju w swoich prywatnych apartamentach. Na te śniadania zapraszani bywali czasami tylko najpoufalsi znajomi lub przyjaciele. Była to dla prezesa, przywalonego mnóstwem interesów, najswobodniejsza pora. Jak zwykle ludzie bardzo zajęci, wstawał on rano i pracował do południa. Wówczas podawano mu śniadanie, potem już był widzialnym dla interesantów, lub wyjeżdżał, oddawał i przyjmował wizyty, obiad zaś jadał z rodziną. Śniadanie—była to dla niego prawdziwa godzina wypoczynku; nie lubił, żeby mu je przerywano, i gromadził wkoło siebie to wszystko, co

mogło je uprzyjemnić. Dowodem tego był sam pokój, opatrzony wielkiem parapetowem oknem, otwierającym się w lecie na mały kwiatowy ogródek; w zimie posadzka zasłana dywanem i ogień na kominku czyniły go równie miłym. Ściany zdobiło kilka wielkich charakterystycznych obrazów, kopowanych z dawnych mistrzów. „Venus” Tycyana, „Io” Corregia, „Bachantki” Rubensa, świadczyły, że jeśli prezes miał gust eklektyczny względem ich twórców, objawiał jednak wyraźne upodobania co do treści. Kilka nowożytnych, mocno dekolowanych studyów kobiecych spoglądało ze ścian fijołkowemi, niezapominajkowemi i czarnemi oczyma, a oczy wszystkich były ładne i patrzyły zalotnie, figlarnie, lub wyzywająco, tworząc śliczną galeryę rozmaitych typów. Zresztą okrągły stół, miękkie fotele, otomana, przed którą stały wszystkie przybory potrzebne dla wykwintnych palaczy, dopełniały umeblowania.

Pan Hyacenty bywał czasami przypuszczony do tych poufnych śniadań, ale zdarzało się to prawie zawsze wówczas, gdy prezes potrzebował od niego jakich szczegółowych informacyi w sprawach nieurzędowych albo też chciał mu powierzyć jaką delikatną misję, także nieurzędową. Pan Hyacenty był nieoszacowany w podobnych razach; umiał on nie tylko spełnić to, czego od niego żądano, ale i wiele więcej; odgadywał, co było niedopowiedziane, a gdy prezes chciał się czegoś dowiedzieć, on zawsze do-

myślał się trafnie, o co chodziło i stawiał się pełen pożądaných wiadomości, które umiał niby niechęć wsuwać w swobodną pogawędkę.

Rzeczy stały na tej stopie, że kiedy zaufany służący prezesa przychodził z ustn^{ym} zaproszeniem na śniadanie, pan Hyacenty domyślił się zaraz, o co właściwie chodziło i był zawsze stosownie przygotowany. Możliwość powiedzieć, iż zużywał bardzo wiele sprytu dla rezultatów bardzo małych; ale naprzód łaska prezesa, która spadła już na niego w postaci różnych korzystnych synekur i mogła zgotować mu wiele jeszcze przyjemnych niespodzianek, nie była rezultatem małym, a pot^{em} w dobrze urządzone^m gospodarstwie społeczn^{ym} każdy zrobić powinien to, do czego jest uzdolnionym. Otóż jeżeli przeciwko naszemu społecznemu gospodarstwu dałoby się to i owo powiedzieć, nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że pan Hyacenty zajmował właściwe sobie miejsce. Miał on niejaki podobieństwo do słonecznika: głowa jego pełną była drobnych zdarzeń towarzyskich, wiadomości, pogłosek, plotek jak głowa słonecznika ziarenek, a jak słonecznik zwraca się ku słońcu, tak, on zwracał się do tego wszystkiego, co świeciło blaskiem stanowiska i majątku. Na teraz słońcem jego był prezes.

W chwili, gdy na ratuszu biła godzina dwunasta, pan Hyacenty wchodził do prywatnej jadalni swego pryncypała. Stół był nakryty z owym wykwinem

wielkich domów, który podnosi smak potraw; omszałe butelki rysowały się poważnie na tle śnieżnego obrusa wraz z grupami kieliszków różnych kształtów, ustawionych przed każdym nakryciem. Na boczny stoliku asortyment wódek, a przed otomanką asortyment cygar czekały na godnych siebie smakoszów. Na kominku płonął wesoły ogień, słońce zimowe, wciskając się przez zamrożone szyby, wydobywało na jaw jasne barwy dywanu, a wędrując po ścianie, całowało z kolei nagie ciała rozrzuconych tam piękności.

Prezesa jeszcze nie było. Zajęcia nie zawsze pozwalały mu być punktualnym; był to właśnie jeden z powodów, dla których tylko bardzo zaufanych na śniadanie zapraszał. Pan Hyacenty tymczasem grzał się przy kominku, rozpatrując się z wielką przyjemnością w obrazach, co świadczyło, że pod tym względem gust jego zgadzał się z gustem właściciela. Robił nawet w myśli rozmaite uwagi nad główkami kobiecemi. Znajdował np., że brunetka wisząca przy kominku, z wielką, czerwoną różą we włosach, przypominała bardzo włoską śpiewaczkę, protegowaną niegdyś przez prezesa.

Słońce padało teraz w pełni na wizerunek blondynki wykonany pastelem, w którym artysta wydobył znakomicie miękkość tonów, charakteryzującą zwykle kobiety o białej płci i jasnych włosach. Włosy te nabierały w słońcu barw złotych, zdawały się

okrażać jakby aureolą puszyste lica i skronie o perłowych odblaskach.

Był tak zapatrzony, iż nie słyszał, jak drzwi, ukryte w tapecie, otwarły się, a w nich stanęła okazała postać prezesa.

— Dzień dobry!—wyrzekł, zbliżając się do swego gościa. — Cóż pan tak upatrujesz w tym pastelu?

Pan Hyacenty odwrócił się szybko.

— Dostrzegam tu po raz pierwszy jakieś dalekie podobieństwo.

— Do kogo?

— Do panny Marceli.

Podobieństwo to, nawiasem mówiąc, było czystem zmyśleniem. Pan Hyacenty wytworzył je na pręde, ażeby odrazu i niby niechęący przystąpić do motywu zaproszenia, nie pytając się, ani żądając objaśnień. W tém właśnie leżało jego mistrzowstwo.

Wymawiając imię Marceli, pilnie spoglądał nie na prezesa, ale w zwierciadło, w którém się twarz jego odbijała. Ruchy téj twarzy były dla niego zrozumiałemi w najdrobniejszych szczegółach. Jeśli nie chodziło o piękną pannę Sawińską, ten strzał chybiony do niczego nie obowiązywał i pozostawiał mu zupełną swobodę szukania w dalszej rozmowie tego, czego właśnie od niego żądano. Nie omylił się jednak; dostrzegł w oczach prezesa te błyski, które zauważył już dawniej na zaręczynowym balu. Zrozumiał, że trafił odrazu.

— Biedna Marcela! — pochwyił gospodarz domu — cóż się z nią dzieje?

Pan Hyacenty był w stanie dać na to pytanie wyczerpującą odpowiedź. To też przez całe śniadanie, złożone z kilku dań, roztaczał malowniczo, z bogactwem niezmierném szczegółów, nie wiedzieć gdzie pochwytyanych, obraz położenia rodziny Sawińskich, a szczególnie Marceli, która po śmierci ojca, była jej głową.

Prezes był zapewne uwiadomiony o zerwanem małżeństwie, bo nie okazał najmniejszego zdziwienia. Nie oburzał się też na Czercę. Może zbyt dobrze znał ludzi, by się czemu dziwić, nadto rozumiał położenie ludzkie, by się oburzać. Dla niego fakt ten miał wielkie znaczenie; był mu po myśli, słuchał więc, nie wypowiadając zdania żadnego. Przymrużone oczy nie schodziły z pana Hyacentego, chociaż najbystrzejszy badacz nie wyczytałby z jego twarzy tego, czego pokazać nie chciał.

— Ten Czerca mówią, to bardzo zdolny człowiek — rzucił obojętnie, nakładając sobie na talerz zimnego pasztetu.

— Dziś karyera jego zwichnięta; obruszył na siebie opinie, porzucając narzeczoną — mówił Hyacenty pewny, iż trafia do przekonania pryncypała — takie jest zdanie powszechne.

Zatrzymał się nagle, spotkawszy ironiczne wejście, które z za szkieł okularów strzelało ku niemu.

— Tak mówią wszyscy — dodał zmieszany.

— Wszyscy nie zawsze mają słusność — mruknął prezes; ale mniejsza o to. Zdaje mi się, iż Czercza jest początkującym prawnikiem, inaczéj mówiąc adwokatem bez spraw. W takim położeniu trudno się żenić. Ale gdyby tak miał zapewnione przyzwoite utrzymanie...

Pan Hyacenty patrzył w prezesa, jak w tęczę...

— Mówią, że jest bardzo zdolny. Gdybym ja np. powierzył mu swoje interesy... Jak myślisz? Nie taję, iż w takim razie musiałby do narzeczonej powrócić.

— Ależ to byłoby niezawodnie szczęściem dla niego, szczęściem niespodziewaném. Biedna Marcela podobno odchorowała ten zawód.

— Zapewne i śmierć ojca, i zmianę położenia — wtrącił prezes, widocznie tak zainteresowany przedmiotem rozmowy, iż zostawił prawie wszystkie trufle na talerzu.

— Naturalnie — ciągnął dalej pan Hyacenty — jéj położenie byłoby bez wyjścia, gdyby nie zaszła nowa ewentualność...

— Nowa ewentualność?...

Prezes napełniał w téj chwili kieliszki starym Chateau d'Yquem i zatrzymał rękę w powietrzu, zapominając o tém, co robi.

Pan Hyacenty zauważył to dobrze, i jako biegły dyplomata nie odrazu ciekawość jego zaspokoił.

— Może pan prezes zauważył kiedy u Sawińskich Uścickiego, Melchiora Uścickiego?

— Nie.

— Bardzo bogaty człowiek. Otóż ten pan Uścicki podobno oddawna kochał się w Marcei.

— Czemuż u dyabła się nie oświadczył?

— Przyjaciół jęj ojca, stary kawaler...

— Stary! — przerwał prezes, nalewając dalej wino z mimowolnym uśmiechem — stary...

— Ale w obecnęm położeniu, kiedy Czercza Marcełę porzucił, kiedy wierzycciele zajęli wszystkie ruchomości, on stawia swoją kandydaturę.

— A Marcela?

— Cóż pan prezes chce, by robiła? Przyjąć go musi.

— Czyli inaczej, chce mu się sprzedać?

— Prezes wie dobrze, iż rzeczy nie nazywają się w ten sposób; mówi się o poświęceniu, nigdy o sprzedaży.

— To na jedno wychodzi. Otóż, albo się nie znam na ludziach, albo Marcela jest niezdolną do tego, jakakolwiek nazwę dalibyśmy rzeczy.

Hyacenty przeczyć nie śmiał. Miał jednak wprost przeciwne przekonanie. Prezes zadał mu jeszcze kilka pytań o stanie interesów Sawińskich, o dniu sprzedaży ruchomości. Był na nie przygotowany, odpowiadał odrazu.

Sniadanie się skończyło, podano czarną kawę i cygara, prezes zdawał się być zamyślony. Wstał i przeszedł się raz i drugi po pokoju, potem stanął przy kominku i spoglądał w ogień, a na regularne jego rysy padały z dołu odblaski płomienia, rzucając na nie ruchome cienie, z pośród których wynurzały się oczy inteligentne, pełne w tej chwili tłumionych niepokojów.

Hyacenty, siedząc na otomanie, rozmyślał. Co prezes miał na sercu, o tém wiedział dobrze, ale niestety, wiedział tylko ogólnie, a nie był w stanie odgadnąć kombinacyi, jakie tworzyły się w tej głowie bo niestety głowa ta przechodziła o wiele jego miarę.

— Gdybym znał dobrze tego Czerczę — odezwał się wreszcie prezes, przez pół do siebie, przez pół do Hyacentego.

Nie chciał go badać; wiedział z góry, że się to na niewiele przyda, a jednak pragnął zasięgnąć informacji.

— Cóż pan prezes chce o nim wiedzieć?

— Co ja chcę wiedzieć? — odparł zagadniony, podnosząc oczy, pełne tyłu sprzecznych uczuć, że niepodobna było odczytać właściwego ich wyrazu. Uśmiechał się swym uśmiechem satyra, w którym jednak był odcień prawdziwego smutku.

— Wszystko przecież wiedzieć można — wyrzekł pewien siebie Hyacenty.

— Wszystko? — spytał szyderczo prezes.

— Nie?

— Tak, oprócz tych rzeczy, które leżą po za własną świadomością. Zdarza się, że człowiek sam nie wie, jakby w danym razie postąpił.

— Pan prezes mówił nieraz, iż od cyfr wiadomych do niewiadomych zawsze dojść można.

— Czy ja mówiłem: zawsze? W takim razie byłem zarozumiały. Nie o to przecież teraz idzie. Z Czerczą chciałbym się zobaczyć o ile można najprędzej.

— Nic łatwiejszego; pójdę i sprowadzę go do pana prezesa, choćby zaraz.

Gospodarz domu przytakiwał milczeniem, a gdy Hyacenty wychodził pośpiesznie, rzekł tylko:

— A pamiętaj pan, że nie jestem wcale uwiadomiony o tém, czy zaszły, lub nie zaszły jakie zmiany w jego stosunkach z Sawińskimi; ja nawet mogę nie wiedzieć, że są zrujnowani.

W pół godziny Czercza z Hyacentem wchodzili do gabinetu prezesa, który siedział teraz w fotelu przed kominkiem, przeglądając jakieś papiery, zapewne tylko, ażeby dać sobie pozór zajęcia. Tak przynajmniej sądził pan Hyacenty, który rzuciwszy na nie wprawném okiem i przedstawwszy swego towarzysza, ulotnił się natychmiast. Jakim sposobem tak szybko spełnił dane sobie zlecenie, to już należało do tych specjalnych zdolności, które, czyniąc go

w niektórych razach niezbędnym, zapewniały mu stanowisko.

Skoro prezes i Czercza zostali sami, po pierwszym powitaniu zmierzyli się wzajem bacznie okiem. Każdy z nich miał przed sobą cyfrę niewiadomą, jaką była dla niego osobistość drugiego i starał się ją z góry odgadnąć; każdy chciał zbadać przeciwnika, sam pozostając niezbadanym. Prezes wiedział, a Czercza czuł, że rozmowa pomiędzy nimi będzie ważną i stanowczą, iż zrobi ona z nich sprzymierzeńców, albo wrogów.

— Pan prezes chciał się ze mną widzieć? — wyrzekł Czercza, zamykając się szczerlnie w urzędowej etykiecie.

— Tak, miałem niektóre interesa i rachunki z Sawińskim, chciałbym załatwić je przez pana.

Czercza chciał zaprotestować, powiedzieć, iż węzły łączące go z tą rodziną, zerwane zostały, ale prezes i nie dał mu przyjść dosłowa.

— Wiem, wiem — dodał pospiesznie — chcesz mi pan przedstawić, iż właściwiej uczynię, udając się do jego syna, ale interes mój tyczy się wszystkich spadkobierców; zresztą jest to rzecz bardzo prosta. Z rachunków, jakie miałem z nieodżałowanym nieboszczykiem, zostałem mu winien około dwunastu tysięcy rubli.

Jakby dla lepszego upozorowania tych słów, zaczął przeglądać podręczny notatnik.

— Tak jest: suma ta wynosi jedenaście tysięcy sześćset dwadzieścia rubli.

— Panie prezesie, ja sam przeglądałem papiery i rachunki zmarłego—nie znalazłem nigdzie śladu tej wierzytelności.

— To dziwne! ale rozumie pan, iż dla mnie fakt to zupełnie obojętny. Jest to nawet poniekąd zbieg okoliczności szczęśliwy. Wiem, iż w podobnych razach najzamożniejsze nawet rodziny są chwilowo w przykrém położeniu, skoro więc w papierach Sawińskiego nie ma śladu tego długu, możemy więc tu unikać wszelkich formalności. Dzieci są przecież jego jedynymi spadkobiercami. Przygotowałem tu nawet pieniądze, weź je pan.

I jakby nie zważając na milczenie młodego prawnika, mówił dalej:

— Skorzystam i ja z tej sposobności, ażeby uczynić panu propozycję, o której mówiliśmy z biednym Sawińskim. Mam niektóre ważne sprawy. Chciałbym je powierzyć komuś... komuś zdolnemu, jak pan. Rękojmię stanowi dla mnie szacunek i przyjaźń zmarłego. Nie będę się wahał oddać tych spraw panu, któremu on oddawał najukochańsze dziecię. Zresztą, tym sposobem zachowam z jego rodziną stosunki, jakie mnie łączyły z nim samym. Miejsce, jakie

panu przeznaczam, wymagałoby jednak natychmiastowego oddalenia się z Warszawy i to na długo. Nie wiem, czybyś się pan na to zgodził?

— Kładł szczególny nacisk na niektóre wyrazy.

W obecném położeniu Czerczy, propozycya prezesa była niespodziewaną łaską losu, a nawet, kto wie, przy zmienionych okolicznościach, mógł jeszcze ożenić się z Marcelą. Jednak było coś w tonie i osobie prezesa, co działało na niego odpychająco, budziło nieufność.

— Wyjechać z Warszawy mogę każdej chwili — odparł wreszcie oględnie — nie wiąże mnie tu nic, nawet małżeństwo moje jest zachwiane.

— Zachwiane? — zawołał prezes — czy pozwoli mi pan zapytać z jakiego powodu?

— Są to moje osobiste sprawy, wszakże niema tu tajemnicy: jesteśmy dzisiaj oboje zbyt ubodzy, ażeby tworzyć rodzinę.

Wypowiedział to z otwartością, która mogła mieć rozmaite powody. Prezes, mający ciągle do czynienia z ludźmi, przywykły był liczyć się raczej z nikczemnymi niż szlachetnymi pobudkami.

— Zbyt ubodzy — powtórzył — jest to powód, który ja mógłbym usunąć... gdyby...

— Gdyby? — powtórzył młody człowiek, oczekując na wyraźniejsze słowo.

— Gdybyśmy się porozumieli mogli...

Chwila wahania była wyraźna; Czercza to zrozumiał, podejrzliwość jego wzrosła. Ludzie nie mają zwyczaju wahać się przed uczynieniem uczciwej propozycji. Zaczynał lękać się własnych domysłów, do których upoważniały go dotychczas przeczucia tylko; krew jego wrzała, rumieniec występował mu na twarz. Były rzeczy, których nie chciał usłyszeć, czuł, że był w stanie zmiażdżyć w rękę człowieka, któryby miał śmiałość je wypowiedzieć. Podniósł głowę gwałtownym ruchem i, patrząc wprost w oczy prezesa, wyrzekł:

— Słucham.

Spojrzenia ich krzyżowały się jak dwa ostrza stali; mierzyli się nimi przez chwilę, aż dopóki nie przeniknęli się wzajemnie. Prezes badał, czy ten wybuch dumy nie był wprost podniesieniem ceny ustępstwa. Tego rodzaju wybuchów było bardzo wiele; trwały one niemal zawsze do wysokości pewnej cyfry, która uciszała buntujące się sumienia. Ale w spojrzeniu młodego prawnika nie dostrzegł nic, coby go upoważniło do rzucenia jakiegobądź cyfry na szalę. Przeciwnie; tkwiła w niem jakaś dumna oporność.

Pod umiarkowanym chłodem tych słów drgała namiętna burza.

— Słucham — powtórzył, widząc wahanie się prezesa — przecież nie może w nich być nic ubliżającego.

Przez ten czas gospodarz domu odzyskał zachwianą na chwilę pewność siebie.

— Zdaje mi się — odparł — iż w tej chwili brak mi jeszcze niektórych niezbędnych informacji. Pomówimy o tym za dni parę, skoro sobie tylko pan będziesz tego życzył.

Kładł znowu nacisk na słowa, nadając im specjalne znaczenie. Widocznie zostawiał młodemu człowiekowi czas do namysłu, do uspokojenia buntujących się uczuć, i w tym celu otwierał mu furtkę powrotu. Nie dowierzał może własnym oczom. Weź pan te pieniądze — dodał przysuwając mu je.

Samo ich dotknięcie paliło rękę Ryszarda.

— Nie mam do nich żadnego prawa w obecnych stosunkach — wyrzekł.

— Ależ te pieniądze są czystą należnością, którą chciałbym spłacić.

— Więc niech pan odda je dzieciom zmarłego, lub też złoży na korzyść masy; ja do nich mieszać się nie mogę i nie chcę.

Skłonił się ze słuszną dumą człowieka, który poniżyć się nie da za żadną cenę i wyszedł.

Prezes pozostał sam. Czas jakiś wpatrywał się w węgle kominka dogasające, przysypane popiołem i zdawał się namyślać głęboko. Potem włożył do teki pieniądze, tak dumnie odrzucone przez Czerczę.

— Ha — szepnął — są i tacy!

Może nie pierwszy raz spotykał człowieka, którego kupić nie zdołał, ale zawsze był to rezultat dla niego ujemny. Zawiodła go dyplomacya i zwykła znajomość ludzi. Doznał porażki i powrócił do swego gabinetu tak ponury, iż ci, którzy znali go dobrze, unikali jakiegobądź interesu.

Prezes nie należał do ludzi, którzy w zwykły sposób swój zły humor spędzają na podwładnych, ale gdy był rozdrażniony, miał pewne charakterystyczne przycięcie ust, z których niekiedy wydobywało się lekkie plaśnięcie i pewien złowrogi błysk w oczach, które mroziły krew w żyłach interesantom. W takich chwilach najniewinniejsze żądanie i najśluszniejsza prośba doznawały nieubłaganej odmowy. Prezes zwykle łaskawy, nawet czasem wspaniałomyślny, stawał się twardym, jak kamień; z ust jego niechętnie wychodziły słowa, a syczące „nie” było jedynym wyrazem, jaki można było z niego wydobyć.

W takich razach, a na szczęście zdarzały się one rzadko, prezes zamykał się u siebie, nie przychodził nawet na obiad pod pozorem migreny, zajęcia, niecierpiącego zwłoki, lub nagłego wyjazdu. Domownicy wiedzieli, co to znaczyło i unikali nawet tej części domu, w której znajdowały się apartamenta i biura samego pana. Jeden kamerdyner Hilary, przywiązany do niego obowiązkami służby, chodził na palcach i oczekiwał w przedpokoju, uważny na

najlżejsze skinienie, a strzegł drzwi jego lepiej, niż Cerber strzegł wejścia do piekieł. Tak było i dnia tego po rozmowie z Czerczą, tak było i dnia następnego. Hilary, który znał swego pana wybornie, służąc mu lat kilkanaście, robił w duchu uwagę, iż nie pamiętał tak groźnej burzy—gdy nagle wezwany gwałtownym głosem dzwonka, pobiegł, drżąc, do jego gabinetu. Prezes siedział przed biurkiem, zajęty rachowaniem banknotów.

— Chodź tu — wyrzekł krótko, nie patrząc na wchodzącego.

Hilary zbliżył się o ile mógł najciszej. Wiedział, iż w podobnych chwilach pan jego miał nerwy szczególniej wrażliwe.

— Pójdiesz — mówił prezes — do panny Sawińskiej, oddasz jej list i pieniądze, które tu załączam. Przerachuj! Masz tu rs. 11,620, będziesz żądał pokwitowania; jeśli ci go nie dadzą, nie będziesz nalegał. Kobiety najczęściej nie mają o porządkach kasowych najmniejszego pojęcia.

Hilary wstrzymywał oddech. Nieraz już nosił pieniądze pod rozmaitemi adresami; suma jednak nigdy nie była tak wielką i nigdy nie miał żądać za nią pokwitowania.

— Rozumiesz? — spytał prezes.

— Rozumiem — odparł bez zająknięcia, chociaż nie rozumiał ani słowa.

— Oddasz pieniądze i list do rąk własnych pan-

ny Marcelli. Niema tu tajemnicy, ale należy wybrać chwilę, gdy będzie sama lub tylko z siostrą.

— Rozumiem — odważył się odezwać tonem porozumienia z przebiegłym uśmiechem Hilary, któremu te ostatnie słowa nasunęły cały szereg domysłów.

— Nie nie rozumiesz — odparł ostro prezes — i wcale nie potrzeba, ażebyś rozumiał coś więcej nad to, co masz spełnić. Idź zaraz. O tej godzinie panny Sawińskie prawdopodobnie będą same, ale urządz się tak, żebyś był tego pewny i dwa razy chodzić nie potrzebował. Nadewszystko pamiętaj, że tu niema żadnej tajemnicy. Powróciwszy, przyjdiesz tu zaraz i powiesz mi ze szczegółami, jakieś się sprawił. Zapowiedz Janowi, że nie ma mnie w domu dla nikogo bez wyjątku. Nie potrzebuję ci mówić, by nikt w domu nie wiedział, gdzie cię posyłam i z czem.

Przesyłka nie miała być „tajemnicą”, jednak i tu i u Sawińskich, miały o niej wiedzieć jedynie osoby interesowane. Hilary nie był obowiązany rozumieć jej ze wszystkiém; to, co zaś wiedział, miało wystarczyć tylko do jej spełnienia. Wyszedł więc natychmiast.

Tymczasem u Sawińskich odbywała się jedna ze zwykłych scen, towarzyszących ruinie—scena, pogrążająca Marcele w rozpacz. Przyszedł znów inkasent upominać się o zapłatę rachunku z magazynu.

Człowiek ten, pomimo zapewnień, że niema sposobu zaspokojenia tego długu, dopóki nie uregulują się interesa, nie ustawał w swęj natarczywości, zapewne w mniemaniu, że Sawińscy mają ukryte pieniądze, które tą moralną torturą wydostanie. Ponawiał on niemal codzień swoje wizyty. Jeśli mu nie otwierano, dzwonił, aż do zepsucia dzwonka; jeśli i to nie pomogło, czekał, upatrywał chwilę stosowną, wślizgiwał się drzwiami kuchennymi i zjawiał się przed Marcelą, coraz bardziej impertynencki.

Na jego widok dumna panna zbladła. Rachunek obejmował tylko rzeczy, brane po Nowym roku, wynosił jednak blisko ośmset rubli. Suknia Jadwini, od której ta się wypraszała, którą uważała za niepotrzebną, zajmowała w nim pozycję stu pięćdziesięciu rubli. Droższą jeszcze była suknia Marceli, a żałoba i niezbędne, jak uważała do niej przybory, dopełniały sumy ogromnej na dzisiejsze położenie.

— Jakże to będzie z tym rachunkiem? — zapytał szorstko inkasent, pokazując go znowu Marceli z rodzajem wyzwania.

— Mówiłam już panu...

— Co tu mówić! — przerwał — tu płacić potrzeba. Kazano mi nie ustąpić, dopóki nie odbiorę pieniędzy.

— Gdybym mogła, nie potrzebowałbyś pan dwa razy przychodzić.

— Tak każdy mówi. Cóż to pani sobie myśli, że my darmo mamy lokal, panny, materyał...

— Ależ ja nie mam! — zawołała.

Na twarz jej wystąpiły płomienne rumieńce. Łzy rozpaczy i upokorzenia cisnęły się do oczów, a ona wstrzymywała je gwałtem.

— Nam nic do tego. To trzeba było sukien nie brać. Ja nie ustąpię.

— Jak pan śmiesz tak mówić — wzięła się energiczna Jadwinia. — Ubierałyśmy się u was i płaciłyśmy rachunki regularnie od lat kilku.

— Ja tam nie wiem — próbował jeszcze podnieść głos inkasent.

— I pan i pana pryncypał wiecie o tém doskonale. Nikt przecież nie mógł przewidzieć nieszczęścia, jakie nas spotkało, jak pan nie przewidzi tego, co go jutro spotkać może. Patrzyła na niego z takim oburzeniem, iż spuścił wzrok, może odczuwając groźbę w tych ostatnich słowach.

— Pan nie jesteś jedynym wierzycielem — dodała — wszyscy zapłaceni być muszą. Ale dziś, choćbyś pan czekał dzień cały, nikt nie potrafi dać tego, czego nie ma!

Inkasent mruknął coś jeszcze, ale Jadwinia wskazała mu drzwi tak wymownym ruchem, iż wyszedł wreszcie.

Siostry przez chwilę milczały jeszcze, nasłuchując za oddalającymi się krokami. Potem zbliżyły

się instynktownie ku sobie i przytuliły się jedna do drugiej. Marcela płakała, Jadwinia, wyczerpana wybuchem energii, miała łzy w oczach.

— Biedneśmy! — wyrzekła starsza.

— Biedne! biedne! biedne! — powtórzyła młodsza.

— I mamy to znosić ciągle — zawołała Marcela. — Już lepiej być żoną pana Melchiora.

— Nie, jabym za niego nie poszła nigdy — za protestowała Jadwinia.

— Dziecko jesteś!

— To być nie może, by nie było przed nami innej drogi.

Marcela westchnęła z głębi piersi i spojrzała na siostrę zboląłemi oczyma istoty, poddającej się okropnej konieczności.

— Na twojem miejscu ja... — pochwyciła Jadwinia.

W tej chwili mowę jej przerwało lekkie poruszenie przedpokojowego dzwonka. Umilkła nagle i obie z Marcelą stały chwilę, przerażone, oniemiałe. Nie było kogo posłać, aby zobaczył, kto dzwoni. Czyżby to inkasent powracał?

Dzwonek odezwał się znowu, ale cicho, dyskretnie. Pomimo to Marcela pochwyciła siostrę za rękę.

— Nie otwieraj! — szepnęła błagalnie.

— Po długiiej przerwie zadzwoniono znowu, ale bez niecierpliwości, jakby osoba dzwoniąca chciała zaznaczyć, iż nie ma praw żadnych, a tylko doprasza się o otworzenie drzwi.

— Może to pan Melchior?—zauważyła Marcela.

— Tém lepiej — ozwała się Jadwinia.

— Nie, to nie jest wierzyciel: wierzyciel inaczej dzwoni.

— Zobaczę — odparła wreszcie młodsza siostra.

Otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą nieznanego człowieka, który z powagą, właściwą służbie wielkich domów, skłonił się i zapytał, czy może się zobaczyć z panną Sawińską, gdyż ma jój wręczyć list z pieniędzmi od pana prezesa Olbrowicza.

List z pieniędzmi! była to rzecz niesłychana. Jadwinia zdumiona wprowadziła go do pokoju, w którym znajdowała się siostra. Usłyszała ona słowa Hilarego, a gdy ten zatrzymał się z uszanowaniem przy drzwiach, spytała drżącym głosem.

— List z pieniędzmi do mnie?

Hilary znał ją z widzenia, skłonił się przed nią tak nisko, jak to czyniono za życia ojca i podał list z wyraźnym wahaniem—bo przecież list powinien być podany na tacy.

Marcela pochwyciła go ciekawa, niecierpliwa, nie zdolna pohamować się nawet w obecności obcego człowieka. Rozerwała kopertę i czytała. Hilary tymczasem, według odebranego zlecenia, badał pokój, w którym się znajdowała Marcela, wyraz jój twarzy i najdrobniejsze szczegóły otoczenia, okiem człowieka, przed którym nie nie uchodzi.

List prezesa krótki, urzędowy, ale pełen szacunku i współczucia, brzmiał, jak następuje:

„Z różnych interesów i rachunków, jakie miałem z nieodżałowanym ojcem pani, pozostałem mu dłużny sumę 11,620 rs. Czekałem dotąd, czy spadkobiercy się po jej odbiór nie zgłoszą. Byłem sam, chcąc wyrazić moje głębokie współczucie, ale drzwi pani były szczelnie zamknięte. Odsyłając należną sumę, łączę wyrazy najwyższego poważania

Eustachy Olbrowicz.”

Marcela przebiegła list oczyma i spojrzała ze zdumieniem na posłańca, który teraz wydobył z kieszeni pugilares, porzucił swój posterunek przy drzwiach i, zbliżywszy się do zakurzonego stołu, zaczął liczyć i układać na nim paczki storublowych banknotów. Jadwinia więcéj jeszcze zdumiona, spoglądała na tę czynność, którą kamerdyner prezesa wykonywał z niezmierną precyzją.

— Jedenaście tysięcy sześćset dwadzieścia — rachował Hilary, dodając do całych paczek sześć tęczowych papierków i cztery pięciorublówki.

Marcela pierwszy raz w życiu odbierała pieniądze; dotąd dostawała je od ojca, lub wprost czerpała z jego biurka.

— Czy mam czekać na pokwitowanie? — zapy-

tał z ukłonem Hilary, pamiętny na instrukcye swego pana.

— Pokwitowanie? — powtórzyła z niejakiem zaniepokojeniem. — Ah! naturalnie, pokwitować trzeba.

Szukała papieru i pióra, których na razie znaleźć nie mogła. Potem nie miała pojęcia, jaką formę nadać tej najprostszej czynności. Znalazła nareszcie ćwiartkę papieru z kolorową winietą, przedstawiającą złote rybki, i w braku innego, napisała na nim swym eleganckim angielskim charakterem te proste wyrazy:

„Odebrałam rs. 11,620.”

Podpisała się, zapominając położyć daty, i oddała papier wraz z pięciorublówką Hilaremu, który nie myślał protestować tej nieformalności; włożył pokwitowanie do pugilaesu, skłonił się głęboko i wyszedł.

Siostry mogły pomyśleć, że nawiedził je sen błogi, gdyby nie te paczki banknotów, zalegające stół cały. I nagle, jakby od tych tęczówek bił blask magiczny, rozjaśniła się odrazu ponura atmosfera pokoju. Łzy Marceli oschły, spokój rozlał się na obliczu, źrenice straciły swój bolejący wyraz.

— Wiész! — zawołała — to tak, jak w bajkach.

Spoglądała na tęczówki, wszystkie świeże, jakby z pod stempla, lubowała się ich szelestem. Odbywała się w niej nagle metamorfoza dziwna, odzyskiwała energię i siłę, stawała się znowu sobą, jak-

by wraz z temi pieniędzmi wstępował w nią duch dawny.

— Spłacimy wszystkie długi ojca — mówiła, przyglądając się otaczającym ją sprzętom, jak drogiej własności, odzyskanęj nagle.

— Będę mogła uczyć się, czego będę chciała — zawołała Jadwinia.

Marcela spojrzała na nią z roztargnieniem.

— I czegoż się ty chcesz uczyć?

— Alboż ja wiem! Czegoś, coby mi dało możliwość zarobienia na swoje utrzymanie, bo ja... ja nie poszłabym nigdy za męża bez miłości.

Marcela milczała zamyślona, z czołem, pochyłonym ku ziemi; snadź ważyła w myśli nowe nadzieje, czy nowe zamiary.

— Tylko nie wiem — wyrzekła z pewnym wahaniem Jadwinia — jak długo moglibyśmy żyć z podobnej sumy?

Siostra miała słusność. Marcela dotąd więcej wydawała rocznie, a tu przecież trzeba było naprzód spłacić długi, których cyfry nigdy spamiętać nie mogła, bo co prawda, do cyfr miała zawsze wstręt arystokratyczny.

— Być może — zauważyła naiwnie — iż odbierzemy więcej takich sum, ojcu należnych.

Teraz wszystko zdawało się możliwe; a przy nieświadomości interesów, w jakiej była wychowaną, nie przyszło jej na myśl, iż papiery ojca musiały

wykazać zarówno to, co mu się należało od innych, jak jego własne należności.

Stanisław wracając z biura, zastał siostry nad stosami banknotów, o których schowaniu nie pomyślały wcale. Staął, jak wryty; źrenice jego zapaliły się, rumieniec wystąpił na twarz; zrobił ruch, jakby chciał zagarnąć ten skarb niespodziany, i wstrzymał się siłą woli.

— A to zkąd? — zapytał głosem zdławionym.

— Prezes odesłał jakiś dług, zaciągnięty u ojca.

— Prezes? Jaki prezes?

— Olbrowicz.

Stanisław wiedział dobrze, iż w papierach ojca nie było śladu podobnego długu, ale wiadomość tę zachował dla siebie.

— Czy ty się nie mylisz? — spytał znów po chwili.

Wzruszyła ramionami z uśmiechem, jak to czyniła dawniej, gdy była pewną czego.

— Jakże to było? kto przyniósł? kiedy? — badał dalej Stanisław.

Marcela podała mu list odebrany. Stanisław pochwycił go ruchem gorączkowym i jednym rzutem oka przeczytał wszystko, nawet adres na kopercie.

— Dlaczegoż pieniądze te odesłał tobie, nie mnie? — zapytał.

— Prawda! — zawołała, uderzona tą uwagą.

— I nie żądano pokwitowania? — ciągnął dalej swoje badanie.

— Owszem — odparła z odcieniem uspokojenia — dałam je.

— Ależ takie pokwitowanie nie nie znaczy. Suma, stanowiąca spadek po ojcu, należy do nas wszystkich.

— Przecież to wszystko jedno: użyjemy jej dla dobra nas wszystkich.

Nie miała pojęcia o żadnych formach prawnych, chociaż była córką prawnika; nie cierpiała zawsze tych suchych, nudnych form kodeksowych.

Stanisław nie uważał za stosowne w tej chwili wtajemniczać ją w nie, ani tłumaczyć, dlaczego jej prywatne pokwitowanie znaczyło coś jedynie wobec osoby, wręczającej pieniądze, jeżeli prezes nie był jej zupełnie pewny. Prezesa zaś nie mógł podejrzewać o elementarną niezajomość prawa. Było w tej całej sprawie coś niejasnego, a nawet więcej, coś podejrzanego. Mogło to ujść uwagi niedoświadczonych dziewcząt, ale on—on powinien był wiedzieć, co to znaczy. Przechadzał się po pokoju zamyślony, przyglądając się banknotom, które na niego wywierały wpływ magiczny. Czyżby prawdą było, co mu się przelotnie obilo o uszy w czasie balu, że prezes zachwyił się Marcelą? Miał on żonę, to prawda, ale żona ta znaczyła tak mało w jego życiu, a dla ludzi bogatych rozwód jest rzeczą łatwą... Otwierały się przed nim nowe perspektywy. Mogła to być jednak tylko fantazja bogacza, chcącego delikatnie przyjść

w pomoc rodzinie człowieka, z którym był w blizkich stosunkach. Z prezesem i to było możliwe: sływał ze wspaniałomyślności. Potrzeba mu było wiedzieć, co sądziła o tém Marcela.

— O czém myślisz? — spytała go siostra. — Trzeba będzie zaraz spłacić, co się komu należy, uwolnić rzeczy z pod zajęcia.

— Trzeba będzie także ograniczyć bardzo wydatki, zreformować dom, zmniejszyć mieszkanie. Bo z téj sumy zostanie się nam niewiele.

— Tak? — westchnęła, zachmurzona nagle tą koniecznością.

-- Chyba, że małżeństwo twoje z Melchiorem nastąpi niedługo.

W téj chwili zapomniała zupełnie o starym kawalerze.

— Oh! — zawołała — teraz położenie nasze się zmieniło. Pozwól mi odetchnąć i nie myśleć o nim.

Brat spojrział na nią podejrzliwie. Suma ta przyносиła im ulgę, ale nie zmieniła z gruntu położenia. Czyżby wiedziała coś więcej i przed nim ukrywała... Próbował ją wybadać ostrożnie, bez obudzenia nieufności.

— To dziwne — wyrzekł, patrząc jęj wprost w oczy — iż w papierach ojca nie było wzmianki żadnej o téj sumie.

Nie zafrasowało jęj to wcale.

— Prezes musiał ją mieć zapisaną, lub pamiętał o niej. Czyż to nie na jedno wychodzi?

— Postąpił bardzo szlachetnie — rzucił po chwili. Wzruszyła ramionami.

— To rzecz tak prosta... — wyrzekła ze wspa-
niałem lekceważeniem — zrobiłby to każdy.

— Ostatecznie, czy nie domyślasz się — zawo-
łał zniecierpliwiony — dlaczego tobie, która się do
interesów nie mieszasz, odesłał pieniądze?

Zamyśliła się i nagle rumieńce wystąpiły jęj na
twarz. Stanisław sądził, iż podejrzania ich się zbie-
gły; ale słowa jęj wyprowadziły go z błędu.

— Ah! — szepnęła z boleścią — pewno ktoś ob-
mówił cię przed nim.

— Jakto! — zawołał — ty myślisz, że nie chciał
zawierzyć mi tęg sumy?

— Inaczej, dlaczegożby mnie ją odsyłał?...

Więc to było podejrzenie jedyne, jakie jęj się na-
sunęło? Patrzała na niego przezrystym wzrokiem
tak pełnym szczerości, iż musiał uwierzyć temu.
Wobec nieokreślonego położenia należało postępo-
wać bardzo oględnie.

— Marcelo! — wyrzekł, biorąc jęj ręce w swo-
je — nie ufaj temu niespodzianemu uśmiechowi losu,
nie zrażaj pana Melchiora.

Rzuciła mu się na piersi, jakby w jego ramio-
nach szukała obrony przed ohydną przyszłością.

— Oh! — szepnęła — wiem, że mi nie innego

nie pozostaje; trzeba mi przyzwyczać się do téj myśli. Ale dziś—teraz, tak nagle, ja nie mogę... nie mogę... nie mogę!

Powtarzała te słowa wśród łez, które napęłniły jęj oczy. A potem szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Gdybym nie widziała go przynajmniej przez dni kilka! Idź do niego... powiedz mu... powiedz, co chcesz, tylko niech nie przychodzi.

Stanisław pomyślał, iż był to rzeczywiście najrozsądniejszy projekt. Przez dni kilka położenie powinno się wyjaśnić o tyle, by można się łatwiej pokierować. Czułostkowość kobieca miała widać dobrą stronę. Marcela była teraz dla niego istotą drogocenną, jak karta atutowa dla gracza, albo koń wyścigowy dla sportsmena; za jęj sprawą mógł jeszcze wygrać los wielki.

Wypadało mu spełnić jęj wolę. Udał się więc do pana Melchiora z trudną rolą powstrzymania jego odwiedzin bez ostudzenia zapału. Na jednej z odleglejszych ulic Warszawy, stary kawaler zajmował we własnym domu willę z ogrodem i cieplarnią. Miał namiętność do kwiatów, i bukiety, jakimi obdarzał niekiedy piękne panie, wyhodowane były u niego. Dlatego-to może obdarzał nimi rzadko, w dowód szczególnej łaski.

Gdy Stanisław zadzwonił do oszklonego ganku willi, służący przyszedł natychmiast otworzyć; a po-

nieważ pan był w domu, zameldował gościa i zaprowadził go przez obszerny salon do jego gabinetu. Stanisław był tu po raz pierwszy i rozglądał się wokoło z ciekawością, jaką nawet w jego apatycznej naturze budził człowiek, mający prawdopodobnie zostać jego szwagrem. Salon miał wszystkie cechy zwykłe salonu zamożnego kawalera: meble kosztowne, jakby prosto przyniesione od tapicera, przegłądały się w posadzce wywoskowanej jak zwierciadło, gdzieniegdzie pokrytj tureckimi dywanami. Fotele i krzesła stały równo w szeregu, jak żołnierze przed frontem. Nigdzie plamki, nigdzie pyłku, nigdzie nieporządku żadnego, ale téż i nigdzie tego, co znamienuje życie. Na ścianach wisiały lustra pomiędzy świecznikami—i nie więcej; żaden obraz, żadna rzeźba, a choćby tylko sztych lub oleodruk, nie przerywały symetrycznego szeregu złocistych bukieców, rzucanych na białe tło tapet, ujętych w ciemne aksamitne ramy, odpowiadające kolorem pokryciu mebli. Panowała tu cisza i spokój grobowy. Nigdzie żadnego przedmiotu sztuki, nigdzie żadnego z tych bronzów, alabastrów, w których kocha się dzisiejsze pokolenie, a które moda narzuca. Książki nawet ani gazety nie nadawały pozoru zamieszkania temu salonowi wiecznie chłodnemu, pomimo iż dwa porcelanowe piece ogrzane były starannie.

Gabinet pana Melchiora różnił się od salonu tém,

iż zamiast jedwabną tkaniną, meble kryte były skórą, a ciemne tapety zastępowały białe ze złotem. Zresztą tu także panował ten sam zimny, pedantyczny porządek. Biurko wyglądało tak, jakby na niem nikt nigdy nie pisał, kałamarz nie miał plamki atramentu, dobór świeżych piór sterczał z piórnika, a wszystkie przybory świeciły się, jakby świeżo przyniesione ze sklepu.

Pan Melchior czytał właśnie *Kurjera Warszawskiego*, przeczytawszy zaś, składał natychmiast do szuflady na ten cel przeznaczonej. To też nie zdarzyło się nigdy, by który numer zaginął, a komplety z lat wielu, porządnie ułożone i związane, stanowiły niemal jedynych lokatorów bibliotecznej szafy, której nędzę przysłaniały dyskretnie ciemne po za szymbami firanki. Stary kawaler nie kupował książek, chyba, że mu gwałtem wciśnięto na nie prenumeratę. Taką książkę lub wygrany na loteryi fant zabierał zaraz z sobą, choćby najmniejszej dla niego nie miały wartości.

Nie lubił w ogóle, żeby się co marnowało. Nie można było nazwać go skąpym, tylko miał przywyknienia ubogiego człowieka, o których pomimo majątku zapomnieć nie mógł; majątek ten przyszedł mu niespodzianie: nie zarobił go sam i nie lubił go pokazywać jak dorobkowiec, pyszniący się nim nieraz, jako dowodem własnych zdolności, pracy lub sprytu.

Na widok Stanisława, gospodarz domu powstał szybko i nawet nie złożył *Kurjera* na właściwem miejscu. Nowoprzybyły nie był w stanie ocenić ważności tego faktu, zrozumiał jednak łatwo, że był pożądanym gościem.

Idąc tu, kłopotał się myślą, jak spełnić żądanie siostry, czém upozorować swą wizytę. To zadanie ułatwił mu pan Melchior, mówiąc odrazu:

— Spodziewałem się ciebie, kochany panie Stanisławie; zdaje mi się, iż należy nam pomówić o interesach.

Młody człowiek spojrział na gospodarza domu, usiłując go zbadać swym przygasłym wzrokiem. I znów pan Melchior ułatwił mu zadanie.

— Nie myślisz pan przecież — wyrzekł z żywością — bym pozwolił zlicytować wasze ruchomości. Pańska siostra przywiązana jest do rzeczy, wśród których wzrastała, a jak pan wiesz zapewne, ja... ja ją kocham.

Powiedział to z wielką prostotą, przyznając się do tej spóźnionej miłości. Prosił niegdyś urzędowo ojca Marceli o jej rękę; miał więc prawo sądzić, iż rzecz ta przyszła pod obrady rodziny.

Stanisław nie okazał żadnego zdziwienia. Pod tym względem przynajmniej położenie było jasne.

— Wiem, wiem — odparł, ściskając z zapalem ręce starego kawalera. — Moja siostra...

Wyrzekł te ostatnie słowa z ubolewaniem; w ten

sposób zapewniał bez słów starego kawalera, że jest jego sprzymierzeńcem.

— Przed Czerczą cofnąć się musiałem — mówił dalej pan Melchior — ale dziś...

— Moja siostra — zaczął znów Stanisław.

— Rozumiem — przerwał stary kawaler, który w tym razie okazał się bardzo domyślnym, — Widziałem ją. Mówić jej teraz o małżeństwie niepodobna. Niech wprzód przeboleje, zapomni, odżyje, pozna prawdziwe przywiązanie...

Umilkł. Był widocznie wzruszony.

— Interesa — dodał po chwili — zwłoki nie cierpią... Jakaż wam suma potrzebna?

Stanisław znalazł się w dziwnym położeniu. Trudno mu było opowiadać staremu kawalerowi o tem, co zaszło. Lękał się obudzić podejrzenia. Gdy tu szedł, nie myślał go wyzyskiwać; kiedy jednak ten ofiarował mu sam swą pomoc — czyż nie mógł z tego skorzystać? Jak każdy prawie syn bogatych rodziców, nie potrzebujący się rachować, Stanisław miał pełno bieżących rachunków, małych długów i zobowiązań, które dziś straszliwie obarczały jego budżet.

Ostatecznie o cóż szło? Jeśli Melchior ożeni się Marcelą, to nie będzie wiedział, kto zapłacił długi Sawińskich. Jeśli się zaś nie ożeni... w takim razie... Tu otwierały się Stanisławowi rozmaite widoki, a w każdym razie spłacenie Melchiora nie mogło być rzeczą trudną...

— Jakaż wam suma potrzebna? — powtórzył pan Melchior, nie odbierając odrazu odpowiedzi na swoją propozycję.

Stanisław zdecydował się szybko.

— Panie! — zawołał — ojciec mój słusznie nazywał się najzaciejszym z ludzi. Przecież ja nie wiem, czym powinien... Marcela... nie wiem czyby przyjęła.

— Panna Marcela? — powtórzył nieco smutnie stary kawaler — albowiem ona ma pojęcie o interesach! Będzie to sprawa między nami dwoma.

Te słowa usunęły ostatnie skrupuły Stanisława; podniósł głowę — był zdecydowany.

— Wieleż potrzeba? — powtórzył jeszcze pan Melchior.

Jak każdy człowiek oszczędny, który postanowił wydać znaczną sumę, wołał uskutecznić to odrazu, jak gdyby szło o przebycie przykrój operacji.

— Trzy tysiące w banku handlowym, dwa we wzajemnym kredycie, tysiąc w kasie przemysłowców, a niektóre drobne należności, to znowu tysiąc.

Pan Melchior był przygotowany na trochę mniej. Nie okazał tego jednak. Napisał czek na siedem tysięcy rubli i wręczył go Stanisławowi.

— Idź pan — rzekł — i powiedz Marceli... panie Marceli, poprawił się, widząc spojrzenie jej brata — niech się nie troszczy o przyszłość; niech wie, że jest ktoś, co radby przeczuć jej myśli, usunąć przed nią

powód zmartwienia, co pragnie tylko jęj szczęścia. Powiedz jęj to...

Mówił to z prawdziwém uczuciem, ale Stanisław przerwał mu ze śmiechem.

— W takim razie, nie będzie to sprawa między nami tylko...

— Masz pan słuszość; najlepiej nie mów jęj pan nic.

Stanisław wszedł na niebezpieczną drogę, cofnąć się było trudno. Doświadczał tego, co doświadczać musi człowiek, biegnący po wązkiej kładce, rzuconej na urwisku: musi iść naprzód lub się stoczyć w przepaść. Teraz dopiero przypomniał sobie, jak prosiła go Marcela, by przez dni parę mogła w spokoju wyrozumieć położenie. Przyszedł tu nawet w tęg myśli.

— Za parę dni — wyrzekł siląc się na uśmiech, choć ten z trudnością przychodził mu na usta — zobaczy pan u nas nowy porządek.

— Stawię się zaraz jutro.

— Nie, nie: wstrzymaj się pan, zostaw czas Marceli, niech się rozpatrzy, urządzi.

Pan Melchior nie widział powodu, dla któregoby to miał uczynić. Pragnął być doradcą Marceli, pragnął widzieć jęj zadowolenie. Przyszło mu wreszcie na myśl to, czego Stanisław wypowiedzieć nie mógł, iż obecność jego w tęg chwili wyglądałaby, jak nadzór nad powierzonym kapitałem, a on przecież nie chciał w ten brutalny sposób wpływać na postanowie-

nie Marceli, nie chciał, by go uważała, jako zadatek, który własną osobą spłacić musi.

Stanisław wystawił mu kwit na wypożyczoną sumę, w którym jednak nie oznaczył terminu oddania; pan Melchior na tę nieformalność nie zwrócił uwagi.

— Więc pan sądzisz — spytał z westchnieniem — iż będzie lepiej, gdy nie pokażę się u was przez dni kilka. Ależ w takim razie ona nie pojmie, zkąd przychodzi pomoc.

— Rachuj pan na mnie, a przytém odczegóż domyślność kobiecego serca.

Podobnemi argumentami, na które wysiłał się rozpaczliwie, udało mu się wreszcie nakłonić starego kawalera do uczynienia zadość jego woli. Pomimo to, chmurny powrócił do domu. Dotąd był tylko hulaką, pasorzytem, nie czyniącym zadość żadnemu obowiązkowi. Dziś popełnił czyn nieuczciwy.

— Ba! — wyrzekł sam do siebie, jakby odpowiadając na jakieś tajemne zarzuty: w najgorszym razie oddam staremu pieniądze.

W parę dni później dom Sawińskich odzyskał dawną fizyognomję; parę niepotrzebnych dziś pokoi zamknięto, inne były opalone i utrzymane starannie, służbę zmieniono, poprzestając na kucharce i młodszėj, i życie uregulowało się przynajmniej na czas jakiś.

Wówczas dopiero prezes, który wiedział zawsze to, cu mu wiedzieć było potrzeba, zapytał listownie,

czy panna Sawińska przyjąć go zechce, i odebrawszy chętne przyzwolenie stawił się w zwykłej porze wizytowej. Marcela, powróciwszy do normalnych warunków, otrząsała się z rozpaczliwej apatyi, w jakiej zostawała dotąd. W dawném swém otoczeniu odnalazła sama siebie, a gdy usiadła znów na kozetce w swoim buduarze, smutek jęj przybrał formy łagodne, nie odbierał jęj pamięci o sobie, ale przeciwnie dodawał uroku.

Zapowiedziana wizyta prezesa, chociaż uważała ją tylko za akt światowej grzeczności, sprawiła jęj wielką ulgę, podniosła niejako we własnych oczach, była dowodem, iż nie straciła swego towarzyskiego stanowiska. Od rana więc przygotowywała się do nięj.

Siostra, w zastępstwie panny Matyldy, z którą się rozstać musiała, upięła jęj bujne włosy, bo już tego to biedna Marcela sama uczynić nie była w stanie. Żałobny strój, robiony w jednym z pierwszych magazynów, podnosił jeszcze białosc jęj cery. Gdyby nie kolor tęg sukni, nie krepa, którą była obszyta, mogła była myśleć, iż nie zmieniło się nic w jęj położeniu, jak się nie zmieniło wokoło nięj.

Światło dnia zimowego znów łamało się i odbijało od niebiesko-zielonawych portyer, rzucając na sprzęty delikatne odblaski, a nawet wielkie liście rysowały swe ostre zęby na tle okna, ustawione w złoconej żardinierze, pośród kamelyi i hyacyntów, jak za dawnych czasów. Ogrodnik dnia tego rano przy-

niósł kwiaty, nie wiedzieć przez kogo zamówione i ustawił w zwykłym porządku. Wśród tego ulubionego, wonnego pokoju, ogarniało Marcelę uczucie dobrobytu i zadowolenia, które wstydzilo ją samą, a gdy dźwięk dzwonka zwiastował przybycie gościa, zapomniała o wszystkiém, co ją dotknęło.

Dotąd stosunek jej z prezesem był etykietalny gdy spotykał ją na rautach lub wieczorach, zamieniał parę grzecznych słów, ale niebawem rozdzielał ich świat swemi niewidzialnemi zaporami. Ona otoczona była młodzieżą, ubiegającą się o jej rękę, prezesowi nie wypadało do niej się mieszać. Później wyróżniła Czerczę, a wówczas wszyscy inni zniknęli jej z oczów. Można więc powiedzieć, iż знаła prezesa tylko z widzenia i z plotek świata. Był to człowiek, który na poznaniu zyskiwał; posiadał on ten dar podobania się, często niezależny od piękności i rozumu, szczególnie ujawniający się względem kobiet. Działał tu niezawodnie urok jego milionów, jego położenia, jego pięknej postawy, jego rzeźbionych rysów, ale działało po za tém jeszcze coś nieokreślonego.

Owe coś można było wytłumaczyć po części uwielbieniem prezesa dla kobiet. Jak ongi Owidyusz—który się do tego tak naiwnie przyznawał—w każdej prawie bez wyjątku znajdował jakiś wdzięk, jakiś szczegół, godny kochania, kobiety zaś odczuwały to instynktownie i ze swjej strony gotowe były do wza-

jemności. Wobec kobiety, nawet takiej, o której zdobyciu nie myślał, zmieniało się obejście i wyraz twarzy prezesa; głos mu drgał i miękł, jakby usiłował wślizgnąć się do serca, zająć uwagę, wywrzeć wrażenie. Działo się to niemal bezwiednie, stało drugą naturą i tłumaczyło ogólne względy płci pięknej dla niego. Kiedy jednak wzbierało w grę jego uczucie, jego wola, natenczas głos ten nabierał giętkich modulacji, jak słodkie tony fletni, magnetyzowały one ucho, podczas gdy spojrzenie magnetyzowało wzrok na przemian ognistemi pociskami i łagodną przemocą. Kobiety jedynie, i to kobiety niektóre wiedziały, jaka była siła jego spojrzenia, jak umiał przemawiać wyraźnie za jego pomocą, prosić, błagać, domagać się, nakazywać, rozpaczać lub rozpływać się szczęściem.

Kobiety mówiły, iż nikt nie umie rozmawiać tak, jak prezes. Rozmowa jego przecież była dla uboższego słuchacza zupełnie czcza i bez znaczenia, ograniczała się głównie na słuchaniu, ale on umiał słuchać w ten sposób rzeczy najobojętniejszych, choćby to był nawet opis stroju, choroby, zatargu domowego itp., jakby nie innego w tej chwili nie zajmowało go na świecie; ruchliwa, choć regularna twarz jego, odbijała po kolei wszystkie uczucia mówiącej, zdawał się być przez nie opanowany wyłącznie, a wówczas jeden uścisk, ruch przytakujący,

nabierał znaczenia najwyszukańszego komplementu. Prezes zresztą i tą monetą nie gardził, a komplement umiał zawsze dostroić do miary tej, do której był skierowany; więc choćby w jednym salonie rozmawiał w ten sposób z dziesięcioma kobietami, pozostawiał każdą w szczęśliwem przekonaniu, że nią jedną był wyłącznie zajęty. Może też żadna się nie myliła, bo przez czas, jaki prezes każdej z osobna poświęcał, niezawodnie o niej tylko myślał.

Nie było też na świecie człowieka, któregoby rozmaiciiej sądzono. Były w nim istotnie dwie odrębne indywidualności. Często sarkastyczny, ucinkowy w towarzystwie mężczyźni, był przy kobietach towarzyskim, jak wosk, lgnącym i słodkim, jak miód, a popularność jego nawet nie miała nigdy cechy lekceważenia.

Kiedy wchodził do buduaru Marceli, czynił to z namaszczeniem, z rodzajem czci, jak gdyby to była świątynia nieszczęścia, a bóstwem jej ta smutna kobieta w żałobie, której niósł swe hołdy.

Postawa ta pochlebiła Marceli. Duma była w niej zdrażniona na równi z sercem, a może z jej powodu cierpiała najsrożej. Widząc więc prezesa z głową pochyloną przed sobą, doznała dziwnie kojącego uczucia, jakby to było zadość uczynienie za upokorzenia, któremi karmiono ją obficie w dniach ostatnich.

— Należę do tych — mówił, biorąc rękę sobie podaną po pierwszych słowach powitania — którzy mogą ocenić stratę, jaką pani poniosła. Znałem twego ojca. To dość, bym panią rozumiał.

Słowa te nie wychodziły ponad zwykły kondolecyjny komunał. Prezes uważał, iż mówiąc do kobiet, głowy sobie łamać nie potrzeba, bo tu wszystko stanowi akcent i spojrzenie, zaakcentował je też tém silniej, że aksamitna dłoń Marceli spoczywała zapomniana w jego rękach. Z pomiędzy nieszczęść, które ją spotkały, wybrał to, o którym miała prawo mówić bez zarumienienia, nie dotknął zerwanego małżeństwa, ani straty materyalnego położenia. Wiedział, iż kobiety, najwięcej potrzebujące pieniędzy, nie umiejące się bez nich obejść, najmniej lubią o nich mówić.

Słowa jego wycisnęły jęć łzy z oczu, ale łzy te nie miały goryczy, przeciwnie, przynosiły jęć ulgę, na kształt rzeźwiącej rosy. Była mu za nie wdzięczna.

— Mój biedny ojciec! — wyrzekła.

Prezes pochylił się i wycisnął na jęć rękę długi pocałunek.

— Pozwól pani tym, co byli jego przyjaciółmi, pozostać przyjaciółmi jego rodziny i wzajem zachować im trochę uczuć, jakie on miał dla nich.

Mówiąc to, spoglądał na nią w taki sposób, jakby dopraszał się największej łaski.

— Och! — odparła zmieszana, sama nie wiedząc czemu tém spojrzeniem—potrzebujemy bardzo przyjaźni ludzkiej, któzby jój nie przyjął z wdzięcznością!

— Przyjaźń daje pewne prawa.

— Prawa? — powtórzyła.

— Niezawodnie, a najprzód prawo do zaufania.

Uśmiechnęła się mimowoli i odrzekła z odcieniem budzącej się kokieteryi:

— To bardzo wiele; prawa tego nie dostaje się w spadku. Trzeba na nie samemu zasłużyć.

— Powiedz pani, co na to uczynić potrzeba? Dać się poznać. Będę się o to starał.

Milczała. Było coś w jego słowach, głosie, wejrzaniu, co budziło w niej wrażenia zmarłe we łzach rozpacz, co pobudzało żywsze bicie serca.

— A wówczas — mówił dalej — powierzy mi pani może swoje myśli, chęci, zamiary.

— Alboż ja mam zamiary jakie? — odparła, powracając nagle do poczucia smutnej rzeczywistości.

Westchnęła z głębi serca i spojrzała na niego cudnie pięknemi oczyma, które w tej chwili były podobne do oczu konającej łani.

Te oczy zelektryzowały prezesa.

— Pani się zdaje — zawołał — że masz tylko przed sobą drogę cierni i smutku. Odczuwamy to zawsze doznawszy bolesnej straty. Tymczasem życie wysnuwa się coraz z innego wątku. Jest ono wie-

kuistém pożegnaniem, jak mówi Heine, ale nowa wiosna przynosi znów to, co zima zabrała.

W danėj chwili prezes umiał być poetycznym, przytém Heine był jego ulubieńcem, a piękna kobieta zawsze nasuwała mu go na pamięć. Dnia tego postawił on swój stosunek z Marcelą na stopie przyjaznej poufałości; prosił o pozwolenie odwiedzania jēj często, a ona mu go udzieliła bez wahania. Na dziś było to dość, pożegnał nie myśląc o tēm, że ta przyjemność kosztowała go blisko dwanaście tysięcy rubli.

Zbliżka, przy świetle dnia, Marcela wydała mu się piękniejszą jeszcze, niż na wieczorach; ocenił wprawném okiem znawcy, iż piękność ta nie miała nic sztucznego, a przytém sprawdził dostatecznie jēj wdzięk, wykwint, wyrobienie towarzyskie, które czyniły ją podobną do oszlifowanego brylantu.

Ma się rozumieć, iż nie było mowy o sumie odeślanėj przez niego. Ani on, ani ona nie uważała za stosowne o niēj napomknąć. Ona nie wątpiła ani na chwilę, iż to był dług rzeczywisty, a zatém zwrot ten był rzeczą tak prostą, iż nie było o czēm wspominać...

Prezes wychodził z domu Sawińskich rozpromieniony, gdy niespodzianie spotkał się z Hyacentem, bo ten przypadkiem, czy umyślnie, spacerował po Krakowskiem Przedmieściu. Znanca fizyognomii swego pryncypała, widząc, że burza minęła, zagadnął prezesa

z ciekawością, do której upoważniły go dotychczasowe poufne stosunki.

— Piękna Marcela pewno już otarła łzy po narzeczonym.

— Czy panna Sawińska — te ostatnie wyrazy prezes podkreślił dobitnie — wybrała cię za powiernika, panie Hyacenty?

Spojrzenie, jakie słowom towarzyszyło, przekonało Hyacentego, że tym razem prezes interesa swoje sercowe sam zamierzał prowadzić i nie mógł ścierpieć, aby się do nich mieszano.

— Sądziłem, myślałem... tłumaczył się zmieszany.

— Są wypadki, w których najlepiej nie sądzić i nie myśleć; zdawałoby się, że tego przypominać nie potrzeba.

I, odwróciwszy się, poszedł dalej szybkim krokiem.

Hyacenty miał wszelkie prawo się obrazić—nie obraził się jednak. Popatrzył za odchodzącym i mruknął sam do siebie, kręcąc węża:

— No, proszę, to aż tak...

Gdyby miał dar jasnowidzenia i mógł zajrzeć do buduaru Marceli, byłby dobitniej jeszcze słowa te powtórzył. Piękna panna siedziała na otomanie, z głową w tył przechyloną, opartą na poręczy, usta jednak rozchyłał zaledwie dostrzegalny uśmiech, pełen skupionego rozmarzenia, oczy, w pół przysłonięte po-

wiekami, zdawały się gonić obrazy myśli. Czar prezesa działał. Była pod jego urokiem.

Są ludzie, którzy całe życie rozmiągają się z właściwą chwilą, którzy zawsze wszystko robią zawczasie lub zapóźno. Czy dzieje się to za sprawą braku sprytu, czy fatalizmu, ich samych, czy też okoliczności? w rezultacie wychodzi to na jedno. Pan Melchior do takich należał, bo właśnie w parę minut po odejściu prezesa, wchodził z bukietem w rękę do buduaru Marceli. Sama jego postać stanowiła dysonans wśród jej niewyraźnych marzeń. On stał zapatrzony w nią, jak w obraz, zachwycony zmianą, jaką tu zastał, szczęśliwy pogodą jej czoła, bo przecież ta była jego dziełem.

— Ach, to pan—wyrzekła niedbale Marcela.

Miał prawo rachować na inne powitanie. Uderzyła go jej chłodna obojętność; zdawała się myśleć o czem innem i rzuciła mu te słowa, niby bogacz grosz jałmużny.

— Jesteś pani teraz przynajmniej spokojną — wyrzekł, obrzucając ją spojrzeniem, pełnem tkliwości.

Uśmiechnęła się lekko.

— Tak, okoliczności się zmieniły.

Bukiet pana Melchiora wydawał się bardzo skromnie przy mnóstwie kwiatów, których woń wiośnia-

na napełniała pokój. Usiadł w milczeniu obok Marceli i pomyślał, że serce jęj nie miało domyślności żadnej, lub też nie oceniło należyście bezinteresowności jego ofiary. Trudno mu było nawiązać rozmowę. Istniało tu nieporozumienie, które, choć nie wcieliło się w słowa, czyniło ją niemożliwą. On nie mógł wypowiedzieć, co dla nięj uczynił, ale miał prawo żądać, wzamian łaskawego słówka, uśmiechu, choćby tylko szczerego uściśnienia dłoni. Ona znajdowała go natrętnym, a gdy porównywała jego popolitą powierzchowność z wytwornem obejściem człowieka, który, jak mistrz doskonały, umiał grać na jęj nerwach, miała ochotę zamknąć oczy, by odnaléźć jego obraz, wyryty głęboko w pamięci.

Pan Melchior przez czas jakiś szukał sposobu, jakimby mógł określić ich wzajemne położenie i, jak zwykle, zaczął niezbyt szczęśliwie.

— Panno Marcelo — wyrzekł przyciszonym głosem—czy brat nie wspominał pani o mnie?

Ognisty rumieniec twarz jęj oblał, ale milczała. Skoro pan Melchior chciał sformułować swoją propozycję—niech mówi. W tęg chwili nie wahała się więcej, wiedziała, co mu odpowiedzieć.

— Czy nie mówił pani, że twoje zdrowie, spokój, pomyślność, szczęście, są moją największą troską; że chciałbym poświęcić ci życie, gdybyś tylko na to pozwolić chciała. Oddaję sobie sprawiedliwość, niestety, nie jestem młodym, powabnym nie byłem ni-

gdy, ale jeśli zawierysz mi swą przyszłość, nie pożałujesz tego nigdy.

Zręczna kobieta nie byłaby nigdy dopuściła go do wypowiedzenia tych słów i, obliczając się ściśle z przyszłością, zostawiłaby sobie choć jedną szansę; pamiętałaby, że nie odrzuca się bez namysłu milio- nowój partyi. Ale Marcela zręczną nie była prezes spostrzegł to jeszcze na zaręczynowym balu.

Pan Melchior wyciągnął tymczasem swoje krótkie, grube, ogorzałe ręce, jakby pewien z góry jęj przyzwolenia i chciał ująć tę delikatną dłoń, którą już za swoją uważał. Ona cofnęła się instynktownym ruchem nieukrywanego wstrętu.

— Cobyś pan o mnie sądził — zawołała — gdy- bym odpowiedziała „tak” jedynie dla tego, że jesteś pan bogatym? Byłeś pan przyjacielem moim i przy- jacielem pozostań, żoną twoją być nie mogę.

Była to kategoryczna odmowa; co do znaczenia jęj omylić się nie mógł, nie mógł również nie zrozu- mieć spojrzenia, jakie jęj towarzyszyło. Uczuł, że zmieniła się dla niego atmosfera tego domu. Czyż to był skutek względnego dobrobytu, jaki zapanował tu teraz dzięki jemu? Czy Marcela rachowała na co? Czy też wprost szła bez rachuby za instynktem chwili?

Wszystko to przeszło mu przez myśl błyskawicznie. Powstał z miejsca, jakby uderzony gromem. Gniew i upokorzenie walczyły w nim z żalem i zwy-

ciężyły go szybko. Miał prawo spodziewać się innéj odpowiedzi; miał nawet prawo sądzić, że padł ofiarą podstęp.

— Panno Marcelo! — wyrzekł, z trudnością panując nad wzruszeniem — odrzucasz rękę człowieka, który gotów był życie i mienie poświęcić dla twego szczęścia. Życzę, żebyś nie pożałowała téj chwili i tego, coś uczyniła.

Stanisław, powracając z biura, zastał jeszcze Marcelę w buduarze tak zamysloną, iż nie słyszała, czy też nie zwróciła uwagi na jego wejście. Chciał właśnie pomówić z nią, uderzyć w strunę rozsądku, nakłonić do przyjęcia ręki starego kawalera. Bukiet, niedbale porzucony na stole, nasunął mu podejrzenie, iż przychodzi zapóźno.

— Był pan Melchior? — zapytał.

Marcela drgnęła, jakby istota nagle ze snu zbudzona i zwróciła na niego oczy rozmarzone.

— Był.

Nie miała ochoty wdawać się w szczegóły.

— Był! — podchwycił niespokojnie Stanisław, topiąc w niéj wzrok badawczy — i cóż?...

Nie potrafiła kłamać i nie potrzebowała uciekać się do kłamstwa. Wyczytał to, co było wypisaném na jej twarzy. Wówczas obudził się w nim gniew, jaki czasem powstaje w apatycznych naturach pod tłocznią ciągle drażniących ją wypadków. Pochwycił obie jej ręce, podniósł ją brutalnie, postawił przed sobą. Byłby

z przyjemnością zgniótł w swoich te nieudolne dłonie, co nie umiały pochwycić szczęśliwego losu. Na usta cisnęły mu się obelżywe wyrazy, ażeby zbudzić do rzeczywistości te rozmarzone oczy.

— Stasiu!—zawołała obrażona.

Opamiętał się. Nawyknięcia dobrze wychowanego człowieka wzięły górę nad instynktem. Puścił jęj ręce.

— Szalona! — syknął tylko przez zaciśnięte zęby.

Przyszły mu na myśl pieniądze starego kawalera, których część już tylko znajdowała się w jego ręku. Pan Melchior miał teraz prawo widzieć w nim zwykłego oszusta.

Chodził szybkim krokiem w około pokoju, przyciskając rozpaczliwie ręce do czoła, jak człowiek pochwycony bolem nad siły. Marcela spoglądała na niego osłupiała, jak istota spadła z innéj planety, spoglądałaby na szaleństwo ludzkie.

— Cóż ja uczyniłam?—rzekła wreszcie.

Miałże znowu tłumaczyć jęj najprostsze zadania życia, miałże powtarzać to, o czém wiedzą wszyscy, bez wyjątku?

— Spytaj lepiej, co uczynisz dalej, gdy wyczerpie się reszta tęg sumy, która spadła nam, jak z nieba; spytaj, z czego żyć będziesz, ty, dla której zbytek stanowi atmosferę konieczną? Czyż nie pomyślałaś o tém?

— Zaprzedać się dla pieniędzy!—wyjąkała.

Popatrzył na nią z rodzajem pogardliwej litości.

— Doprawdy — wyrzekł — powinnabyś raz pochwycić sposobność zostania bogatą, ażeby potem pogardzać pieniędzmi do woli, gdy będziesz pewną, że ci ich nigdy nie zbraknie.

Były to twarde słowa, tém twardsze, że prawdziwe, Marcela znieść ich nie mogła i zalała się łzami.

— Jesteś niemiłosiernym dla mnie! — szepnęła.

Wzruszył ramionami.

— Muszę przecież myśleć o przyszłości.

— Kto wie... znajdą się może inne sumy ojcu należne, o których nie wiemy.

— I ty na to rachujesz?—wybuchnął znowu.

Cheiał więcej mówić, ale się powstrzymał. Nie wszystkimi myślami mógł się z nią podzielić.

I znów chodził po pokoju, chmurny, gniewny, niespokojny. Teraz dopiero uderzyła go denerwująca woń hyacenty, któremi napełnione były żardnierki.

— Zkąd te kwiaty?—zapytał nagle.

Marcela nie wiedziała. Kwiaty zdawały jej się koniecznością; nie kupowała ich przecież, nie zamawiała. Ogrodnik je przyniósł, nie mówiąc

od kogo, a ona nie zdziwiła się wcale, znajdując je tutaj.

Stanisławowi przyszedł na myśl pan Melchior, ale ten zwykle poprzestawał na bukietach. Może przysłał je prezes. Człowiek, który obdarzył Marcelę kilkunastu tysiącami rubli, mógł pomyśleć o napelnieniu jej pokoju kwiatami.

— Czy nie był tu nikt więcej? — zapytał oględnie.

— Owszem, był prezes.

— Czemuż tego nie powiesz odrazu! — zawołał zelektryzowany.—Cóż mówił?

Rozmowę tę trudno było streścić; zdawała się pełną znaczenia, zostawiła jej niestarte wrażenie, a jednak, gdy chciała powtórzyć ją bratu, przekonała się, że nie przekroczyła granic ogólników. Teraz dopiero zastanowiła się nad tem i doznała uczucia smutku, jak gdyby cudny kwiat rozsypał się jej w rękę.

— Prosta wizyta kondolencyjna—wyrzekła.

— Kondolencyjna?—powtórzył ironicznie—właśnie też prezes zadawałby sobie ten trud!

— Wszakże to uczynił—odparła urażona—a nawet obiecał być jeszcze.

Wpatrzył się w nią podejrzliwie. Czyż nie pojmowała, co to znaczyć mogło? Ale nie wyczytał w jej oczach nic, coby domysły jego potwierdziło. Prze-

chadzał się ciągle po buduarze, teraz już spokojniej, myśląc i kombinując. Zatrzymał się przed nią.

— Wiesz co. W takim razie powinnaś go prosić o awans dla mnie.

— Ja! jakżebym to mogła uczynić?

— Przecież on powinien rozumiéć położenie. A skoro nam sprzyja...

— Nie zdam się na suplikantkę. Nie umiem prosić.

Były to bardzo dumne słowa. Miał ochotę powiedzieć, iż w takim razie powinna była zostać wielką panią i nie gardzić Melchiorem, ale znów myśli swój nie wypowiedział.

Wieczorem dnia tego Marcela na pół rozebrana, zaplatała na noc włosy przed hebanową toaletą, zastawioną flakonami i przyborami z kryształu i srebra. W cyzelowanych świecznikach paliły się świece i rzucały blaski na jój włosy, podobne do złotych strumieni, spływających na czoło i ramiona. Spoglądała w zwierciadło, zwijając i rozwijając na palcach rozplecione warkocze. Marzenie osiadło na jój czole i źrenicom nadawało półsenny, zamglony wyraz. Jadwinia parę razy przesunęła się po kobiercu, zaścielającym całą sypialnię, a widząc, że siostra na nią nie zważa, przysiadła na ziemi, oparła ręce na jój kolanach pieśczośliwym ruchem i wyrzekła zaglądając jój w oczy:

— Chciałabym z tobą pomówić.

Odcień niezadowolenia mignął w oczach Marceli. Przeczuwała, iż siostra zechce powrócić do téj rzeczywistości tak wstrętnej dla niéj, że tak, jak brat, będzie ją męczyła pytaniami o przyszłość, o której zapomnieć pragnęła.

Przewyciężyła się jednak, a Jadwinia rzekła:

— Widzisz, ja ciągle myślę, co ze mną będzie.

— Cóż ma być? Pójdiesz za mąż zapewne, jak każda kobieta.

— Ja nie to chciałam powiedzieć. Pójdę, czy nie pójdę—ja nie chcę w małżeństwie szukać chleba; chcę i muszę być czémś, sama przez się.

Marcela wzruszyła ramionami.

— Alboż to podobne! Musiałaś gdzieś coś podobnego wyczytać, teraz mówi się o takich rzeczach... jest to nawet modą... Na papierze to wygląda niezłe, ale w rzeczywistości, pomyśl sama, cóż my zrobić możemy?

— Ależ tysiące rzeczy. Tyle kobiet pracuje. Nauczycielki...

Marcela rozłożyła ręce, jakby odpychała nawet myśl podobną.

— Nie mów mi o tém. Zdaje mi się, że widzę wychudłą, pożółkłą histeryczkę z blademi ustami,

ubraną w welnianą suknię, kapelusz domowej roboty, przedpotopowe okrycie, pozszywane rękawiczki. Lokaje nawet patrzą na nią z góry, ludzie dobrze wychowani grzecznie ją traktują, choć się z nię śmieją po cichu. Ty, miałabyś być nauczycielką!

— Przecież można nie być śmieszna.

— Niechże kobieta zablocona, zmęczona, nudzona i drażniona całe życie ustrzeże się śmieszności. Straci zdrowie, zestarzeje się, jak panna Nelicka, a w dodatku umrze z głodu.

— Ja bo nie wiem nawet, czegobym uczyć mogła—wtrąciła smutnie Jadwinia, która zdawała sobie sprawę ze swęj niekompetencyi pod tym względem.

— Naturalnie — odparła siostra — uczyłaś się tego, co dobrze wychowana panna umieć powinna; nikt, ciebie przecież na guwernantkę nie kształcił.

Jadwinia westchnęła. Wbrew pojęciom siostry, nie uważała tego za rzecz szczęśliwą.

— Są kobiety, które biorą się do rzemiosł.

— Jadwiniu, jakieżby one miały ręce! — zawołała ze zgrozą Marcela.

Mówiąc to, przyglądała się swoim białym, miękkim, smukłym palcom, na których były widoczne ślady próżniactwa kilku pokoleń i dodała.

— Co też tobie do głowy przychodzi!

— A jednak panna Nelicka utrzymuje nietylko

siebie, ale i matkę ze swojej pracy. Panna Flora, ta kwiaciarka, od której kiedyś kupiłam garnitur stokrotek, żyje bez niedostatku, a my?... Bo powiedz mi wreszcie, na co mamy rachować?

Piękna twarz Marceli zasępiła się, zwróciła oczy na siostrę z tym wyrazem omdlewającego bólu, z którym było jej tak prześlicznie.

— Jesteś nielitościwa dla mnie, Jadwiniu — wyrzekła stłumionym głosem — alboż ja wiem, jaką będzie przyszłość? Czyż każdy dzień mało już przynosi własnej nędzy, ażeby troszczyć się tём, co dopiero być może?

A potem dodała ze łzami w oczach:

— Ja nigdy nie myślałam o sposobach zarobku. Czyż mogłam przypuścić, abym znalazła się w podobnym położeniu. Nie wychowano mnie do tego.

Jadwinia milczała przez chwilę.

— Wiesz — rzekła, podnosząc głowę — zdaje mi się, iż to właśnie jest naszym nieszczęściem... Każdy człowiek o tём myśleć powinien... Mówiono mi to nawet...

— Ciekawam kto?

— Pan Gustaw Grodzki, wiesz, ten młody technolog, który był u nas parę razy tём zimy. On mówi, iż zły los każdego spotkać może. Miał słuszość, przekonałam się sama. Obiecałaś mi, jak przyszły te pieniądze, które prezes ojcu był winien, że będę mogła się uczyć, otóż skoro nie chcesz słyszeć o rze-

miośle, będę malowała na porcelanie. Panna Neli-cka ma kuzynkę, która tym sposobem zarabia na życie.

Marcela nic nie odrzekła i Jadwinia nie nalegała, ale w parę dni później przyszła do niej w kapeluszu i futrze, ubrana do wyjścia.

— Idę — wyrzekła — zapisać się do szkoły malowania na porcelanie.

— Zkądże ty wiesz o tój szkole?

— To bardzo łatwo; zapytałam panny Neli-ckiej...

— Panny Nelickiej — przerwała Marcela, dotknięta myślą, iż dawna nauczycielka siostry wta-jemniczoną będzie w ich położenie, chociaż ono przed nikim ukryć się nie mogło. — Dlaczegoż jój właśnie?...

— Ona — kończyła Jadwinia — przysłała mi adres i warunki. Mam płacić pięć rubli na miesiąc za dwanaście zbiorowych lekcyj.

Marcela zrobiła ręką ruch rozpaczliwy.

— Dobrze już, dobrze, rób jak chcesz, ja nie mam siły się opierać.

Po chwili jednak zawołała znowu:

— Któż z tobą pójdzie? — służąca nie ma czasu.

— Pójdę sama. Myślisz, że nie trafię?

— Nie o to idzie, ale samój chodzić nie wypada.

— Musimy — odparła rezolutnie — nie zważać na to, co wypada lub nie wypada, ale robić to, co

potrzeba, a kto chce pracować, nie powinien chodzić na pasku.

— Jadwiniu, to być nie może! — wyrzekła Marcela słabym głosem, który przeczył jęj słowom.

Jadwinia tęż nie zważała na ten bezsilny protest, ucałowała siostrę i wybiegła. Na schodach spotkała prezesa, który ponownie odwiedził Marcelę. Tym razem bawił znacznie dłużej. Rozmowa stała się poufną. Ona zwierzała się przed nim ze swoich smutków i niepokojów, on odwzajemniał się i mówił o cierpieniach, dotykających ludzi, którym pozornie uśmiecha się wszystko; o próżni serca tak bolesnej, gdy rodzinę łączą tylko konwencyonalne węzły, o potrzebie, jaką odczuwa każda szlachetna dusza, by inna dusza ludzka zrozumiała ją i odpowiedziała harmonijnym oddźwiękiem. Słowem, powtarzał w dobrej lub złej wierze sentymentalne formułki, stosowne do okoliczności.

Niewiadomo, czy Marcela nauczyła się roli suplikantki, czy tęż prezes sam odgadł potrzeby rodziny, bo obiecał, dać Stanisławowi lepszą posadę, a tymczasem błagał, jak o największą łaskę, aby w każdej potrzebie udawali się do niego. Odwiedziny przeciągnęły się nawet tak bardzo, iż Stanisław, powracając z biura na obiad, zobaczył przed domem karetę prezesa. Widok ten sprawił na nim szczególnie wrażenie; zamglone zwykle źrenice zabłysły,

ale zarazem usta złożyły się do szyderezego i boleśnego uśmiechu.

Podwoił kroku, jakby chciał pośpieszyć do domu, po chwili jednak zatrzymał się, zamyślił i odszedł w przeciwną stronę. Zamiast do domu, udał się do restauracyi i zasiadł w kącie, nie chcąc się mieszać do obecnych, pomiędzy którymi miał wielu znajomych.

Przy bocznym stoliku siedzieli Czercza z Tomilskim, zajęci żywą rozmową. Czercza był zmieniony, rysy jego zaostrzyły się, nabrały surowości, można by powiedzieć, że się zestarzał, twarz mu się zmroczyła, jakby padł na nią cień złowrogi.

Spostrzegłszy Stanisława, umilkli nagle, potem pół głosem prowadzili dalej zaczęłą rozmowę.

— To rzecz pewna — kończył Tomilski — Marcela odmówiła Melchiorowi.

— Zkąd wiesz? — pytał Ryszard, przygryzając wargi, jak czynił w chwilach wielkiego wzburzenia.

— On sam to mówi. Marcela zrazu zdawała się skłaniać do tego związku, ale kiedy zachęcony tém wypowiedział otwarcie swoje zamiary, odmówiła mu bez wahania.

— Ależ to szaleństwo, i Melchior to opowiada? On musi mówić coś więcej: ja chcę, ja potrzebuję wiedzieć wszystko.

— Mówi, że znaczną sumą przyszedł w pomoc Sawińskim, że łudzili go, dopóki tego nie uczynił.

— I ty w to wierzysz?

— Spłacili wszystko, co się komu należało, nawet Stanisław zapłacił swoje rachunki; długi nie płacą się powietrzem.

Ryszard milczał; wiedział on o inném źródle pieniędzy, ale wymienić go nie chciał.

Skończywszy obiad, wyszli z restauracyi, droga wypadła im koło mieszkania Sawińskich. Przed domem stała ciemno-granatowa karetka, z monogramem E. O., zaprzężona w złote folbluty, które znała cała Warszawa. Ręka Czerezy kureczowo ścisnęła ramię towarzysza.

— To ekwipaż prezesa! — zawołał Tomilski...

Zwrócił się do Ryszarda, ale nie mógł dojrzieć jego twarzy. Towarzysz jego patrzył w okna pierwszego piętra, w których zaczynały zapalać się światła; można było rozeznąć zielonawy blask lamp przyémionych w buduarze.

Szli w milczeniu przez ludne ulice, jasne, jakby w dzień, od światel gazowych, bijących z okien sklepów i padających na biel śniegu. W powietrzu wisiała mgła mroźna, złożona z miriad lodowych igiełek; mgła ta żółtym nimbem otaczała latarnie. Wśród dźwięku dzwonek pędzących sanek, odznaczał się kiedy niekiedy głośny dzwon tramwayów, a wysokie błękitne, zielone i czerwone światła, przesuwwały się, gorejąc, po nad latarniami powozów, ni by olbrzymie szafiry, szmaragdy, rubiny.

— Gdzie idziemy? — zapytał nagle Tomilski, widząc, że mijali mieszkanie prawnika.

Ryszard nie odpowiedział; szedł dalej z głową pochyloną, jakby nie słyszał, pochłonięty myślą jedną.

Za Bielańską ulicą skręcili na Tłomackie, wydobywając się z ulicznego tłumu. Tutaj panowała względna cisza i można było rozeznaczyć odgłos kroków, pod którymi śnieg skrzypiał.

— A jednak — zawołał nagle, zatrzymując się Czercza — ta kobieta mnie kochała. Nieprawdaż Jerzy, ona mnie kochała!

Było coś rozpaczliwego w tém pytaniu, które rzucił towarzyszowi, jak gdyby nie dowierzał sam sobie.

Z kolei Jerzy milczał, bo któż jest w sercu drugiego człowieka, by mógł za niego odpowiedzieć?

— Ona tak dumna, ona tak szlachetna! Nie, to być nie może! Choćbym widział sam, nie uwierzę...

Temi słowami chciał uciszyć jakąś straszną burzę zwątpień, powstającą mu w myśli.

— A jednak on tam był, Jerzy! on tam może jest jeszcze...

Ryszard pochwycił znowu ramię towarzysza i powracał tą samą drogą na Krakowskie-Przedmieście, by się przekonać, czy karetka prezesa jest jeszcze tam, gdzie ją widział.

Jerzy próbował go uspokoić, mówił mu to wszy-

stko, co w podobnych razach mówi się i mówi zawsze bezskutecznie: „stało się — mówił — on już uczynił to, co za stosowne uważał; Marcela mogła robić, co jęj się podobało, jeśli zaś postępowała źle, nie była warta żalu”. Ryszard go nie słuchał, zdawał kroku, palony żądzą przekonania się, czy on tam był jeszcze.

Kareta stała, jak przedtęm, folbluty krzesaly ogień niecierpliwęm kopytęm, a woźnica w swym wielkim niedźwiedzim kołnierzu siedział na koźle powstrzymując je silną ręką.

Ryszard znów spojrzal w okna; może zrozumiał całą śmieszność swego położenia, może przeżywał jednę z tych chwil, w których człowiek popełnia szaleństwa i zbrodnie.

— A jednak — szepnął z wściekłością do siebie — gdybym był tego nie uczynił...

Wymawiał jedno z tych pytań namiętnych, co wiecznie pozostać muszą bez odpowiedzi — bo któż odgadnie, jakim torem poszłyby koleje losu jednostek lub narodów, gdyby były szły drogą, odmienną od tēj, jaką wybrały.

Wyszędłszy z restauracyi, Stanisław namysłał się, co ma dalej robić. Kółko rodzinne nigdy nie miało dla niego uroku; nawet w najlepszych czasach wymykał się do klubów, kawalerskich zebrań i tych wszystkich miejsc, gdzie nie potrzeba się było krępować, a szczególniej, gdzie stały zielone stoliki.

W obecnych okolicznościach należało koniecznie być u pana Melchiora, wytłumaczyć, o ile to było możliwe, postąpienie siostry, uregulować kwit i rozłożyć dług na częściowe wypłaty, co teraz przyszłoby łatwo przy stosunkach z prezesem. Inaczej wyglądało to rzeczywiście, jak gdyby wspólnie z Marcelą urządzili zasadzkę na kieszeń starego kawalera. Stanisław jednak nie cierpiał wszelkich tłumaczeń, scen i t. p. Potrzeba pieniędzy jedynie mogła go wyrwać z apatycznego usposobienia i poruszyć do jakiegobądź działania.

— Pójdę jutro — powiedział sam do siebie i poszedł tam, gdzie go wzywała zabawa, tembardziej, iż miał w kieszeni większą część sumy, pożyczonej od Melchiora. Tak — pójdę jutro.

Odtąd codziennie powtarzał sobie te słowa, aż rzecz poszła w taką odwołkę, iż poruszać ją było coraz trudniej.

Tymczasem położenie Sawińskich zaczęło stawać się wobec świata kłopotliwem. Karetka prezesa teraz codziennie regularnie stawała przed domem, w którym mieszkali, a pensya Stanisława została niemal zdwojona, chociaż wszyscy koledzy biurowi wiedzieli, że nie był ani pilnym, ani zdolnym. Nie dziw więc, iż zajmowano się osieroconą rodziną, której dzieje dostarczały tak gorszącego skandalu. Był to nieustający przedmiot rozmowy pomiędzy sędzią Rylską, a doktorową Ożycką. Ile razy te panie ze-

szy się na balu, raucie, herbacie, koncercie, opowiadały sobie wzajem mnóstwo szczegółów prawdziwych i fałszywych, nie wiedzieć zkad poczerpniętych.

— A co, czy nie mówiłam?—rozpocząła zwykle sędzina z miną tryumfującą.

— Prawda, prawda — odpowiadała skruszona doktorowa.

Tutaj ton sędziny się zmieniał, spuszczała oczy, sznurowała wąskie usta, przybierała minę tajemniczą i na zapytania doktorowej odpowiadała niby niechętnie:

— Nie spodziewałam się jednak tego... tego...

— Czego, powiedz pani? — błagała Ożycka.

— Jakto! alboż pani nie wie?

Doktorowa przyznała ze wstydem, iż rzeczywiście niewiedziała nic wcale.

— Są rzeczy — cedziła po słówku sędzina — o których mówi się niechętnie, którym się nie chce wierzyć wbrew oczywistości.

— Jakie rzeczy?

— Więc istotnie pani nie wie?

— Ależ nie.

— To dziwne, to bardzo dziwne! Wszakże wiedzą o tém wszyscy.

Piorunowała przyjaciółkę swą wyższością.

— Małżeństwo Marceli zostało zerwane...

— No, o tém słyszałam oddawna.

— Tak — odparła sucho Rylska — i na razie wszyscy potępiali narzeczonego... bo chociaż przerażony był w swych nadziejach, powinien był słowa dotrzymać... Inaczéj, cóż byłoby warte słowo?

— Naturalnie! cóż byłoby warte słowo. Szkoda, taki ładny chłopiec.

— Dziś jednak, sam mój mąż mówi, iż Czerczy tego zerwania za złe nie można brać, bo skoro Marcela okazała się lekkomyślną...

— Lekkomysłną!

— Och! nie chcę używać dosadniejszego wyrażenia. Kobiecie nie wolno być lekkomyślną. Otóż ona oddawna zajęta była prezesem.

— Co pani mówi? mając narzeczonego—takiego narzeczonego!

— Tak, mając narzeczonego! — powtarzała sędzina, kiwając głową znacząco. — Czercza nie mógł inaczéj postąpić.

— Ma się rozumieć! Jak to nigdy nie trzeba sądzić z pozorów!

— O, tak! nie trzeba sądzić z pozorów — powtórzyła w najlepszej wierze sędzina. — Teraz rozumie pani tę sumę spadłą nie wiedzieć zkąd na poratowanie Sawińskich, chociaż powiadają, że tam się przyłożył i ten bogaty Uścicki. Pani zna pana Uścickiego.

— Znam, znam. Więc i on także?

— On także. Albo ten awans Stanisława — to rzecz, krzycząca o pomstę do nieba. Wszystkim wia-

domo, że nań zasłużył, patrząc przez szpary na to, co się dzieje w domu.

— A ja wybierałam się właśnie odwiedzić Marcelę. No... ale teraz...

Podobne rozmowy toczyły się w rozmaitych kółkach. Nawet panie Mulska i Kalicka, nienawidzące się tak szczerze, zawarły rozejm z powodu wypadku, ażeby razem ogadywać tę „biedną Marcelę“, która się tak bezpowrotnie skompromitowała.

— Prezes co dzień bywa u Marcelli—mówiła Kalicka z tém większym przekąsem, iż zawsze bezskutecznie próbowała na nim potęgi swych wdzięków.

— Zkąd pani wie?—pytała zaciekawiona Mulska.

Kalicka wiedziała o tém od pana Alfreda, który mieszkał naprzeciw Sawińskich, ale tego źródła cytować nie chciała, więc wymyśliła na prędce chorą kuzynkę, mieszkającą w sąsiednim domu, którą pilnie odwiedzała. Podczas tych odwiedzin, widywała ona karetę prezesa, znaczną, bo zaprzężoną w śliczne złotęj maści konie, jakich nikt nie miał w Warszawie.

— I wystaw sobie pani—dodała—on zawsze tak zapracowany, ma czas na długie wizyty.

— Och! u mężczyzn wszystko idzie w niepamięć, kiedy w grę wchodzi miłość...

— Nielegalna—dodała Kalicka.

— Pod tym względem prezesa rozgrzeszyć można... Jego żona...

— Ona wcale nie wchodzi w rachunek. Całe życie kochał się, kocha i kochać będzie.

— Jemu to przecież wolno—wyrzekła z pobłażliwością Mulska, która tak często i tak dosadnie zaczepiała go swemi pięknemi oczyma. — Ale któżby mógł pomyśleć, że Marcela...

— Marcela, którą przyjmowaliśmy wszystkie... u której bywałyśmy.

— Doprawdy, gdybym ją przypadkiem spotkała i gdyby ukloniła mi się na ulicy, spaliłabym się ze wstydu...

— To byłaby bezczelność!

— Och! ona jest bezczelna—wołała z wrastającym zapalem Mulska — słyszałam, że prezes obsypuje ją brylantami, że zbytki w domu przechodzą wszystko, co sobie wyobrazić można.

— Stary Sawiński umarłby drugi raz...

— A kto wie, co spowodowało tę śmierć nagłą? Czy pani nie pomyślała o tém? Ludzie w sile wieku tak bez powodu nie umierają... Słyszałam napewno, że romans Marceli z prezesem był rzeczą dawną i że na tym zaręczynowym balu...

— Pamiętam — zawołała uderzając się w czoło Kalicka—pamiętam; prezes pożerał ją oczyma. Uważali to wszyscy.

— Mógł dostrzedz ojciec, a wówczas... Sawiński był człowiekiem nieposzlakowanym.

Mulska mówiła to z niezmierną zazartością, nie nawidziła Marceli za prezesa i mściła się oszczerstwem nad kobietą, która go zdobyła.

Trzeba też przyznać, iż nigdy oszczerstwo nie miało swobodniejszego pola. Fakta potępiające były tak widoczne, iż daleko mniejsza liczba mogłaby odebrać dobrą sławę młodej, pięknej, bezbronnej kobiecie.

Marcela nie domyślała się burzy, jaka nad nią zawisła. Z powodu grubiej żaloby, nie wychodziła nigdzie. Zdrowie jej było wątłe, podobna do egzotycznego kwiatu; nie mogła znieść zmiany warunków bytu: przejścia bolesne zostawiły jej nerwową drażliwość. Nie mając powozu, nie wychodziła zupełnie, nie miała zatem sposobności wywołać swoim ukłonem rumieńca wstydu na lica pani Mulskiej, ani spotkać piorunującego spojrzenia sędziny. Cały dzień spędzała w swoim buduarze, na otomance, przy której zielonawym błękicie, tak ślicznie odbijały jej włosy i twarz coraz bielsza.

Czuła się bardzo osamotnioną. Wizyty kondolencyjne ustały nagle. Kilka razy tylko zameldował się pan Hyacenty, lub który z młodzieży, ale ponieważ bywali oni dotąd na stopie etykietalnej w domu Sawińskich, nie zostali przyjęci. Prezes tylko przyjeżdżał teraz codzień po obiedzie, bawił krócej lub dłużej, czasem nawet wypił z Marcelą filiżankę herbaty. Przywoził jej ulubione kwiaty, nowe

książki, nadewszystko poezye, które lubiła. Były to małe przysługi, które śmiało przyjmować mogła. Przyjaźń dawała do nich prawo, a prezes mienił się jęj przyjacielem i wzajem pozyskał jęj przyjaźń, cokolwiek zaś kryć się mogło po za tęm uczuciem z jednęj i z drugięj strony, nie zostało jeszcze wypowiedziane. Być może, iż kobieta łudziła się, albo tęz łudzić się chciała pod tym względem.

Co do prezesa, ten nie łudził się wcale. Wiedział wybornie, do czego dążył; wiedział, że wybiera drogę długą, ale pewną. Przytęm dla niego ta spózniona sielanka — miała dziwny urok. Łatwe miłostki miał na zawołanie, tutaj nęciło go coś więcęj. Marcela podobała się szalenie tęmu człowiekowi czynu, zarówno z wad, jak i z przymiotów swoich. Tak, jak jęj wiotka, delikatna piękność była antytezą jego silnego organizmu, tak łagodność, bezradność, miękki wdzięk, stanowiły moralne dopełnienie bystrości, szybkiego postanowienia, energii, których dawał do wody na każdym kroku. A przytęm, kiedy wszystkie kobiety, jakie znał, wabiły go, nęciły, prześcigały się w kokieteryi, Marcela swęm spokojnęm, pełnęm smutku obejściem, przykuwała go niemal do siebie. Wiedział, iż odmówiła swęj ręki Melchiorowi, nie należała więc do rodzaju kobiet, które się sprzedają, nawet za cenę małżeństwa, była z tych, co oddają się z miłości. Nie można jęj było zdobyć, nie zdobywając serca i prezes przedsięwziął

podbój tego serca. Gdyby był wolnym, poślubiłby niezawodnie piękną Marcelę. Może ona o tém marzyła, bo wszakże dla ludzi tak bogatych, jak prezes, łatwo usunąć wszelkie przeszkody. Nie wydawała się jednak z temi marzeniami. Czuła też może niebezpieczeństwo położenia, ale nie było w jęj mocy usunąć się od niego. Jak motyla nęci fatalnie płomień, około którego krąży, dopóki się w nim nie spali, tak kobiety niektóre nęci miłość.

Marcela czuła się osamotnioną nietylko wobec świata, ale i wobec własnej rodziny. Stosunki jęj z siostrą rozluźniały się z dniem każdym. Jadwinia z zapalem uczęszczała nietylko na lekcyę malowania, ale i na wiele innych. Wróciwszy do domu, brała się do swych pendzli, lub po całych wieczorach czytała książki, których same tytuły przerażały Marcelę. Były to jakieś socyologie, ekonomie społeczne, studia z dziedziny przyrody. Sprowadzała je sobie z czytelní, zamiast powieści, ślęczyła nad niemi, robiła wypisy.

— Zkąd ty wiesz o podobnych książkach?—pytała ją raz ze zdumieniem.

— Mam ich cały spis — odpowiedziała Jadwinia.

— Któż ci go dał?

Tu Jadwinia wahała się, czerwieniła bardzo i w końcu pokazywało się, że autorem spisu był ów

pan Gustaw, który widocznie zajmował zarówno w myśli, jak w sercu jej, pokaźne miejsce.

Jeśli siostra wymykała się moralnie z pod wpływu Marceli, gorzej jeszcze było z bratem. Stanisław stawał się w domu coraz rzadszym gościem. Powracał on tylko do dawnych nawyknień, ale dawniej był to bogaty jedynak, który miał stałe miejsce w teatrze w pierwszych rzędach krzeseł, zachodził do modnych restauracyi, noce trawił często przy zielonym stoliku w klubie lub u znajomych i bywał tam wszędzie, gdzie bywała śmietanka młodzieży. Dzisiaj towarzystwa te były dla niego niedostępne, musiał zniżyć skalę rozrywek i wejść w inną sferę. Odbiło się to w pewnym zaniedbaniu jego powierzchowności. Miał znowu oczy podkrążone, obrzękłe, a na usta przychodziły mu nieraz trywialne wyrażenia, które wstrętem przejmowały siostrę.

Zrobiła mu raz pod tym względem uwagę. Ale on odparł cynicznie:

— Nie jesteśmy tём, czём byliśmy dawniej. Daj mi pieniędzy, a spróbuję wejść do dawnego towarzystwa. Chociaż...

Urwał nagle i zrobił ruch, świadczący wymownie, iż nawet przy pieniądzach było-by to teraz trudnём.

— Stasiu! — zawołała niespokojnie — musimy zważać na siebie, dołożyć starań, ażeby utrzymać się na

naszém towarzyskiém stanowisku. Ty przynajmniej powinieneś to zrozumieć.

Spojrzał na nią drwiąco.

— Doprawdy? — wyrzekł. — A jakież to stanowisko? Czy możesz je bliżej określić?

— Stasiu!

— Skoro jesteś tak drażliwa — mówił dalej — trzeba ci było iść za pana Melchiora. Uboga panna ma tylko przed sobą jedną drogę—małżeństwo. Ty także wiedzieć o tём powinnaś.

Nastąpiła chwila przykrój ciszy. Stanisław odezwał się znowu:

— Nie masz tam kilkudziesięciu rubli? Zgrałem się wczoraj, jak szewc.

— Boże mój! — zawołała — zkądże chcesz, bym miała pieniądze?

— Zkąd? hm! zkąd?

Miał na ustach jakieś słowo niedobre, ale spojrzał na siostrę i nie wypowiedział go.

— Jak ty możesz grać, Stasiu! — zawołała z żalem — w naszém położeniu...

— W naszém położeniu powinny być przynajmniej pieniądze.

Nie uważała zafrasowana na te ostatnie wyrazy.

— Ja właśnie — wyrzekła — chciałam ci powiedzieć, że mam już zaledwie kilkanaście rubli. Cóż dalej będzie?

— Doprawdy! nie pomyślałaś dotąd, że to nastą-

pić musi. Trzeba przyznać, iż wcale przewidującą nie jesteś...

— Mówisz w sposób dziwny — odparła urażona. — Sądziłam, iż przy oszczędności, przy twojej podwojonej pensyi, potrafimy utrzymać się przynajmniej czas jakiś.

— Przy oszczędności, jakąś zaprowadziła, potrzebaby przynajmniej sześć razy większej pensyi.

— Cóż mam teraz zrobić?

— Moja kochana — zawołał ze złością — są rady, których dawać mi nie wypada, nawet w razie, gdybyś miała tak mało sprytu, iż sama na nie wpaść nie potrafisz.

— Nie rozumiem cię.

— Tém gorzej dla ciebie.

— Mój Boże, jak ty do mnie mówisz!

— Lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy umieli rzecz każdą nazwać po imieniu — wybuchnął gwałtownie — gdybyśmy patrzyli na świat trzeźwemi oczyma, nie byli materyalnie i moralnie chowani w puchu. Nieraz zapytuję, na co nam dano szlachetne pojęcia, delikatne uczucia, smak wybredny?... Byśmy lepiej odczuli ból każdy, srożej cierpieli, mniej zdolni byli sobie radzić...

Zalamał ręce tak gwałtownie, że aż usłyszała chrzęst stawów.

— Ja nie pomyślałam — wyrzekła — by położenie nasze było tak rozpaczliwe.

— Czyż może być rozpaczliwsze? Pojmujesz przecie, żeś wdała się w grę niebezpieczną, że stawiałaś na kartę wszystko, co stawić może kobieta. Ja nie wiem, co z tego będzie, ale dziś mamy wszystko przeciwko sobie. Ot, żałuję szczerze, żeś przegrał te pieniądze; powinienem ci być oddawać całą pensję. Ale mi się nie dziw. Są chwile, w których chciałbym zapomnieć o wszystkiem. Czy ty myślisz, że ja nie mam już ani serca, ani sumienia?

Wypowiadał może szczerze uczucia bardzo złożonej natury, wśród których dobre stały w wyraźnej kolizyi z czynami. Marcela przecież była zbyt w nim zaślepioną, by to zauważyć mogła.

— Mój biedny Stasiu! — zawołała, zarzucając mu ręce na szyję.

Uściskał ją i odszedł śpiesznie. Była to godzina, w której przychodził prezes, a nie miał ochoty się z nim spotkać.

Kwestya pieniężna niepokoiła nietylko samą Marcelę; prezes myślał o niej nieustannie: wyrzucał sobie, iż do fikcyjnej sumy, posłanej Marcei, nie przyłożył kilku tysięcy więcej. Byłyby wówczas tak samo przyjęte, a to dałoby możność dłuższej egzystencji. Przez ten zaś czas... Prezes wiedział dobrze, iż stan obecny był tymczasowością, ale tymczasowość ta miała swoje słodycze.

Marcela siedziała na otomance pod blaskiem lamp błękitnych, które czyniły ją podobną do wodnej bo-

gini. Włosy jęj, upięte wysoko, odsłaniały perłową białość szyi, nad karkiem drobniutkie pukielki tworzyły rodzaj mgły złocistej, a bogate ciężkie zwoje, niby hełmem wieńczyły jęj niskie greckie czoło i twarz o klasycznych rysach. Ręka, osłonięta rękawem, zachodzącym tylko trochę niżej łokcia, spoczywała niedbale na pluszu otomany.

Prezes siedział przy nięj na niskim fotelu, pochylony w ten sposób, by mógł objąć wzrokiem całą jęj postać, ułożoną z wyszukaniem, a właściwym jęj wdziękiem. Na małym stoliku, pluszem obitym, stała fantastycznych kształtów majolika, pełna hyacenty, róż, fijołków. Wielkie liście latanii i drobne eryki rzucały na ściany cienie dziwaczne, niewyraźne, z powodu przyćmionego światła i służyły za wdzięczne tło dla idylli, rozgrywającej się wśród nich.

Prezes, na prośbę Marceli, zapalił hawańskie cygaro, i jak artysta, odczuwał urok pięknej kobiety, w otoczeniu tak umiejętnie dobraném; dręczyła go tylko myśl, czy pod nięm nie ukrywa się przypadkiem niedostatek.

— Panno Marcelo — wyrzekł, magnetyzując ją pieśczołą swego wzroku — czy chciałabyś pani być bogatą?

Zarumieniła się. Pytanie to zdawało się wsiwdczyć, iż odgadywał trapiący ją niepokój.

— Trafia się ku temu dobra sposobność... — dodał po chwili w pół żartobliwie.

— Sposobność zostania bogatą? — odparła. — Wiész pan dobrze, iż się na tém nie znam.

— Ale ja się znam, to moje rzemiosło; pozwól mi pani znać się za nas oboje.

— Nie rozumiem — odparła ze zwykłym, trochę niedbałym, trochę zagadkowym uśmiechem.

Zaczął jej opowiadać, jak to łatwo zrobić majątek, kupując akcye i papiery wartościowe, kiedy te stoją nisko, a odprzedając, gdy idą w górę. Rachunek to zupełnie prosty, na którym zarabia się czasem sto na sto. Słuchała go widocznie przez grzeczność, przesuwając na rękę dżetową bransoletę, od której odbijała śnieżność jej ciała.

— A więc czemuż wszyscy nie są bogaci? — spytała.

Tłómaczył dalej, iż nie wszyscy wiedzą o tym sposobie i umieją zeń korzystać, a przytém tam, gdzie są zyski, możliwe są i straty; że potrzeba znajomości rzeczy, ale potrzeba téż tego łąta szczęścia, który dopiero dodany do rozumu, buduje olbrzymie fortuny. Teraz właśnie zdarzała się sposobność...

— Tylko — dodał — choćbyś pani śmiać się ze mnie miała, muszę się przyznać, że jestem przesądny.

To ją zachwyciło; jak ogół kobiet, skłoną była do mistycyzmu. Wyznanie prezesa odkrywało jeden

łącznik więcej pomiędzy nimi i zaciekało ją szczególnie. On przysunął się i wziął ją za rękę.

— Przesąd mój tyczy się pani. Ile razy z ojcem twoim przedsięwzięliśmy jakiś interes, zyskaliśmy zawsze. Przyzwyczaiłem się do tej spółki i chciałbym dalej prowadzić ją z panią.

— Ze mną? Cóż ja do niej przynieść mogę?

— Rzecz najważniejszą... szczęście.

— Szczęście! — zawołała, uderzona tym wyrazem. — Ja i szczęście!... Jak to brzmi dziwnie!

Miała czysto kobiecy sposób myślenia; drobiazg każdy odwracał jej uwagę od głównego przedmiotu.

Prezes logicznej ścisłości wymagał od swoich podwładnych, ale nie od pięknej kobiety, przy której szukał wytchnienia. Zresztą nie chodziło mu wcale o szybkie załatwienie kwestyi; więc odparł, wpatrując się w nią z tkliwością:

— Nie masz pani jeszcze prawa wątpić o przyszłości.

A po chwili dodał z przekonaniem:

— Należy ci się szczęście i będziesz je pani miała niezawodnie. Wierz moim przeczuciom.

Uśmiechnęła się.

— Przypuścimy, że mam szczęście.

— Więc pozwól pani, że poprowadzimy znów wspólnie interesa, jak dawniej z twoim ojcem.

— W jaki sposób?

— W najprostszy: kupując akcyj za sto tysięcy,

dołączę pewną, choćby najmniejszą sumę na imię pani, przypuścimy dziesięć tysięcy. Oczywiście—zysk twoim będzie.

— A jeśli stracimy?

— To niemożliwe.

— Przecież wszystko przypuszczać należy, kiedy się przystępuje do interesu. Zdaje mi się, że powtarzam pańską maksymę.

Był zachwycony tym rozsądnym zwrotem, jak wprzód zachwycony był brakiem logiki.

— W takim nieprawdopodobnym wypadku zostałaś pani moją dłużniczką.

— Niewypłacalną.

— Weale nie; co najwyżej do następującego interesu. Ale, powtarzam—tak nie będzie.

Cała ta kombinacja była wierutnym podstępem. Prezes nigdy nie robił podobnych interesów z Sawińskim, chciał jedynie uprawnić swoją propozycję. Kwestya była ważna: stanowiła niejako o całej przyszłości; dlatego też widząc, iż Marcela nie obraziła się, nie odrzuciła jej w zasadzie, podwoił usiłowań, ażeby mniemaną spółkę doprowadzić do skutku.

— Więc to rzecz ułożona — wyrzekł pieszczotliwie, biorąc znowu jej rękę i całując końce paluszków — jesteśmy w spółce. Ta myśl daje mi ufność, a to jest najlepszą rękojmią powodzenia.

Uśmiechnęła się, jakby myśląc o czém inném, ale rzeczywiście nie straciła jednego słowa. Jak wiemy,

nie cierpiała kwestyj pieniężnych, pod warunkiem, żeby jej niczego nie brakło. Teraz pilno jej było w inną stronę zwrócić rozmowę i on to szybko zrozumiał. Uszczknął z bukietu, będącego na stole, alpejską różę i wpatrywał się w nią przez chwilę.

— Szalenie lubię te kwiaty. Pamiętam, miałaś pani podobne we włosach.

— To zdaje mi się dawno, tak dawno — wyrzekła — jakby wieki oddzielały mnie od owęj chwili. Trudno mi dziś pojąć, jak ja mogłam bawić się... tańczyć... ja!...

Mówiła prawdę. Przeszłość ta była od niej tak daleką, jak ta pierwsza miłość, która teraz uleciała bez śladu z serca, pod tchnieniem nowego uczucia. Teraz naturalną kolejną pomyślała, czém dziś bez niego byłoby jej życie, i rzuciła mu wilgotne wejrzenie, w którym łatwo było tę myśl wyczytać.

Na trzeci dzień prezes wtrącił wpośród rozmowy:

— Interes rozpoczęty. Wkładowa część pani wynosi dziesięć tysięcy rubli. Jestem pewny zdwojenia kapitału.

Rzucił to mimochodem, jak relację o rzeczy ułożonęj, nad którą niema dyskusji.

Ona nie odrzekła, w duchu tylko zrobiła zastrzeżenie, że będzie miała zawsze czas się cofnąć, jeżeli korzyść odniesie. Zastrzeżeniem tém okłamywała samą siebie; w gruncie rzeczy cofać się nie my-

ślała. Względnie do tój sprawy, jak i wielu innych, zachowywała dyplomatyczne milczenie.

Po tygodniu mniej więcej prezes przyjechał tryumfujący.

— A co? nie mówiłem? — zawołał — że spółka z panią przyniesie mi szczęście? Rezultat przenosi oczekiwanie: ja zarobiłem pół miliona, a oto skromna częśćka pani.

Położył na stole pugilares z błękitnego atłasu, pełen wartościowych papierów.

Marcela zarumieniała się i zbladła. Przywyknie nia szlachetne, reszta dumy, kazały jēj odrzucić te pieniądze, stanowiące niemal majątek—a potrzeba gorzka, nieubłagana potrzeba, nakazywała wziąć je. Od kilku dni już żyła z dnia na dzień kredytem jedynie, znosząc owe tysiączne szpilkowe ukłucia, pochodzące z braku. Zrozumiała tēż szybko, iż wahać się nie może ani jednėj minuty, bo to zwiększyłoby doniosłość jēj porażki przez wykazanie świadomości. Opamiętała się, przywołała na usta zwykły, niedbały uśmiech.

— Więc to nie był żart? — wyrzekła.

— Nie żartuję nigdy w sprawach pieniężnych — odparł z powagą. — Odnoszę więc pani tę bagatelkę; piętnaście tysięcy rubli z jakimś ułamkiem... Jest tu wynotwanie.

— Wielki Boże! cóż ja z tēm zrobię?

— Jeśli mi pani pozwoli zaopiekować się swoją fortuną, znajdę dla niej korzystne obroty.

Ucałował znowu jej ręce, patrząc w oczy z tak namiętym wyrazem, iż zasłoniła je powiekami.

— A teraz, kiedy jesteśmy bogaci — rzekł wesoło — róbmy projekta.

Uśmiechnęła się swym zagadkowym uśmiechem, a on mówił dalej:

— Przedewszystkiēm, panno Marcelo — lubił wymawiać jej imię — powinnaś myśleć o sobie, o swoim zdrowiu. Mizerniejesz, bledniesz, potrzeba ci pojechać pod cieplejsze niebo, gdzieś na wybrzeża włoskie.

A że był poetycznym, dodał:

— Do kraju, gdzie kwitnie cytryna, gdzie dojrzewają złote pomarańcze. Niedługo mam jechać do Wiednia; odwiózłbym panią, wybralibyśmy nad błękitem jeziora lub morza jaką cichą wille, skrytą wśród palm, magnolij, obwieszoną glicynią i bluszczem...

Słuchała go zachwycona, uniesiona samą myślą takiej podróży z nim, zapominając o wszystkiēm, co ich rozdzielało.

— Cóż powiedziałby świat! — zawołała, jakby nagle zbudzona do rzeczywistości.

— Alboż świat ma o tē m wiedzieć koniecznie? — zapytał z filuternym uśmiechem. — Żyjesz pani tak od niego oddalona... Urządzimy to, skryjemy się

przed nim. Będzie to coś na kształt studenckich wakacyj, w tajemnicy przed groźnym profesorem.

Zaczął snuć na ten temat różne plany, a ona słuchała go podbita, opanowana, szczęśliwa i drżąca razem. Nie dała jeszcze przyzwolenia, ale on już o niém nie wątpił. Gdy odszedł, słuchała przez czas jakiś odgłosu jego kroków, a kiedy zamknęły się za nim drzwi przedpokoju, pochwyciła do ręki błękitny pugilares z uczuciem upokorzenia zarazem i radości.

Nagle przyszło jęj na myśl, że pieniądze które stały się ich wybawieniem, pochodziły z tęg samęj ręki i pierwszy raz nasunęła się jęj wątpliwść, czy rzeczywiście prezes miał jakie rachunki z jęj ojcem, albo też czy on użył tego pozoru, by w delikatny sposób przyjść im w pomoc. Gdyby wówczas była tego pewną, pomimo wszystkiego byłaby odrzuciła tęg jałmużnę... Dziś pieniędzy tych już nie miała — dziś więcej jeszcze niż wówczas — zbrakło jęj siły do walki, zwłaszcza gdy trzeba było walczyć z nim i z sercem własnym.

A jednak w tęg pomocy pieniężnej, pomimo pozorów i obsłon, tkwiło straszne upokorzenie; była tęg nieszczęśliwszą, że je rozumiała. Ukryła w dłoniach twarz, oblaną ogniem wstydu i wybuchnęła łzami. Czowała, iż ster własnego życia wypadł jęj z ręki, że rwące fale losu unosiły ją wartko w przepaść!...

Cóż, kiedy ta przepaść nęciła ją czarem... Spiewały w niej syreny otchłani głosem namiętności, a serce wtórowało im szaloném biciem swojém.

Zamyślona, nie słyszała, jak Jadwinia weszła do pokoju.

— Ach! jaki śliczny pugilares — zawołała, spozstrzegłszy go na otomance.

I zanim Marcela przeszkodzić jej mogła, pochwyciła go i zajrzała do wnętrza. Z pugilaresu wypadło kilka tęczówek z charakterystycznym szelestem.

— Co to jest! — krzyknęła, patrząc na siostrę zdumionemi oczyma.

— Prezes odniósł mi znów jakąś należność — odparła niepewnym głosem Marcela.

— Znowu? — powtórzyła młodsza machinalnie.

W tej chwili fakt ten zajmował ją mniej nierównie, niż wiadomość, z którą do siostry przybiegła.

— Ja właśnie miałam ci coś powiedzieć—mówiła.

To coś było dla niej tak ważne, iż zapomniała szybko o pugilaresie i pieniądzach.

— Pan Gustaw przyjechał na święta.

Marcela do tego stopnia zamyśliła się o czém innym, iż potrzebowała chwili czasu, ażeby przypomnieć sobie, kto jest pan Gustaw. Wiadomość jednak przyniesioną przez siostrę przyjęła dość chłodno. Godziła się wprawdzie z musu na pracę i naukę Jadwisi, ale ta dziecinna miłość nie zachwycała jej

wcale, tembardziej, iż w jej przekonaniu rodzina Sawińskich stała w hierarchii społecznej daleko wyżej od Grodzkich.

— Pan Gustaw — wyrzekła znowu Jadwinia — przyjdzie tu jutro. Jutro niedziela, nie mam lekcji: ty zrobisz wyjątek i przyjmiesz go. Nieprawdaż? Ja mu to obiecałam.

— Skoro w moim imieniu obiecałaś, dotrzymać muszę, ale Jadwiniu, to było nierozsądne.

— Ciekawam dlaczego?

Marcela wzruszyła ramionami. Według swych pedagogicznych pojęć, nie potrzebowała wcale tłumaczyć się młodszej siostrze. Była stronnikiem nieomyślności, rodziców, wychowawców i nauczycieli. Jadwinia przecie była innego zdania.

— Pan Gustaw mnie kocha i ja jego — zawołała zapłoniona. — Nie udawaj, że tego nie wiesz.

— Tacy młodzi — wyrzekła z uśmiechem żartobliwym Marcela.

— Jesteśmi młodzi, to i cóż ztąd? Pan Gustaw nie porzucił mnie, dowiedziawszy się o ruinie.

Była podrażniona i dlatego rzuciła siostrze w oczy te słowa, które mogły być okrutne. Dziś jednak Marcela przyjęła je z zupełną obojętnością. Cóż znaczył dla niej teraz Czercza i jego odstępstwo?...

— Niemniej to, co robisz, nie jest przyjętem — wyrzekła.

— Przyjętem przez kogo? Alboż my należymy do świata — my, rozbitki!

— Każdy należy do świata, skoro sam dobrowolnie go się nie wyrzeka.

Mówiąc to, przybrała właściwy sobie w niektórych razach ton wielkiej pani, wydającej wyroki bez apelacyi. Jadwinia mogła jęj odpowiedzieć, iż w domu ich wiele bardzo rzeczy pozostawało w sprzeczności z kodeksem świata, ale nie pomyślała nawet tego i chwyciła się najlepszej, wypróbowanej z siostrą taktyki. Rzuciła się jęj na szyję.

— Widzisz! — zawołała — formy światowe, to dobre dla tych, co nic lepszego nie mają do czynienia jak tylko o nich myśleć, a ja... ja chcę tylko pracować i być taką, jaką mnie Bóg stworzył. Tych wszystkich krępujących więzów znosić nie mogłam zawsze, wiesz o tém. — Mówiąc to, ścisnęła i całowała Marcelę, dopóki nie wywołała na jęj ustach uśmiechu i tych słów pobłażliwych.

— Byłaś zawsze pieśczoneń dzieckiem, Jadwisiu!

Wówczas przyłożyła usta do jęj ucha i szepnęła błagalnie:

— Ty będziesz dobra dla pana Gustawa, ty przyjmiesz go bardzo serdecznie.

Niepodobna jęj było się oprzeć, i Marcela zwyciężona, jak zwykle, obiecała uczynić wszystko, co tylko żądała jęj siostra.

W niedzielę Jadwinia od rana była pod bronią, obrawszy sobie stanowisko pod oknem, z kąd widzieć mogła wszystkich przechodzących ulicą. Co chwila biegła do przedpokoju, zwabiona najłżejszym szelestem, i dopiero, przekonawszy się, iż nikt dzwonka nie ruszył, powracała do okna.

Wszystko to jednak okazało się daremném. Napróżno usiłowała dobrze usposobić siostrę dla młodego technologa, nie skorzystał on z pozwolenia, nie przyszedł pozyskać z ust Marceli sankcyi dla swych uczuć i nadziei.

Nazajutż za to Jadwinia, idąc na lekcycę, spotkała go czytającego na ulicy. Chciała zrazu minąć go gniewnie lub przynajmniej uczynić wymówkę, ale pierwsze spojrzenie gniew ten rozbroiło. Pan Gustaw wyglądał tak przygnębiony, jakby spotkało go wielkie nieszczęście, a oczy zdawały się nie dostrzegać otaczających przedmiotów, zapatrzone w jakieś mary, czy widziadła pełne grozy. Był blady jakby po bezsennój nocy. Czekał widocznie na Jadwinię, bo widząc ją, podbiegł i złożył ręce, jak winowajca, błagający przebaczenia. Młoda dziewczyna zbliżyła się szybko.

— Cóż to się stało! — zawołała z niepokojem, bo wobec jego cierpienia, gniew jój topniał, a przytém musiała zrozumieć, że jakaś ważna przyczyna wstrzymała go wczoraj.

Droga jęj wypadala przez Ogród Saski, który podczas slót wiosennych jest prawie zupełnie pusty. Szła więc ku niemu z Gustawem i zatrzymała się dopiero w najmniej o tej porze uczęszczanej ulicy. Tutaj mogli rozmawiać swobodnie. Dokoła panowała cisza, przerywana jedynie szumem wichru, kołyszącego wielkie bezlistne drzewa i krzykiem wron, okrążających ciężkim lotem ich szczyty.

— Mów pan teraz — zawołała, czekając próżno, aż pierwszy przerwie milczenie. — Cokolwiek się stało, ja o tym wiedzieć powinnam.

— Tak, pani o tym wiedzieć powinna — powtórzył jak echo.

Patrzyła wprost w oczy jego nakazująco, on zaś zrozumiał wreszcie, iż milczeć mu nie wolno, kiedy chodzi o nich oboje.

— Gdybyś miała matkę, panno Jadwigo!... — zawołał jeszcze składając rozpaczliwie ręce.

Chciał coś powiedzieć. Zdawał się szukać słów stosownych, ażeby się wytłumaczyć i nie mógł ich znaleźć, bo zawołał:

— Jak ja to potrafię powiedzieć!

— Mów pan wprost — odparła, odnajdując nagle całą swą energię. — A jeśli to nowe nieszczęście, to wiesz pan przecie, iż zniosłam nie jedno... Co trzeba, znieść potrafię.

Oczy jęj zachodzące łzami, zadawały kłam od-

wadze słów. Ale po chwili dodała nagle, jakby chcąc ułatwić mu trudne zadanie:

— Dlaczegoż pan nie przyszedłeś wczoraj?

— Dlaczego? Och! Boże, jakże ja to wypowiem.

Stał teraz z oczyma wlepionemi w ziemię niepewny i złamany, z tak serdeczném zakłopotaniem, że zaczął zwracać uwagę przechodniów. Jadwinia spostrzegła to i pociągnęła go za sobą. Szedł machinalnie przez ulicę, pełną w tej chwili ludzi, spieszących do swoich zatrudnień. Nie było to miejsce stosowne do dłuższej poważnej rozmowy.

— Matki mojej nie pamiętam, ale siostra zastępowała mi jej miejsce.

Płomień oburzenia mignął w jego wzroku.

— To wcale co innego — zawołał namiętnie — a twoja siostra... twoja siostra nie jest tém, czém być powinna.

Wypowiedział te słowa gwałtownie, jakby wraz z niemi zrzucił część ciężaru, tłoczącego mu piersi.

— Marcela — powtórzyła zwolna Jadwinia — nie jest tém, czém być powinna? Co pan powiedziałeś?

— To tylko, co jest głośném w całej Warszawie. Och! gdybym ja mógł temu nie wierzyć! Ja wierzyć nie chciałem. Bóg widzi nie chciałem. Szedłem do was wczoraj, odrzucając wszystko, com usłyszał...

— I czemuż pan nie przyszedłeś?

— Niestety, spóźniłem się trochę, ale przecież

nie chodziło o godzinę; nie sądziłem, żeby chodziło... Właśnie doszedłem do domu; w którym mieszkacie, kiedy zajechała przed niego karetą. Zajechała, jak zajężdża codzieln. Choćbym nie chciał słyszcć, słyszeć musiałem to, co mówiono wokoło. Uśmiechał się stróż kamieniczny, zdejmując pokornie czapkę, uśmiechali się posłańcy, czekający w bramie, zdaje mi się uśmiechał się każdy przechodzień, co, rzucawszy okiem na wysiadającego mężczyznę, machinalnie potem podnosił wzrok na okna pierwszego piętra.

— To był prezes!

— Tak, to był prezes Olbrowicz, znany ze swoich milionów, rozrzutności i czulego serca. Prezes Olbrowicz, który codziennie odwiedza twoją siostrę, panno Jadwigo, a jak wieść niesie...

Powiedział bardzo wiele, a jednak zatrzymał się, nie śmiejąc dokończyć.

Ale ona nie należała do tych, które cofają się przed jakimbądź rezultatem.

— Mówże pan wszystko! — zawołała.

— Panno Jadwigo, to nie ja powiadam, to świat.

— Ja chcę wiedzieć, co świat mówi.

-- A więc mówi on, że panna Marcela utrzymuje się z pieniędzy prezesa.

Wymówił to zaledwie dosłyszalnym głosem, nie mając odwagi spojrzeć w oczy Jadwini.

Słowa te uderzyły ją prosto w serce. Przypo-

mniała sobie nagle sumę, przyslaną w chwili największej niedoli, przypomniała sobie ten błękitny atlasowy pugilares, pełen pieniędzy, który dojrzała w rękach siostry, i świat cały zawirował jêj przed oczyma; musiała oprzeć się o poręcz ławki, bo czuła, że jêj sił zbrakło.

Długi czas trwało milczenie. Spoglądali wzajem na siebie niepewni, jakby każde spojrzenie było im wzajem boleścią. Aż wreszcie ona zapytała cicho:

— Pan temu wierzysz?

— Są rzeczy — zawołał podnosząc głowę — których się mówić nie powinno. Jeśli to są pozory, potrzeba te pozory odrzucić.

— Masz pau słuszność.

Twarz jêj stała się bladą, jak papier; całe ciało wstrząsnął dreszcz febryczny.

— Och! panno Jadwigo — wybuchnął — nie możesz mieć pojęcia, jak to boli słyszeć podobne rzeczy i nie móż im zaprzeczyć, nie móż wcisnąć napowrót słów potwarczych w gardła, co je wyrzekły i nie móż na sumienie przysiędz, że kłamią.

Gdy to mówił lży oburzenia i bólu zajaśniały mu w oczach.

— Panno Jadwigo — mówił gorąco — niech on więcej do was nie przyjeżdża. Porzucicie to mieszkanie, przyjmiecie położenie, jakie wam los zesłał dopóki dźwignąć się nie potrafimy, a będziemy mieli szacunek i pomoc ucziwych ludzi. Ja nie mogę

znieść, byś zostawała tak dłużej narażona na obmowę i śmiech ludzki.

Wziął jej ręce i okrywał je pocałunkami, jakby chciał ją przebłagać za to, co powiedział, złagodzić miłością swoją zadaną ranę, stanąć jako przedmurze pomiędzy nią a światem.

Jadwiga słuchała go w milczeniu jakby osłupiała.

— Nieprawdaż — powtarzał błagalnie Gustaw — tak dłużej nie będzie.

Ocknęła się wreszcie jakby ze snu.

— Boże! Boże! — zawołała namiętnie — co ja mam począć? Potem zaczęła iść szybko dalszą drogą. Może chciała uciec przed tem, co usłyszała może przed nim, a może przed własnymi myślami. On temu, co świat mówił, nie wierzył — ale ona?... ona nie mogła powiedzieć, że obwinienia, rzucone na Marcelę, były fałszem.

— Uspokój się panno Jadwigo! — mówił młody człowiek — ja cię tak kocham!

Nie odpowiadała mu, tylko wlepiała w niego oczy pełne jakiejś zadumy i ognia postanowienia. A on zaczął snuć marzenia przyszłości... Za rok miał skończyć nauki — a potem — potem przecież znajdzie jakie miejsce przy fabryce, przy budowie kolei — on nie będzie wybredny — weźmie, cokolwiek się zdarzy, byle mógł dla niej pracować, wyrwać ją z tego otoczenia... Ale do tego czasu?...

Słuchała go, jak młodość słucha słów nadziei. Serce rwało się do niej, uśmiechały usta; ale tymczasem obecność ciążyła na niej, jak zmora, a zbłądłe usta szeptały:

— Boże mój! Boże! co ja mam począć?

Zwolna, jak dwoje dzieci, zaczęli mówić z sobą o tej bliższej przyszłości, której on nie mógł dla niej lżejszą uczynić, a która nie mogła pozostać taką, jak dotąd. On coś doradzał, o coś prosił; ona wahała się, broniła, płakała nawet; potem długo coś bardzo mówili z sobą spokojniej aż rozstali się wreszcie.

Kiedy dnia tego Jadwinia powróciła z lekeyi do domu, była szczególnie roztargniona; w kapeluszu i okryciu siadła w swoim pokoju na pierwszém krześle, jakie spotkała, i tak pozostała czas długi, zapominając o rozebraniu się, nie czując gorąca; wodziła wzrokiem po wszystkich sprzętach z wyrazem smutku.

Dopiero, kiedy weszła Marcela, powstała zwolna i rozbierać się zaczęła. Teraz nie spuszczała ona oka z siostry, jak gdyby widziała ją pierwszy raz po długim oddaleniu, i dostrzegła rzeczy, które dotąd uchodziły jej uwagi. Twarz Marceli miała tę łunę blasków, ten ogień, błyszczący w oczach, przebijający w uśmiechu, w żywszej purpurze ust, w śnieżystej białości skroni, który jest świadectwem serca. Marcela kochała—mówiła to każda błękitna żyłka na

jéj czole, ka&z;dzy rumieniec, ka&z;de spojrzenie; möwiö także zamyölenie, le&z;ące na twarzy, jakby chodziöa spowita marzeniami, myöłą swojöą odöączaona od reszty öwiata.

Ale obok téj töumionéj rozkoszy uczucia, zdradzajéj sié bezöwiadomie, dojrzaöa także troské wyraözną, ciéżkö, niewypowiedzianö, töoczöącą myöł i serce; widnöą w zagiéciu ust, w brözdzie przecinajéj czoöo, w brwiach zbliözonych do siebie natéżeniem woli...

Teraz Jadwinia odczytywaöa doskonale twarz siostry; wiedziaöa, &z;e Marcela kocha, &z;e Marcela cierpi, i söwa, ktöoremi chciaöa do niej przemöwiéć, zamaröy jéj na wargach; bo cöż powiedziéć jéj mogöa? Marcela zapewne wiedziaöa o kröążöcych obmowach—znaöa zanadto öwiat, by o nich wötpiéć; jeöśli zaö nie zwaöżaöa na nie, jeöśli zwaöżéć nie chciaöa: jakimö prawem Jadwinia mogöa sié mieszaéć do spraw jéj — ona, wychowana przez niö, nawyköa do poszanowania i posöuszeönstwa? Jeöśli jednak Marcela waöżyöa sié na wszystko dla swojej miöłości, ona tego znosiéć nie mogöa.

Siostry nie prawie nie möwiöy do siebie; ka&z;da z nich miaöa teraz swój öwiat osobny, w ktöorym sié zamykaöa. Marcela nie spytaöa o pana Gustawa, Jadwinia nie wszéżaöa tego tematu. W domu panowaöa jakaös ciska zöowroga, jakby przed burzö. Nad wieczorem odezwaö sié dzwonek; obie siostry po-

znały rękę prezesa. Sposób jego dzwonienia pewny, śmiały, gwałtowny, zdawał się świadczyć, że ma prawo wchodzić do tego domu, że pilno mu wejść, ale wie także, że jest oczekiwany. Gorący rumieniec wybił na twarz Jadwini. Odgłos tego dzwonka zdawał się jej obelgą; podniosła niespokojne oczy na Marcelę; ale ona jej nie odczuwała, przeciwnie: uradowana biegła do buduaru, by prędej spotkać gościa. W pośpiechu nawet swoim pozostawiła drzwi niedomknięte i Jadwinia mogła dosłyszeć śmiech radosny, którym go witała, pocałunki, które składał na jej rękach. Nie krępował się, nie miał potrzeby się krępować. Alboż on tu nie był panem? Wszystko, co posiadali, było z jego wspaniałomyślności; chleb, co je karmił, jemu zawdzięczano. Pochwycało ją uczucie niewypowiedzianej goryczy i samotności, jakiego nie doznała nawet po śmierci ojca. Śmierć jest nieszczęściem tylko. Mogła powiedzieć każdemu, w jaki sposób straciła ojca; ale dziś, tracąc siostrę, czuła na ustach straszliwą pieczęć — hańby. Hańby! to niewymówione słowo ciążyło na niej jak zmora. Więc aż do tego przyszło!

W buduarze tymczasem wrzała rozmowa, przeplatana długimi chwilami milczenia. Oni także zajmowali się przyszłością. Ale jaką ta przyszłość być mogła? Jadwinia ukryła palącą twarz w dłonie. Byłaby chciała nie wiedzieć tego, co wiedziała, nie słyszeć głosu miękkiego, przenikliwego, pewnego

siebie, tego głosu nienawistnego człowieka, który dochodził ją z drugiego pokoju. Układała coś stanowczego w swój główce, gdy usłyszała powracającego brata.

Stanisław, wbrew zwyczajowi, przyszedł wcześniej. Minioną noc spędził na kartach, a teraz chciało mu się spać szalenie; ziewnął więc przeciągle. Nie był on wcale w usposobieniu do rozmowy.

— Czego chcesz? nie przeszkadzaj mi! — wyrzekł niechętnie. Ale ona nie zważała na to. Nie przyszło jej na myśl używać z bratem dyplomacyi lub czekać na chwilę, do rozmowy stosowną.

— Właśnie przeszkadzać ci muszę — odparła — chodzi o rzecz ważną.

Otworzył oczy, przetarł je i czekał nie zachęcając jej niczem.

Ona też zachęcenia nie czekała. Usiadła w głowach jego na fotelu i wyrzekła:

— Prezes jest znowu u Marcelli.

— Wiem, wiem; tak, jak codzień o tej godzinie. Przecież nie budzisz mnie dlatego, żeby mi o tem powiedzieć.

— Owszem dlatego! Czy nie uważasz, iż prezes jest tutaj za częstym gościem, skoro ludzie zaczynają o tem źle mówić?

— Jakto! kto śmiał ci to powtórzyć? — zawołał, siadając i patrząc na nią bacznie.

— Tu nie chodzi o to, kto powtórzył — wyrze-

kła zarumieniona — ale o to, że, widząc codziennie karetę prezesa przed naszym mieszkaniem, zwrócono na to uwagę.

— Moja kochana, gadać ludziom nikt nie zabroni. Masz mi też czem głowę zawracać!

Położył się napowrót, ale czoło jego było zmarszczone; sen go odbiegł.

Po chwili spytał znowu:

— Któż u diabła mógł mówić ci podobne rzeczy!

Milczała, a potem wyrzekła znowu:

— Dlaczego te gadania ludzkie mają mieć podstawę? Stasiu, tyś powinien się w to wmieszać.

— Oszalałaś! — zawołał. — Ja, ja miałbym?... Prawdziwie nie pojmuję, co ci do głowy przychodzi. Prezes jest moim zwierzchnikiem, trzyma w ręku los nas wszystkich. Ot! ludzie zazdroszczą nam i dlatego wymyślają nie wiedzieć co. Proszę cię raz na zawsze, daj mi pokój z podobnemi głupstwami.

— Ty to masz za głupstwo! — zawołała gorączkowo. — Ha! w takim razie, niech Bóg zmiłuje się nademną. — Załamała ręce nad głową z wyrazem rozpaczony i wyszła.

Usiadła na sofie w pokoju sypialnym, w którym nie paliło się światło i zostawała tam bardzo długo, dopóki Marcela nie przyszła spać się położyć.

Przechodząc koło siostry, dostrzegła oczy jej błyszczące wlepione w siebie i pochyliła się nad nią.

— Co tobie, mała? czy cię co boli?

Jadwinia nie odpowiedziała; patrzyła ciągle na Marcelę z niewypowiedzianym żalem.

To zaniepokoiło starszą siostrę, dotknęła jej twarzy; była paląca, a pulsa w skroniach uderzały gwałtownie.

— Doprawdy, ty masz gorączkę, Jadwiniu! — zawołała.

— Nie! — odparła krótko.

— Powiedz mi, co ci jest? — nalegała Marcela, przesuwając aksamitną rękę po jej czole.

Ale przed chwilą Jadwinia widziała usta prezesa na tej ręce; odepchnęła ją w milczeniu.

— Siostrzyczko — szepnęła Marcela, nie pojmując tego ruchu — powiedz mi, co ci dolega?

Gdy to mówiła, oczy jej jaśniały nad nią, jak dwie szafirowe gwiazdy pełne serdecznej troskliwości.

W tej chwili powróciła do pamięci Jadwini cała przeszłość, lata dzieciństwa spędzone pod opiekuńczymi skrzydłami starszej siostry... I cały jej żal stopił się nagle w potrzebę uścisku. Zarzuciła jej obie ręce na szyję i wybuchnęła łzami, a wśród łkań wstrząsających nią, powtarzała:

— Oh! Marcelko! Marcelko! Marcelko!

Pragnęła, lecz niemogła wypowiedzieć nic więcej. Słowa cisnęły się jej na usta i przemieniały we łkania. Chciała zapytać, dlaczego przyjmowała dobrodziejstwa prezesa? dlaczego przyjmowała jego samego? ponieważ miała dobrą sławę swoją? Ale

wobec serdecznego jęj spojrzenia, zdobyć się mogła na łzy jedynie i tuliła się do nięj, jakby mogła zasłonić ją od cudzego uścisku, zagłuszyć bicia jęj serca i stać się ukochaniem całęm, jak to było w tych najgorszych chwilach po śmierci ojca, kiedy nikt nie stał pomiędzy niemi.

Marcela tego wszystkiego zrozumieć nie mogła, czuła przecież, że siostra jęj cierpi bardzo. Napróżno pytała o powód; Jadwinia położyła jęj palce na ustach, błagając wzrokiem o milczenie. Tak pozostały czas jakiś, przytulone jedna do drugięj, złączone sercem, choć rozbiegały się ich myśli. I tylko z piersi młodszęj wybuchały jeszcze chwilami przycichające łkania. Czy Marcela była winną, czy niewinną, ona ją kochała i nie chciała sądzić. Ale obietnicy, danęj Gustawowi, musiała dotrzymać.

Jadwinia oka nie zmrużyła tęj nocy. Parę razy podnosiła się i, stąpając cicho po kobiercu, zaściewając sypialnię, przypatrywała się siostrze przy świetle nocnęj lampy. Potęm jęj załzawione źrenice obiegały sprzęt każdy, każdy drobiazg tego wykwinętego pokoju, które migotliwe światło wydobywało z pół cienia, odbijając się kolejną w srebrnych miednicach, kubkach, świecznikach i kryształach, stojących na toalecie!

Nazajutrz Marcela jeszcze spała, gdy Jadwinia wyszła. Nie zdziwiło jęj to; tak zdarzało się nieraz. Niepokoić się zaczęła dopięro, gdy nadeszła godzina

obiadowa, a ona nie wróciła. Nad wieczorem przyniesiono jej list. Poznała pismo, rozerwała kopertę i czytała z szeroko otwartymi oczyma:

„Moja najdroższa Marcelko! ze łzami piszę do ciebie. Daruj mi to, co uczyniłam, ale tak dłużej być nie mogło. Ja ci nic nie wyrzucam; zapewne postąpiłaś tak, jak musiałaś. Ja cię nie chcę sądzić, a przecież w domu niepodobna mi pozostać. Nie troszcz się o mnie: nauczyłam się już tyle, iż sama sobie radę dać powinnam; choćbym tego jednak nie potrafiła, przysięgam, iż grosza od ciebie nie przyjmę. Nie staraj się mnie znaleźć: to byłoby daremne. Na czas jakiś rozstać się musimy, chociaż ja kocham cię bardzo, bardzo, jak dawniej i zawsze kochać będę. Przebacz mi i kochaj także.

Jadwiga”.

Przeczytawszy, Marcela zadzwoniła gwałtownie.

— Kto przyniósł ten list?

— Poślaniec.

— Gdzie on jest?

— Odszedł zaraz.

— A panna Jadwiga kiedy wyszła?

Nikt nie otwierał drzwi, nikt nie odprowadzał. Pokojówka tylko słyszała od stróża, iż panienska zeszła, niosąc walizkę w ręku, którą on pomógł jej włożyć do dorożki. Gdy to mówiła, spoglądała w dziwny sposób na Marcelę.

Czemprowadzając wyprawiała dziewczynę i drżącą ręką wzięła znów list siostry. I nagle zrobiła się w jej myśli jasność wielka. Słowa listu wytłumaczyły jej ucieczkę, i lzy wczorajsze, i dziwne zachowanie się Jadwini.

Wszystkiego tego powodem był prezes.

Przyłożyła ręce do czoła, uderzona strasznym uczuciem. Dotąd sądziła, iż pomiędzy nią i nim szła partya, jeszcze nierozegrana, w której co wieczór przechylała bardziej na swoją stronę szalę zwycięstwa, pewna niemal, że ostatecznie przyjdzie chwila, gdy on, zdając się na łaskę i niełaskę, przyjmie jej warunki.

Teraz zrozumiała nagle, że to ona pokonaną została. Winna, czy nie — była zgubioną w oczach świata, w oczach własnej siostry. Wszystko to łatwo było przewidzieć — ona jednak nie przewidziała.

I jak uderzona gromem, załamała ręce w niemym bóleści.

Stanisław powracając do domu, zasłyszał coś od służby o ucieczce Jadwigi, i wpadł do buduaru siostry.

— Cóż to się stało? Gdzie Jadwiga? — zawołał gwałtownie.

Zwróciła się do niego, chciała mu wytłumaczyć, pokazać list odebrany, ale on pytał o fakt.

— Jakim sposobem przyszło do podobnego głupstwa?

Nie umiała go objaśnić.

— Czy ja na to zasłużyłam!—wołała — czyż zasłużyłam!

Obojętne i chłodne źrenice Stanisława spoczywały na siostrze nieruchome, nie przeczył jej, ani przytakiwał. Wiedział, dla czego Jadwinia dom opuściła, wszakże powiedziała mu to wczoraj wyraźnie. Ale nie miał jasnego pojęcia, czy Marcela rzeczywiście zasłużyła na to, co ją spotkało.

— Czyż mogłam przypuścić? — szeptała wśród łez.

— Już co przypuścić, toś mogła—odparł brutalnie—znasz przecież dość świat, by wiedzieć, jak jest podejrzliwy.

— I ty mi to mówisz? ty, Stasiu!—wyrzekła rozżalona.

Zrobił ręką ruch obojętny, sobie właściwy.

— Myślałem, że ty także rozumiesz położenie, wiesz na co się ważysz. Cóż chcesz? nie mamy wyboru.

Ale ona nie przyjmowała tak spokojnie tego faktu.

Porwała się z miejsca, przybiegła do niego i podnosząc do czoła załamane ręce, zawołała:

— To znaczy, że jestem zgubiona?

Wzruszył ramionami.

— Cokolwiekbyś uczyniła, nie zda się już na nic. Gdybyś nawet przestała widywać prezesa, niktby,

temu nie uwierzył lub też powiedzianoby, że cię porzucił.

Milczała; tylko bladość nagle przeszła jęj po twarzy.

— Gdybyś nawet zamknęła się w klasztorze — mówił dalej — przypisanoby to pokucie.

— Przysięgam ci — zawołała — nie uczyniłam nic złego, nie mam na sumieniu nic, za coby się rumienić mogła!

Był to rzeczywiście krzyk oburzonej niewinności. Nie wywołał on przecież wrażenia, na jakie rachowała.

— I cóż ztąd? — odparł twardo. — Kto temu uwierzy? Musisz przecie wiedzieć, że stokroć lepszy jest grzech tajemny, niż jego pozory.

Podobne zdanie nieraz już obilo się o jęj uszy. Jednak niechby to mówił świat cały, ale nie brat jęj, jedyny opiekun...

— Zrobiłaś położenie nasze dyabelnie trudnem — ciągnął dalej.

Spuściła głowę pogiębiona.

— W biurze już zaczynają szeptać i patrzeć krzywo, a jeszcze teraz, to waryatctwo Jadwini...

— Trzeba ją znaleźć, sprowadzić!

— Znaleźć, to rzecz nie trudna, ale cóż z nią zrobić?

— Przysięgnę jój, jak przysięgam tobie, zem nie zasłużyła...

— Nie rozumiesz mnie wcale. Tu nie chodzi o to, co ja myślę, lub co myśli ona, ale co powie świat, który temu nigdy nie uwierzy.

— Och! — zawołała z naiwnością niedoświadczenia — świat jest niegodziwy! Za cóż mnie on potępia?

— Za co? prawdziwie dziecinną jesteś, Marcelo. Mówisz tak, jakbyś spadła z księżyca. Alboż nie wiesz, że ludzie są złośliwi, zazdrośni, że największym ich szczęściem jest szarpać sławę bliźniego. Są to przecież elementarne zasady życia. A przytém...

Westchnęła ciężko.

— Więc cóż ja mam uczynić?—zawołała, zwracając się do niego.

Widoczny wyraz zniecierpliwienia i gniewu ukazał mu się na twarzy.

— Doprawdy—mruknął przez zaciśnięte zęby—zbyt wiele żądasz odemnie. W takich razach wy, kobiety, jesteście daleko od nas przebieglejsze. Ja nie mieszam się do twój gry; to, zdaje mi się, wszystko, co mogę uczynić. Wiesz sama, że gra jest niebezpieczną.

Polknęła tę obelgę w milczeniu; może nie słyszała jój nawet, myślała teraz o siostrze.

— Gdyby tylko—zawołała—Jadwinia powróciła! Stanisław wzruszył ramionami.

— Znasz ją; jest uparta, jak kozioł. Niepotrzebnieś pozwałała, żeby na te wszystkie lekye chodziła sama, zadawała się Bóg wie z kim; oto masz skutek. Można się było dawno czegoś podobnego spodziewać.

Marcela płakała.

— Jesteś nielitościwy dla mnie! — mówiła przyrywanym głosem. Jadwinia czuła głęboko nasze położenie, chciała pracować, dobić się niepodległości... Sądziłam...

— Aha! praca kobieca! niema co mówić, piękna mi mrzonka! Myślałem, Marcelo, że jesteś rozsądniejsza. Któraż z was potrafiłaby zapracować na chleb powszedni, nawet wówczas, gdyby mieszkała w obłokach i odziewała się błękitem? I ty mogłaś wierzyć w podobne dzieciństwa!

Milczała. Są rzeczy, w które się wierzyć pragnie, bo inaczej... inaczej, jakąż drogę mogła wskazać swęj siostrze? Czyż tę, na jaką zeszła nawet sama bezwiednie?

— Ty ją odszukasz, nie prawdaż? — mówiła, uparcie powracając do swęj myśli.

— Odszukać jęj nie trudno; Warszawa nie jest przecie pustynią.

Rzecz jednak nie okazała się wcale tak łatwą, jak sądził. Dzięki zapewne przezorności Gustawa, Jadwinia wpadła, jak kamień w wodę.

Panny Prakседа i Lucyna Obrańskie zajmowały przy Białej ulicy, na pierwszém piętrze porządnego domu, małe mieszkanie, złożone z przedpokoju ciemnego, bo od niego odforsztowana była kuchnia z oknem, z saloniku z alkową i sypialni. Mieszkanie miało tylko jedno wyjście. Było ono bardzo szczupłe i niedrogie, przechodziło przecież możność siostr, które z tego powodu starały się o lokatorki i odnajmowały za cztery ruble miesięcznie alkowę w salonie, a za dodatkiem jeszcze czternastu rubli, podejmowały się utrzymania i dostarczania wszelkich wygód. Wygody zasadzały się na tém, że Marysia, służąca panien Obrańskich, przynosiła lokatorce wodę do umywania się i sprzątała salonik, a za osobnym wynagrodzeniem gotowa była wyczyścić jej ubranie. Stosunkowo mieszkanie to i wygody kosztowały drogo i dlatego nie zawsze alkowa była zajęta; ale panny Obrańskie miały szczególne powody do żądania tak wysokiej ceny, gdyż obok kwestyi materialnej, stała i kwestya moralna: oprócz wygód, zapewniały one swoim lokatorkom troskliwą opiekę, a to przecież było rzeczą nieocenioną i nikt rozsądny nie mógł zważać na kilka rubli więcej, lub mniej, przy tak nadzwyczajnej korzyści.

Opieka panien Obrańskich była to opieka nielada, jak bowiem w średnich wiekach istnieli świętobliwi mężowie, którzy całe życie poświęcali na studyowanie spraw czartowskich i dróg jakimi wróg ludzko-

ści duszę zaprzepaszcza, tak panny Obrańskie zajmowały się specjalnie kwestyą moralności i śledzeniem ścieżek jakimi uwodziciele krążą około swych ofiar. A że ludzie zwyczajnie dostrzegają to, czego szukają, więc według panien Obrańskich na świecie istniało jedno tylko niebezpieczeństwo, jeden interes, jedna walka, a jedynym motorem czynów ludzkich był zawsze i wszędzie złotołuki Eros.

W ten sposób całe ich życie upływało na bronieniu naprzód samych siebie, następnie swoich lokatorek, a wreszcie wszystkich niewiast, jakie znały, od strasznych pokus i nagabywań, które, według ich przekonania, stanowiły jedyne zajęcie płci meżkiej.

Obrona własna wprawdzie była teraz znakomicie ułatwiona, albowiem panna Prakседа liczyła co najmniej pięćdziesiąt wiosen, a siostra jej, Lucyna, młodszą była zaledwie o lat kilka; wszakże obie trzymały się zasady, iż nieprzyjacielowi nigdy dowierzać nie należy, i nie myślały porzucać postawy obronnej, témbardziej, że wszystko podsycalo ich niedowierzenie.

Niektórzy śmieli się ze starych panien i nazywali je wprost waryatkami; one jednak znosiły cierpliwie niesprawiedliwość świata, przypisując ją zemście osobistych swych nieprzyjaciół—mężczyzn. Wszak one były ciągle zajęte niweczeniem ich podstępnych zamiarów, nie mogły więc za to oczekiwać innej

wdzięczności. Zresztą o kolejach, jakie przechodziły, różnie mówiono. Czy były kiedyś piękne, lub choćby przystojne—trudno dziś było odgadnąć. Praksesta, sucha, koścista, z haczykowatym nosem i wielkimi krzaczystymi brwiami, zataczającymi dwa siwiejące łuki nad oczyma, miała pozór tak wojowniczy, iż wątpić należy, by ktokolwiek i kiedykolwiek śmiał je zaczepić. Ona też była komendantem twierdzy, czyli domu, i trzymała w rygorze naprzód pannę Lucynę, mdłą blondynkę, której sama powierzchowność świadczyła o mniej energicznem usposobieniu; następnie służącą Maryskę, dobraną starannie pomiędzy najbrzydszemi, a wreszcie lokatorki, jakie po kolei zajmowały alkowę. Ponieważ zaś obrona nagabywanój niewinności była niejako celem życia panny Praksesty, okazywała ona dopięro całą swą energię, czynność, przezorność, kiedy posiadała lokatorkę. Ma się rozumieć, iż, pomimo nagleń budżetowych, nie brała pierwszej lepszej, że wymagała silnej i pewnej rekomendacyi. O taką rekomendacyę postarał się dla Jadwini pan Gustaw przez jedną ze swoich kuzynek. Przymiennie panna Praksesta miała żołnierską naturę: niebezpieczeństwo, zamiast osłabiać jej męstwo, pobudzało do tém energiczniejszej obrony.

Odrązu oceniwszy piękność lokatorki, wpadła w bardzo wojownicze usposobienie. Jadwinia rozpakowywała swoją skromną walizkę, w czém dopo-

magala jęj, czy udawala, że jęj dopomaga, służąca Marysia. Panna Prakседа tymczasem z siostrą pilnowala nastawionego samowaru, a raczej pilnowala siostry, która tęj czynności dopełniala na schodach, bo oczywiście byłoby rzeczą nieprzyzwoitą, gdyby Lucyna sama zostawala choć chwilę po za mieszkaniem.

— Uważalaś, Luciu? — pytala siostry, zajętej wkładaniem drzazek w komin od samowara.

Panna Lucyna miała myśl ocieżala, a przytęm była cala zaabsorbowana swą pracą.

— Cóż miałam uważać? — odparła niedbale.

— Ależ ta panna jest śliczna! — zawołała Prakседа, jakby w tym fakcie upatrywala osobistą obrazę.

— Śliczna? to i cóż? — brzmiala apatyczna odpowiedź.

— To prawdziwe nieszczęście! Co za pleć, co za włosy, a jakie oczy!

Słyszac ją, można było sądzić, iż wyliczala zbrodnie swojej lokatorki.

— Trzeba będzie podwoić baczność, zwiększyć środki ostrożności... — mówila dalej Prakседа.

Było to już rzeczą trudną. Jedyne drzwi, opatrzone były całym systemem zasuw i łańcuchów, a nawet miały maleńki kratkowany otwór, przez który można było obejrzyć wchodzących; okna zaś od góry do dołu były zasłonięte szczelnie przytykające-

mi frankami, uniemożliwiającemi zupełnie niedyskretne spojrzenia.

Jeśli takie były środki obronne przeciw zewnętrzному nieprzyjacielowi, wewnątrz niemniej było strzeżone. Baczny umysł panny Praksey śledził to wszystko, co mogło dać powód do jakiegokolwiek nieprzyzwoitej myśli. Na ścianach nie było ani obrazów, ani oleodruków, ani sztychów; jedyną ozdobę saloniku stanowiły stare fotografie rodziców, krewnych i znajomych płci żeńskiej, które tworzyły systematycznie na ścianie ułożone ostro kąty z dwóch stron małego zwierciadła, wiszącego nad kanapą.

Z literaturą panny Obrańskie nie miały nic wspólnego, bo też w dzisiejszych czasach i książki i pisma peryodyczne zapominają o względach przyzwoitości; z tego powodu panna Praksa, która nawet wyrzuciła z mieszkania, jako rzecz gorszącą, klatkę z kanarkami, nie mogła ścierpieć nawet żadnego z kuryerów. Lękała się przycém, by na marginesach nie było jakich przypisków, skreślonych sympatycznym atramentem; lękała się ogłoszeń, lękała korespondencyj prywatnych, a nadewszystko tego, co pomiędzy wierszami mieścić się może. Woląła więc wyrzec się wiadomości bieżących, niż narażać swój dom na zgorzenie, zwłaszcza, że nigdy w zupełności nie dowierzała swój siostrze.

Lucyna wprawdzie słuchała ją we wszystkiém

i równie jak ona, zajęta była obroną przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi—przecież Praksesta spostrzegła nieraz ciekawe spojrzenia, zwrócone na zewnątrz, nawet raz schwytała siostrę na gorącym uczynku podglądania lokatora z przeciwka. Lucyna utrzymywała, iż podglądanie to miało cele obronne, że generał powinien zbadać taktykę wroga; ale Praksesta uznawała za ledwie w siostrze szeregowca, nie generała, i odtąd podwoiła swą czujność, narzekając nieraz na to, że nie ma istoty, na którą spuściłby się mogła.

Lucyna żalów tych słuchała obojętnie. Była to natura skryta i bierna zarazem; pod innym wpływem byłaby rzuciła się może w przeciwną ostateczność; siostra miała słuszność, że jej nie dowierzała, chociaż znajdowała w niej powolne narzędzie.

Gdy się samowar zagotował, obiedwie powróciły do mieszkania; Praksesta drzwi zatarasowała, a na okrągłym stoliku, przed kanapą w salonie, Marysia postawiła szklanki z cynowemi łyżeczkami, bułki w drucianym koszyku i blaszaną cukierniczkę, mocno odrapaną.

Jadwinia siedziała jeszcze w swojej alkowie, ustawiając na małym stoliczku swoje toaletowe przybory, na które panny Obrańskie patrzyły z ciekawością i niedowierzaniem. Przyszły one wprost do alkowy, ruszały każdą rzecz bez ceremonii.

— I po cóż to wszystko? — spytała wreszcie Prakседа.

— Jakżebym się jutro ubrać mogła? — odparła dobrodusznie, kładąc kolejną gąbki i szczoteczki rozmaitego gatunku.

— Jakto? pani to wszystko do ubierania potrzebne? I tego się codzień używa?

— Naturalnie — odparła zdziwiona.

— Ależ w takim razie, kiedyż będzie czas na pracę?

Jadwinia nie mogła odpowiedzieć, bo w tej chwili zakipiał samowar; Prakседа pobiegła przygotować herbatę, a Lucyna podreptała za nią. Wkrótce odezwiała się starsza Obrańska szorstko, jak zwykle:

— Chodź pani na herbatę.

Jadwinia posłuszna zbliżyła się do stołu i zajęła miejsce sobie wskazane. Nie była głodna, a przytém, gdy rzuciła okiem na stół, odeszłyby ją najsilniejsza chęć jedzenia. Spoglądała zdumiona na kolorową serwetę, na której w dodatku występowały plamy różnorodne, na te grube szklanki, na nieapetyczne łyżeczki, wreszcie na małą lampkę, wydającą tyle przynajmniej kopciu, co światła, i nie mogła się zdecydować na przelknięcie tego jasno-żółtego mętne-go płynu, który tak nie miał wspólnego z aromatyczną herbatą, przyrządzaną w ich domu, jak ta nędzna zastawa z kryształami i srebrami, połyskującymi pod światłem gazu w ich wykwintnej jadalni.

Nie uważała nawet, że Prakседа spoglądała na nią ostro, zapijając swą herbatę i zagryzając ją suchą kajzerką.

— Pani, jak widzę, nie smakuje nasza herbata? — zagadnęła wreszcie.

Znaglona tēm, podniosła do ust łyżeczkę i znalazła herbatę również szkaradną w smaku, jak z pozoru.

— Ho! ho! — mówiła Prakседа — jesteśmy ubogie kobiety, kupujemy herbatę tanią; ale tēż żyjemy uczciwie, nie rachujemy na nikogo, tylko na siebie.

Słowa te trafiały jakby umyślnie w jēj położenie. Natchniona odwagą nagle, podniosła głowę.

— Ja także tylko na siebie rachuję — odparła łagodnie.

— W takim razie nie trzeba wybredzać; kobieta pracująca pamiętać o tēm powinna. Uczciwy zarobek jest trudny, skąpy.

Prakседа miała słuszność, Jadwinia czuła to dobrze; ale cóż, kiedy herbata nie chciała przejść jēj przez gardło; sam jēj widok odrażał. Pomyślała, że jest ofiarą snu okropnego, z którego pragnęła bardzo się obudzić. Było jēj tu duszno, źle, straszno. Gospodyni domu nie zauważyła tego smutku: ona widziała tylko jēj piękność.

— A pani czēm zarabia? — spytała.

Jadwinia się zarumieniła; do dziś dnia nie zara-

biała nic jeszcze, ale surowe, przeszywające oczy Praksedy domagały się odpowiedzi.

— Maluję na porcelanie — odparła, spuszcza-
jąc oczy.

Stara panna pokręciła głową; niecierpiała arty-
stów—nawet sam artyzm był dla niej rzeczą podej-
rzaną.

— A dużo pani zarabia?

— Różnie — tłumaczyła się Jadwinia — stoso-
wnie do tego, co maluję.

Odpowiedź ta nie zadowolniła Praksedy; lubiła
ona wszystko mieć czarno na białym, lekceważyła
rzeczy nieokreślone i patrzała badawczo w swoją lo-
katorkę, jakby chciała ją przeniknąć do głębi. Ja-
dwinia się zmieszała, czuła się wśród wrogiej atmo-
sfery; ona, co przywykła do pieśczęt siostry, do
przyjaznego otoczenia, była tu obezwładnioną, jak
ptaszyna pod okiem węża.

— A jakże można w takim razie regulować wy-
datki? — zapytała podejrzliwie Prakseda.

Jadwinia nie umiała na to odpowiedzieć; wlepiła
w nią powiększone przerażeniem oczy.

— Takie rzeczy wiedzieć potrzeba -- ciągnęła
dalej Prakseda — bo inaczej...

Lucyna dotąd obojętnie słuchała tej całej rozmo-
wy, zapijając z największą flegmą herbatę i zajada-
jąc bułki; teraz uczuła się zapewne w obowiązku po-
przec siostrę i pochwyciła jej ostatnie słowo.

— Tak, tak, bo inaczej...

Zwracała ona także na Jadwinię swe blade, okrągłe oczy, może nieznośniejsze dla niej w swój bezmyślniej ciekawości, niż bystry wzrok Praksedy.

— Inaczej — ciągnęła ta ostatnia — chcąc nie chcąc, młoda panna daje się pochwyć tym, co na nią czyhają nieustannie. Głód i nędza są ich sprzymierzeńcami.

— Nieinaczej — powtórzyła Lucyna, ocierając usta z zadowoleniem po wieczornym posiłku — głód i nędza są ich sprzymierzeńcami.

— To się widzi co dzień — dorzuciła Prakseda.

Brutalność tej mowy, połączona z tęsknotą, przepełniła miarę sił Jadwini. Łzy napełniły jej oczy i popłynęły po twarzy dwoma rześystemi strumieniami.

Nie wzruszyły one wcale jej prześladowczyń.

— Niema czego płakać — odezwała się ostro Prakseda — to do niczego nie prowadzi.

Jadwinia próbowała się uspokoić, ocierała powieki, ale daremnie; nabrzmiewały one coraz nowemi łzami.

Prakseda wzruszyła ramionami.

— Nie pojmuję, co pani jest. Ho! ho! znam ja świat i ostrzegam przed jego sidłami; powinnaś mi pani być wdzięczną, jeśli jesteś uczciwą. Jeśli zaś nie podobają ci się nasze zasady, to nie trzeba było się tu sprowadzać, bo ja wierną byłam im przez całe

życie i taką zostanę do śmierci. A kto jest w moim domu, słuchać mnie musi.

— Pani... — próbowała przemówić Jadwinia.

-- Ja lez nienawidzę! Kiedy kto nic nie ma na sumieniu, ani złego popełnić nie zamierza, nie potrzebuje płakać; to tylko psuje oczy, zdrowie, odejmuje siły do pracy i obrony. Myślisz pani, że co łzami zbudujesz?—głupstwo! Łzami brukowana jest droga do piekła. Ot i wszystko.

A Lucyna dodała półgłosem:

— Oh! napłakałam ja się, napłakałam! A wszystko daremnie.

Chciała coś dalej mówić, ale siostra spojrzała na nią ostro, więc umilkła zmieszana.

Być może, iż Praksesta miała słuszność w tem, co mówiła; Jadwinia nie była zdolna tego ocenić. Świat, do którego weszła nagle, nie był jej światem; raził ją każdą rzeczą, był dla niej tak wstrętny, iż dławiła się jego atmosferą. A przytém bolało ją to, że do niego przywyknąć nie mogła. Czuła się rozpieszczonem dzieckiem zbytku, z którego tradycją naprózno zerwać usiłowała; czuła się skutą ze swoją przeszłością tysiącem pajęczych nici, które zrosły się z jej istotą.

W milczeniu podniosła się od stołu.

— Czemuż pani nie jesz? — zawołała Praksesta — to także głupstwo. Do śniadania dwanaście godzin czekać potrzeba.

— Głowa mnie boli, jeśbym nie mogła — wyjąkała.

Nie kłamała wcale: nerwowa jęj natura była rozstrojona do najwyższego stopnia. Zasunęła frankę od alkowy i rzuciła się na łóżko, tłumiąc łkania w poduszce.

Panna Praksesta popatrzyła na nią przez chwilę, potem ściągnęła brwi z niezadowolenia i rzekła do siostry:

— Tak się rozpacza tylko za kochankiem. To jakaś zbytnica; całe życie widać trawiła na strojeniu się, i do tego nie jęj nie smakuje. Do bażantów chyba i ciast przywykła. Ot narobiłyśmy sobie z tą dziewczyną biedy; trzeba się pilnować.

I pilnowała się też, pilnowała. W nocy nieraz podnosiła się z posłania i obchodziła mieszkanie, oglądając drzwi, okna, franki, czy przez nie jakieś sygnały dawane nie były, a nazajutrz od rana usiadła w oknie od dziedzińca i przypatrywała się ruchowi lokatorów, bo podejrzewała, że wśród nich spostrzeże jakąś twarz nową.

Kamienica zachowała swój zwykły pozór: kucharki biegły z koszykami do miasta, czasem zatrzymywały się i rozprawiały pomiędzy sobą. Potem lokatorka z pierwszego piętra szła z wielką książką od nabożeństwa do kościoła; potem po jednym mężczyźni zaczęli wychodzić do zajęć i biur rozmaitych. Wprzód jeszcze szwaczka z magazynu, mieszkająca

w izdebce pod strychem, błada i wiecznie zdyszana, śpieszyła, ażeby nie zapłacić kary za spóźnienie, a nauczycielka z paczką książek pod pachą, szybkim krokiem dążyła na swoje lekcye.

Wszystko to było w porządku; panna Praksesta, pomimo najbaczniejszego czuwania, nie zauważyła nic zgoła zmienionego wokoło.

— Dziewczyna jest przebiegła — rzekła sama do siebie — ale mnie w pole nie wywiedzie.

Jadwinia nie myślała nikogo w pole wyprowadzać. Porzuciła szkołę, ażeby ję tam nie odszukano, i znalazła zajęcie w małej pracowni jednę z dawnych koleżanek; starała się usilnie zadość uczynić ję wymaganiom, ażeby koniec miesiąca przyniósł ję chociaż najmniejszy zarobek.

Dotąd płaciła za swoją naukę, teraz należało z nię skorzystać. Miała wprawdzie zapewnione trzymiesięczne utrzymanie, a na to spieniężyła z pomocą pana Gustawa wszystkie swe drobne klejnoty i kosztowniejsze rzeczy. Zatrzymała jedynie zegareczek, który dostała od ojca w dniu, gdy kończyła lat szesnaście. Chciała sprzedać go także, a zastąpić srebrnym lub stalowym, ale nie wieleby na tem zyskała. Dawna koleżanka ofiarowała ję kilka rubli miesięcznie i to ofiarowała niechętnie, jakby z łaski, zastrzegając, że wszystko, cokolwiekby się zepsuło w wypalaniu, pójdzie na ję rachunek. Musiała przyjąć te warunki, bo nie miała wyboru, tylko ta przy-

szłość, co się jęj wydawała tak łatwą i świetną w chwili, gdy przystępowała do pracy, teraz zbladła, zmroczyła się i wyglądała, jak zwykła szara, ciężka robotnicza dola.

Nie mówiła o tēm z nikim, nawet z panem Gustawem. Miał on dość własnych kłopotów, a przytēm prosił ją tak bardzo, by wytrwała rok tylko, rok jeden, iż pragnęła pokazać mu dowodnie, że radę sobie dać potrafi.

Jak tu przecież dać sobie radę przez rok cały? To stokroć łatwiej powiedzieć, niż uskutecznić! Nad tym problematem łamała sobie głowę dnie i noce.

W kilka dni po jęj przybyciu na Białą ulicę przypadła niedziela; rano wszystkie trzy poszły do kościoła, nieznanego dotąd Jadwini, na Lesznie. Była to dzielnica tak oddalona od eleganckiej Warszawy, do której należała dawniej, iż mogła pomyśleć, że znajduje się gdzieś na głębokiej prowincyi. Nie spotkała tu nikogo ze znajomych, ani nawet jednę z tych twarzy, znanych choćby z widzenia. Panny Obrańskie nie odstępowały jęj na krok jeden, uważając widać niedzielę za dzień szczególniej niebezpieczny; szły z domu, pomieściwszy ją pomiędzy sobą, niby żołnierze, przeprowadzający aresztanta. W kościele usiadły w ławce w tym samym szyku, a bystre oczy Praksedy raz wraz odbiegały od kart starej książki do nabożeństwa, by zwracać się na obecnych i baczyć, czy kto nie przypatruje się jęj

młodej towarzysze, lub czy ona przypadkiem na kogo nie skierowała spojrzenia. Na Jadwinię spojrzął nie jeden, ale co ona, to rzeczywiście modliła się przykładnie.

Po nabożeństwie panny Obrańskie miały zwyczaj używać spaceru po wysokim chodniku Leszna, czasem nawet dochodziły do Rymarskiej ulicy, potem wracały tą samą drogą. Spotykały też wiele osób znajomych; były to jednak same kobiety, i to stare, jak one. Zatrzymywały się więc, zamieniały słów parę, objaśniając przytém, że Jadwinia była to nowa lokatorka, którą zwyczajem swoim wzięły w opiekę.

Przyjaciółki kiwały na to głowami, przypatrywały się młodej dziewczynie i z widoczném współczuciem zwracały do Praksedy, jakby zawczasu okazać pragnęły, iż przeczuwają, ile ta opieka będzie ją kosztowała zmartwień i kłopotów.

Wracając, Prakseda z Lucyną naradzały się o czémś pocichu, a nawet narada wyrodziła się w rodzaj sprzeczki, której powód zrozumiała dopiero Jadwinia, gdy weszły do skromnej cukierni, znajdując się na Lesznie, i stanęły przed kontuarem. Prakseda chciała kupić ciastek, Lucyna babkę, i tutaj ta cicha, korząca się przed powagą starszej siostry istota, rozwinęła prawdziwie lwią odwagę, ażeby szalę losu przeważyc na korzyść ulubionego przysmaku. Zbliżyła się rezolutnie do sprzedającego

i zażądała babki za dwa złote, tak energicznie, iż siostrze pozostało tylko zapłacić. Poczem sama wzięła kupiony funt ciasta w rękę i niosła do domu z rodzajem tryumfu.

Panny Obrańskie i niektóre ich przyjaciółki miały zwyczaj zbierać się na kawę w poobiednich godzinach niedzieli; dziś na nie wypadało przyjęcie, do którego od rana gotowały się garnuszki mleka.

Panna Lucyna zwykle w domu odgrywająca rolę Marty, umiała za pomocą opłatka i trochę niesolonego masła, nadawać mleku pozór śmietanki z gęstym kozuszkim. Tajemnicy téj zaś strzegła zazdrośnie, nawet przed okiem Maryśki, która nieraz zachodziła w głowę nad cudowną przemianą chudego mleka na wyborną śmietankę.

Obiad dnia tego odbywał się wcześniej i pośpiesznie, zwykle téż starano się na nim zaoszczędzić koszta podwieczorku, a zaraz potem panna Lucyna zajmowała się skrzętnie przygotowaniami. Łącząc oszczędność z wymaganiami przyjęcia, za pomocą cykoryi, grochu, żyta i rozmaitych innych specyfików przyrządzała kawę, nie mającą wprawdzie zapachu mokki, ale czarną, jak węgiel i gęstą, jak miód, którą zachwycała niezbyt wybredne podniebienia przyjaciółek. Zaścielała stół świeżą serwetą (jaskrawy ich dobór posiadała w komodzie) krajała babkę w plasterki cienkie, jak koronka, dodawała do tego koszyczek kajzerek i mikroskopijną porcję masła;

potém wydobywała z szafy ciężkie filiżanki z karlsbadzkiej porcelany, malowane w sine róże ze złoceniemi floresami i napisami niemieckimi.

Uczyniwszy to wszystko i zmiotłszy raz jeszcze wszelki ślad pyłu w saloniku, panna Lucyna oczekiwała wraz z siostrą na przybycie gości, a tymczasem rząd dzbanuszków i garnuszków kamiennych stał w kuchni na gorącej blasze.

Wśród tych przygotowań, Jadwinia nie wiedziała co ma z sobą uczynić. Persektywa zaznajomienia się z przyjaciółkami panien Obrańskich niezbyt jej się uśmiechała, lękała się przytém być natrętną, a nie miała się gdzie schronić. W ostateczności zamierzała już pójść na miasto, gdzie ją oczy poniosą; dobyła więc z pudełka kapelusz, gdy panna Praksesta odezwała się ostro:

— A to dokąd?

Jadwinia zmieszała się, jak gdyby zamierzała uczynić coś złego.

— Chciałam się przejść — wyrzekła nieśmiało.

— Chodziłyśmy już dziś rano. Nigdy nie słyszałam, żeby przyzwoita panna spacerowała sama w niedzielę i do tego o zmroku. Ja na to nie pozwolę. Kto jest w moim domu, słuchać mnie musi.

— Lękałam się paniom przeszkadzać — przyznała się młoda dziewczyna.

— Głupstwo! Jesteśmy ucziwe kobiety, nie po-

trzebujemy się wstydzic słów naszych i dla tego nikt nam nie przeszkadza.

Jadwinia posłuszna, zdjęła kapelusz i umieściła go napowrót w pudełku. To przebłagało starą pannę, która dodała dobrotliwie:

— Lucyna przygotowała kawę i dla pani, a prztem jest sposobność poznania uczciwego towarzystwa. Nie wyłączamy z niego naszych lokatorek.

Jadwinia nie miała czasu odpowiedzieć. Dzwonek odezwał się w przedpokoju; Lucyna wybiegła na przyjęcie gości, a w przeciągu kwadransa w saloniku zebrało się siedem kobiet. Wszystkie były niemłode, skromnie bardzo ubrane w czarne lub ciemne wełniane suknie. Moda, strój, wykwił, były to rzeczy, nieistniejące dla zebranego tu towarzystwa, jak nie istniały: książki, teatr, sztuki piękne, ruch umysłowy itp.

Wielkie miasta mają to do siebie, że każda jednostka dobrać sobie może jednostki odpowiednie, wytwarzają się więc warstwy i warstewki, kółka i kółeczka, połączone ze sobą podobnemi przywyknieniami. Goście panien Obrańskich były to stare panny lub wdowy, ubogie po większej części. Dwie panny Burskie utrzymywały się z robót. Na wiosnę szyły kapelusze słomkowe, na jesień pikowały na maszynie lub brały różne roboty. Miały także maszynę do pończoch i przy pomocy tych rozmaitych

zajęć, potrafiły zapewnić sobie byt, a nawet zdobyły kapitał, reprezentowany przez maszyny.

Podobno pochodziły z zamożnej rodziny, ale o tém przy ciągłej pracy zapomniały już oddawna. Obie szczupłe, drobne, energiczne, podobne do siebie, nosiły na twarzy ślady troski nieustającej. Nie odebrały wykształcenia, albo też ślady jego zatarły się przy codziennj, kilkunastogodzinnej mechanicznej pracy. Miały też rodzaj pogardy dla tego wszystkiego, co nie daje doraźnego zysku; jeśli bowiem potrafiły utrzymać się na powierzchni i walczyć z nędzą skutecznie, działo się to za sprawą niezmordowanej zabiegliwości. Problem bytu absorbował je; wcale nie miały czasu myśleć o czém innym. Oszczędność też ich przechodziła pojęcie. Wiedziały wybornie, kiedy i co najtaniej kupować można i nie leniły się dla jednego grosza biedz na drugi koniec miasta, chociaż rozumiały wartość czasu.

Niedzielna kawa stanowiła ich jedyną przyjemność i zbytek jedyny. Były jednakże czasy, gdy i tego odmówić sobie musiały; wówczas grubsze fałdy zbierały się na ich czołach. Życie, jakie wiodły, urobiło je stosownie: z twarzy zniknęły miękkie odcienie; były to twarze spracowane, żółte pomarszczone, z przebiegłemi oczyma, z których wyzierał niepokój, chęć zysku i obawa jutra.

Po nich nadeszła pani Sieleszowa, wdowa po urzędniku, mająca tak szczupłą emeryturę, że broniła

ją jedynie od głodowej śmierci, a najnędniejszego utrzymania dać nie mogła. Była leniwa i apatyczna, radzić sobie nie umiała, większą część życia spędzała w kościele. Ale w modlitwie nie zdolną była zaczerpnąć siły; oczy jej wiecznie były załzawione, myśl wiecznie błąkała się w przeszłości, o niej też mówiła najchętniej. Narzekała zwykle na zdrowie, zwłaszcza gdy mówiono jej o jakiembądź zajęciu.

Sąsiadka jej panna Justyna, mieszkała przy rodzinie i żyła z jej łaski, w zamian za co zajmowała się dziećmi i domem, czyli była: bezpłatną boną, kucharką, szwaczką i młodszą. Otrzymywała za to znoszone suknie, stary kapelusz, wyszłe z mody okrycie i trzewiki, gdy te, które miała, literalnie z nóg jej spadły. Było to ciche, pracowite, potulne stworzenie. Podobno w młodości dotknęła ją jakaś katastrofa serdeczna i pozostawiła żywą niby trupa dawniej istoty. Niegdyś miała być piękną—dziś ślad tej piękności pozostał tylko w wielkich oczach, od łez zagasłych, w regularnym owalu twarzy i we włosach, które, choć gęsto przetkane białymi, niemniej zachowały gęstość i jedwabistość.

W rodzinie nigdy prawie nie słyszano jej głosu; pomiędzy dawnymi znajomymi ożywiała się niekiedy, ale o przeszłości swjej nie mówiła nigdy; myśl jej kręciła się w zakętym kole sekretów gospodarskich, domowych przykrości, nieporządku służby, jej nadużyć itp.

Najdystyngowańszą osobą w całym towarzystwie była właścicielka maleńkiej i nieco odłużonej kamienicy, panna Aurelia, która z tego powodu doznawała szczególnych oznak poważania: siadała zwykle na kanapie, opierała się plecami na haftowanej poduszce, dostawała najpiękniej udany kożuszek i największą filiżankę. Była to tłusta blondynka, mało rozwinięta, lat około pięćdziesięciu, przejęta własną gognością. Uważała za rzecz właściwą, by oddawano jej pierwszeństwo, przyjmowała je, jako sobie należne, obchodząc się ze zgromadzonemi, jak łaskawa władczyni. Życie jej upływało na śledzeniu swych lokatorów, plotkach, turbacyach o komorne, a wreszcie przyjemnościach gastronomicznych, które śnać zaokrągliły jej policzki i obdarzały ją szeroko zwisającym się podbródkiem. Dopelniały zgromadzenia dwie współpracownice: panna Aniela i panna Józefa, prowadzące razem zakład introligatorski. Tych znów myśl zwróconą była jedynie na konkurencyę, jaką im czynią mężczyźni, widziały ją wszędzie i tak się przyzwyczaiły do stanu wojennego, iż we wszystkim występowały obronnie, odpierając nieustannie urojone najczęściej napaści. Narzekały przytęm ciągle—więc można było sądzić, że przedsiębiorstwo ich idzie najgorzej, przynosi im straty zamiast zysków. Jednak prowadziły je wytrwale, skarżąc się i żyjąc przytem nieźle.

Jadwinia przyglądała się zebranemu towarzystwu, któremu też przedstawioną została. Oglądano ją od stóp do głowy, od eleganckich bucików do bogatych włosów, spiętych na głowie szyldkretowemi szpilkami, według panującej mody, której urągały gładkie czesania i suknie z luźnemi kaftanikami, noszone przez wszystkie znajome panien Obrańskich. Nie należała widocznie do tego towarzystwa, i ono spoglądało na nią nieufnie. Dopiero gdy kawa zgromadziła wszystkich około zastawionego stołu, a Jadwinia, wezwana groźnie przez Praksedę, usiąść musiała na wskazaném sobie miejscu, pomiędzy panną Justyną a jedną z sióstr Burskich, ta zapytała ją nagle:

— Czém się pani zajmuje?

— Maluję na porcelanie — odparła.

— I to dużo przynosi?

Jadwinia za nic w świecie nie byłaby wyznała, jak małą sumę zarabia miesięcznie, odpowiedziała więc wymijająco, że to zależy od wykonanej roboty.

Ale panna Burska, tak samo jak Praksesta, nie zadowolniła się tą odpowiedzią.

— I czy to ludzie takie rzeczy kupują? — pytała znowu.

Jadwinia wymieniła jej parę przedmiotów, nabytych za wysoką cenę w zakładzie, w którym pracowała.

— Czyż to być może?—wołała panna Burska —

my z siostrą wyrabiamy przedmioty, każdemu potrzebne, a przecież nieraz dobrze nakłopotać się mu simy, nim je sprzedamy.

Widocznie podejrzewała prawdomówność sąsiadki.

Panna Aurelia wmieszała się do rozmowy. Miała ona kiedyś lokatora, który skupował rozmaite skrupy, czasem nawet potłuczone. Była tam jakaś wyszczerbiona filiżanka, za którą zapłacił paręset, złotych. Panna Aurelia widziała ją na własne oczy i znajdowała dużo brzydszą od tych, co im teraz służyły do kawy. Siesieszowa zrobiła uwagę, że ten lokator musiał być waryatem. Panna Aurelia nie umiała na to odpowiedzieć. Lokator ten wyprowadził się i umarł, ale ona nie słyszała, żeby był obłąkanym; musiał jednak nim być—teraz jest tylu obłąkanych, że niewiadomo, komu dowierzać.

Justyna, która czasami widziała świat przez szpary w domu krewnych, wtrąciła, iż ludzie bogaci mają rozmaite fantazyje, słyszała nawet o takich, co kupują obrazy i płacą je setkami, nie złotych już, ale rubli. Jeden znajomy jej krewnego kupił „Krowę na pastwisku pod lasem” i zapłacił dwieście rubli.

Kobiety usłyszawszy to, spoglądały wszystkie na siebie, kiwając głowami, nie mogąc przyczyny tego faktu zrozumieć. Żeby już płacić za co, ale za krowę na pastwisku; wszakże za połowę tej ceny żywą dostać można. Jedna z introligatorek narzekała,

iż właśnie tacy marnotrawcy mają pieniądze, gdy tymczasem uczciwe kobiety niczego dopracować się nie mogą, zwłaszcza, iż introligator z przeciwka odmówił im czeladnika, i nawet raz w lot na ulicy pochwycił książki do oprawy, właśnie do nich niesione. Energiczna panna Burska odgrażała się, iż w podobnym razie gwałtem odebrałaby książki, lub zaskarżyła przeciwnika do sądu. Ona z siostrą pokazałyby—co to zrobić można, gdyby tylko posiadały choć dwieście rubli kapitału obrotowego; bez niego strasznie im ciężko; muszą bawełnę na pończochy, a nawet nici i jedwab kupować po trosze, detalicznie. W sklepach zdzierają do dziesiątej skóry, a teraz takie ciężkie czasy, że ani grosza zebrać nie można...

Słowa te wywołały ogólne narzekanie. Sieleszowa wzdychała ciężko, panna Aurelia skarżyła się, że nawet lokator z pierwszego piętra zaległ w komornem i że ona nie wie, z czego zapłaci podatki; nawet panna Justyna widziała, że krewni jęj rachują się z każdym groszem, jak nigdy; nie mówiła jednak, że zapewne z tego powodu brakowało jęj najpotrzebniejszych rzeczy.

Tymczasem wypito kawę, a babę, bułki i masło zjedzono do ostatniego kawałeczka. Niektóre z kobiet powstały od stołu i rozmowa toczyła się już tylko pomiędzy rozbitemi grupami. Jedne drugim opowiadały na ucho plotki, domysły i t. p.

Panna Aurelia zwierzała się bardzo po cichu Siesleszowej, iż ma kilku konkurentów, ale nie może się zdecydować na zmianę stanu, bo mężczyźni są dziś tak zepsuci, iż żadnemu wierzyć nie można.

Panna Prakседа opowiadała znów pannom Burskim, iż nowa lokatorka zdaje się dobrą dziewczyną, słucha jej chętnie, ale jest strasznie smutna; musi się kochać, i to kochać nieszczęśliwie, bo pomimo największej baczości, nie dostrzegła, by się kto koło niej kręcił. Z tego powodu snuła najrozmaitsze domysły, a czasem nawet rzucała na Jadwinię podejrzliwe spojrzenia. Może to porzucona kochanka? Była też kiedyś widać straszną zbytnicą, bo ma tyle rozmaitych puszek, flakonów i proszków, że byłoby można, sklep z nich założyć, a ma takie mydło, że jak się niem myje, to w całym domu pachnie! Wprawdzie rekomendowały ją znane Praksedzie osoby — przecież mogły być w błąd wprowadzone...

Introligatorki — panny Justyna i Lucyna, dzieliły się wzajem różnemi ważnemi faktami, zaszlemi w zamieszkiwanych przez nie kamienicach. Introligatorki miały sąsiadów mieszkając na jednych z niemi schodach, a szczegóły ich pożycia zajmowały je niezmiernie. Wiedziały, ile mieli dochodu, ile wydają, co gotują na obiad, gdzie chodzą na spacer. Intrygował ich szczególnie młody blondyn, będący u tych sąsiadów bardzo częstym gościem. Jedna ze

wspólniczek utrzymywała, iż zaleca się do starszej córki, druga podejrzewała go o romans z matką i obiedwie miały pełno dowodów na poparcie swego twierdzenia; każda zaś tak gorąco obstawała przy swoim zdaniu, że o mało nie przyszło do kłótni.

Jadwinia tymczasem, osamotniona, stanęła przy oknie i machinalnie przez tkaninę franki przyglądała się niskim chmurom, przeciągającym po niebie.

Na dziedzińcu dały się słyszeć ochryple dźwięki katarynki, wygrywającej fałszywie odwiecznego „Trubadura”. Jadwinia cofnęła się ze wstrętem.

— Pani nie lubi muzyki — zauważyła panna Justyna, która wcale nie była tak wybredną i z widoczną rozkoszą przysłuchiwała się rozklekotanemu instrumentowi.

— Przeciwnie — zawołała — ale to przecież nie muzyka.

— Nie muzyka! Obecne spojrzały po sobie, a panna Justyna odezwała się dość cierpko:

— A cóż to jest, proszę pani?

— Parodya muzyki, hałas kaleczący uszy.

Pożałowała słów swoich, zaledwie je wymówiła. Całe towarzystwo, admirujące katarynkę, dopatrzyło w nich osobistej obrazy. Nastąpiła chwila milczenia, wśród którego dosłyszała jednak wyraźnie szept jednej z introligatorek:

— To widać jakaś księżniczka!

Rozmowa zeszła odrazu na muzykę, a raczej na katarynki, które w świecie panien Obrańskich reprezentowały ją niemal jedynie. Panna Justyna opowiadała o jakiejś prześlicznej melodi, wygrywanęj codziennie na dziedzińcu domu, gdzie mieszkali jęj krewni; Burskie znów wychwalały podwórzowego skrzypka, który, akompaniując sobie, śpiewał donośnie, a przy tęj sposobności opowiadały o marnotrawnej sąsiadce, która zawsze rzucała z okna złotówkę.

— Złotówki niezawodnie przychodziły jęj lekko, bo inaczej...

Uśmiechano się dwuznacznie, a Sieleszowa rachowała, jaką to one sumę uczynią w końcu roku.

Podobne tematy rozmowy były nie wyczerpane; kawa mogła się być przeciągnąć bardzo długo, gdyby spóźniona pora nie przypominała, że rozejść się trzeba. Kobiety były same, mieszkaly po większej części w mniej ożywionych dzielnicach, a przytęm nazajutrz każdą prawie czekała praca; żegnały się więc, obiecując sobie równie przyjemną zabawę za tydzień, przyczęm w przedpokoju jeszcze rozmawiały najmniej kwadransik, bo właśnie przypomniały sobie tysiące bardzo ważnych rzeczy, o których pomówić nie zdążyły.

Potęm nastąpiły jeszcze raz uściski i pożegnania, wreszcie goście wyszli w zwykłym porządku. Panny Burskie odprowadzały pannę Aurelię, mieszkają-

cą na tój samėj ulicy. Sieleszowa, jako bliska sąsiadka, szła z panną Justyną; introligatorki mieszkające razem, nie potrzebowały towarzystwa.

„Ci mężczyźni są jednak tak śmieli”, iż wszystkie wychodziły ze drzeniem i gotowały się walecznie od-pierać spodziewane napaści.

Gdy się drzwi za wychodzącemi zamknęły, gdy zasunięto rygle, założono łańcuchy i spuszczone na okna grube zasłony, Lucyna zajęła się sprząta-niem, przyczém obie z siostrą rozmawiały o dzisiej-szém przyjęciu.

— Nawet pannie Aurelii bardzo smakowała na-sza kawa — mówiła uradowana Lucyna — pytała się jak ją przyrządzam i gdzie kupuję tak wyborną śmietankę.

— A ty? — spytała z pewnym niepokojem Prak-seda.

— Za kogóż mnie masz, bym wydawała moje sekreta? — odparła młodsza siostra z przebiegłym uśmiechem, który nadał dziwny wyraz jój zatartym rysom — a jeszcze też pannie Aurelii! Ma przecież teraz kamienicę.

— Panna Aurelia zmieniła się od czasu, jak spa-dło na nią to dziedzictwo po wuju — mówiła po na-myśle Prakседа. — Nie podoba mi się ona teraz i nie ręczyłabym, czy za mąż nie wyjdzie.

— Za mąż! — zawołała Lucyna — za mą! za mąż!
Powtórzyła ten wyraz trzy razy z dziwną zmianą

intonacyi: zrazu było w nim znać zgrozę, potem głos jęj zmiękł, a w jego brzmieniu można było rozpoznać coś nakształt żalu, zazdrości... Stała właśnie przy stole, zbierając filiżanki i na chwilę ramiona jęj opadły bezsilnie; wpatrywała się w czerwonawe desenie serwety, jakby zarysowały się na nięj jakieś obrazy niewidzialne dla innych.

— Jest tak głupią—ciągnęła dalej stara panna—nie widzi, że starający się myślą tylko o jęj kamienicy...

Siostra spojrzała na nią mętnemi oczyma, w których teraz zapaliły się jakieś blaski, niby iskry w źle wygasłym popiele.

— Czy jesteś tego pewna? — zapytała.

— A ty o tém wątpisz—zgromiła ją surowo starsza — ty, po tém, czegoś doświadczyła?!..

Lucyna spuściła drgające powieki, jakby siostra dotknęła dawnęj, niezgojonęj rany; stała przez chwilę bez ruchu, z zamyśleniem bolesném na twarzy, na którą nagle wystąpiły dwie krwiste plamy rumieńca; wreszcie głębokie westchnienie wydobyło się z jęj piersi i stała się znowu automatem ludzkim, spełniającym bezmyślnie codzienne zadanie.

Prakseda przechadzała się po pokoju wzburzona.

— Och! te kobiety! — zawołała. — Czy myślisz, że nie przenikam was do głębi? wy wszystkie pragniecie tylko być ludzone; wasza cnota idzie z musu;

wszystkiebyście postąpiły, jak Aurelia, gdyby spa-
dła na was, jak na nią sukcesya.

— Każdemu przecież należy się trochę szczę-
ścia — wtrąciła nieśmiało Lucyna.

— A co? nie mówiłam! — wybuchnęła Prakse-
da. — Wszystkie jesteście jednako głupie, jednako
łatwowierne. Wpadłybyście wszystkie w sidła uwo-
dzicieli, którzy chcą tylko waszych pieniędzy lub uro-
dy. Wszystkie, wszystkie...

Chciała coś więcej mówić, ale powstrzymała się,
może przez wzgląd na Jadwinię, może z przeświad-
czenia, że słowa jej będą bezskuteczne; tylko brwi
jej zbiegły się, usta przycięły, nadając całej twarzy
jeszcze energiczniejszy, niż zwykle, wyraz.

Wieczór upływał monotennie. Jak zwykle—w nie-
dziele nie pijano już herbaty, gdyż tę po kawie uwa-
żano za zbytek. Praksesta wzburzona chodziła po
pokoju, Lucyna wydobywszy stare potłuszczone karty
kładała pasyansa, a Jadwinia w tej chwili spoczynku
i ciszy uczyła niezwalczoną niezem pustkę. Nie—do
tego otoczenia ona nigdy przywyknąć nie zdoła!

Myśl jej biegła do rodzicielskiego domu, odpo-
czywała w wykwintnej jego atmosferze, tuliła się do
Marceli. Czy ona bardzo była zagniewana? Co ro-
biła w tej chwili: czy rozumiała, że ona nie mogła
postąpić inaczej? I widziała obok niej prezesa! ten
niebieski portfel, który rzucał jej na oczy rumiany
obłok wstydu. Potem myśl jej pobiegła w inną stro-

nę. Czy też pan Gustaw rozumiał, jak ona była biedną, czy nie zarzucałby jęj braku siły, energii, hartu? Wszakże nieraz narzekała, że wychowanie, jakie odebrała, czyniło ją niezdolną do podjęcia na własną rękę walki o byt, że zmuszoną była jakim bądź kosztem pozostać w tych warunkach, w jakich przebywała dotąd. Ona chciała złamać ten fatalizm. Ale czy zdoła to uczynić? Drobna dłoń, na której wspierała czoło, drżała, powieki zachodziły łzami, obejmowało ją coraz większe przerażenie wobec przyszłości—nie czuła się na siłach jęj podołać. Och! gdyby tak mogła zasnąć i nie obudzić się więcej, nie widzieć tego wstrętnego pokoju i nie być zmuszoną żyć życiem obecném...

— O czém że to? — zagadnęła ją niespodzianie Prakseda, której wysoka postać zatrzymała się nagle przy nięj.

Tego było za wiele! Niedość, że nie miała kąta własnego, chwili samotności przez dzień cały, jeszcze miała spowiadać się z myśli? Podniosła ociężale na pytającą rozmarzone źrenice.

— O czémże? — powtórzyła nakazująco stara panna.

— O niczém — odparła machinalnie.

— To źle. Myśleć trzeba zawsze o czémś i to o czémś pożyteczném. Prózne marzenia do niczego nie doprowadzą. Niedziela nie jest dniem pracy, ale

pomodlić się można, to daleko pożyteczniej, niż śnić z otwartemi oczyma, bo wówczas to przychodzą sny najgorsze.

Słowa te uderzyły Jadwinę.

— Masz pani słuszość — wyrzekła łagodnie.

Nie poprzestając na tém, ukłękła przy łóżku i zaczęła odmawiać modlitwy, potem zasunęła firanki i położyła się. Czy jednak zdołała odpędzić marzenia? Prakseda nie pytała.

Obietnica Stanisława odszukania Jadwini okazała się bezskuteczną. Prezes, który ze swęj strony, widząc lzy Marceli, użył wszystkich środków i wpływów, ażeby ją odnaleźć, nie zdołał tego uczynić. Sądzono, że Jadwinia wydalila się z Warszawy; szukano jej na prowincyi, a ona tymczasem pod obcém nazwiskiem była bezpieczną na ulicy Białej, w mieszkaniu starych panien.

Marcela rozpaczała tém srożej, iż w głębi duszy sobie samęj przypisywała nieszczęście siostry. Życie zagarniało ją swym prądem, niosło w przepaść, a ona już z niem nie walczyła. Wychodziła mało, raz jednak idąc z bratem, spotkała panią Kalicką, która szybko odwróciła głowę, przypatrując się pilnie sklepowej wystawie, ażeby uniknąć możliwego ukłonu. Mogła wszelakoż sądzić, że stało się to przypadkiem. Nieco dalej jednak szła naprzeciw

niej tym samym chodnikiem sędzina Ożycka. Ta nie użyła żadnego fortelu, ale wprost zmierzyła Marcelę od stóp do głowy, jak osobę nieznaną zupełnie.

Stanisław uczuł, jak ręka siostry zadrżała konwulsyjnie.

— Wróćmy — szepnęła, osuwając się na ramię jego półmartwa.

Dnia tego prezes zastał Marcelę we łzach, a przyczyny ich taić przed nim nie myślała; przeciwnie czuła w tém pewną ulgę, iż mogła wybuchnąć, wypowiedzieć swe cierpienia przed człowiekiem, który ostatecznie był ich sprawcą.

Prezes wcześniej, czy później spodziewał się podobnego wybuchu. On wiedział doskonale, i to od dawna, co świat mówił o jego stosunku z Marcelą. Obmowa wprawdzie uprzedzała fakty, ale obmowa ta była mu sprzymierzeńcem: Marcela musiała się dowiedzieć, iż wobec ludzi nie ma już nic do stracenia, a on oczekiwał téj chwili.

Nie widywano go teraz prawie zupełnie w towarzystwach, w rodzinie nawet pokazywał się na bardzo krótko, a żona tłumaczyła go nawałem zajęć. Słuchano tłumaczenia, uśmiechając się skrycie, pomimo to prezesowa powtarzała je z niezachwianą powagą.

Podwładni uważali znów, iż zwierzchnik złagodniał, zmiękł, chętnie przychyłał się do próśb, jak to zwykle czynią ludzie zadowoleni, że często zamysłał

się nagle, a w biurze bawił tyle tylko czasu, ile tego konieczność wymagała.

Nietylko wieczory spędzał teraz u Marceli, ale od czasu wydalenia się Jadwini znajdował zwykle w południe jeszcze jaką wolną chwilę, ażeby powiedzieć jęj dzieńdobry, przerwać samotność.

Ona zwykle przyjmowała go z rumieńcem na twarzy, a łzy nawet, jakie wylewała za siostrą, osychały na jego widok i zmieniały się w uśmiech.

Ale w dniu, w którym się zdarzyło owo podwójne spotkanie Marceli z Ożycką i Kalicką, prezes zastał ją tak pogrążoną w rozpacz, iż nawet jego wejście nie rozchmurzyło jęj czoła, nie zabarwiło bladej twarzy.

— Stało się, co stać się musiało — pomyślał.

Siedziała z głową pochyloną i wyciągnęła do niego rękę, jak rozbitek tonący do tego, co mu ratunek podać może. Łagodna jęj natura cierpiała, ale nie miała żalu do sprawcy cierpień.

— Och! — zawołała—Jadwinia miała słusność, że dom ten porzuciła; zrozumiałam to aż nadto dobrze!

Prezes milczał, wziął tylko jęj ręce i tulił do ust.

— Odnajdziemy ją — wyrzekł wreszcie — zesłałem zapytania na wszystkie strony.

— Nie — szepnęła gorączkowo Marcela. — Ona tu wrócić nie powinna. Świat jest za nadto zły. W jego oczach ja jestem zgubioną.

Wypowiedziała te słowa szukając u niego opieki i obrony.

— Tak jest—pochwycił, trzymając ciągle w swoich jęj ręce. — Świat jest zły, jest niesprawiedliwy, ale tylko dla tych, którzy go się lękają, którzy drżą przed jego wyrokiem. Natomiast schyla głowę przed tymi, co mają odwagę śmiało stawić mu czoło, rzucić mu rękawicę i wyzwąć przesady jego do walki.

— Jakto! — spytała, nie rozumiejąc go dobrze.

— Świat, jak wszystko, co podle, depce pokornych, a szanuje silnych. Czy sądzisz pani, że te kobiety co śmieją odwracać się od ciebie, uczyniłyby to, gdybyś szła wsparta na mojem ramieniu? Czy sądzisz, że ja obronić cię nie potrafię?

Żrenice jęj zapaliły się nagłą nadzieją.

— Och!—zawołała—potrafisz gdy tylko zechcesz.

— A więc nie płacz — szepnął obejmując lekko jęj kibić — zaufaj mi; wiesz, jak cię kocham.

Skłoniła głowę na jego ramię ze spojrzeniem konającej lani, na ustach jęj wykwitł uśmiech szczęścia.

— I oddasz, mi ster swego losu? — pytał namiętnie.

— Och! tak! — szepnęła.

Była w jego rękach złamana, nieszczęśliwa, kochająca; pochylił się ku jęj ustom i złożył na nich pierwszy pocałunek. Nie miała siły go odtrącić.

Przymknęła oczy i zarzuciła mu ramiona na szyję, jak dziecię rozżalone, szukające obrony.

Nie dał on jęj żadnej wyraźnej obietnicy, ale ona chciała ją widzieć w jego słowach. Chciała wierzyć, że on uczyni z niej swoją żonę, że postawi ją wysoko w oczach tego potępiającego świata.

Od tej chwili mniej myślała o Jadwini, mniej nagliła by, ją szukano. Czowała, iż pomiędzy nią a siostrą była teraz zaporą, której nic już usunąć nie mogło.

Stało się znowu, co stać musiało.

A tymczasem życie Jadwini wlokło się jednostajnym torem, coraz cięższe, coraz trudniejsze do zniesienia. Rano szła do pracowni i pozostawała tam dzień cały, a że panny Obrańskie nie mogły dla lokatorki zmienić trybu życia, jadła obiad odgrzewany, lub nie jadła go wcale. Wiosna i zmienna jęj pogoda źle na nią działała. Jadwinia całe życie była delikatna, a przytęm przyzwyczajona do wygod i starań, których jęj na raz zabrakło. Marcela zawsze otaczała ją troskliwością niezmierną. W dni słotne nie pozwalała jęj wychodzić, lub, jeśli wyjść musiała, pilnowała, by ubrała się ciepło. Jeśli zaś zmokła lub przeziębła, kazała jęj zaraz przyrządzać gorącej herbaty, baczyła na najłżejsze cierpienie i starała się je usuwać.

Jadwinia nigdy nie potrzebowała myśleć sama o sobie — a teraz nie dbał o nią nikt. Raz po dniu marcowej zawiei obudziła się z mocnym kaszlem;

nie zważając na to chodziła wciąż do pracowni, choć wieczorami miała dreszcze i gorączkę. Sypiała źle, czuła się osłabioną, ale pomimo to nie zostawała w domu.

Odtąd było coraz gorzej.

— Pani coś bardzo kaszle — robiła jęj uwagę Prakseda.

— To nic — odpowiedziała.

Nie przyszło na myśl pannom Obrańskim wezwać doktora. Najprzód doktor był to mężczyzna, a potem porada lekarska w ich świecie uważaną była za coś nadzwyczajnego i tylko obłożna choroba upoważniała podobny wydatek. Któżby zaś udawał się po doktora z powodu tak zwyczajnej rzeczy, jak kaszel: są przecież na to środki domowe!

Zresztą panny Obrańskie podjęły się pomieszczenia i żywienia lokatorki, bronienia jęj enoty, ale nie czuwania nad jęj zdrowiem. Pomimo to, Prakseda nagotowała jęj lukrecyi ze ślazem i gniewała się bardzo, iż Jadwinia nie mogła zdobyć się na wypicie od razu tego szkaradnego napoju. Nie przestając na tém ubiła jęj raz nawet żółtko z cukrem, przez wzgląd na jęj wybredną naturę, chociaż za jajko płaciła pięć groszy. Dowodziła przytęm, iż środki przez nią podane, są daleko skuteczniejsze od wszelkich leków aptecznych. Jednakże, pomimo to, Jadwinia kaszlała coraz więcej, a wieczorem miała na twarzy wypieczone rumieńce.

Z powodu tego kaszlu, nie była nawet na niedzielnej kawie u pani Sieleszowój, ani u panny Aurelii, która o nią łaskawie zapytywała; bo gdy przyszła niedziela i niepotrzebowała koniecznie dźwigać się do roboty, odpoczywała z rozkoszą, i gdy panny Obrańskie szły do swoich przyjaciółek, ona, rozciągnięta na łóżku, mogła przynajmniej marzyć swobodnie.

Chociaż zgorączkowana, zboląta, osłabiona, czuła w sercu napływ nadziei, a w myśli jej, na przekór chorobie, gościły same radosne obrazy.

Wyobrażała sobie powrót Gustawa i ten dzień szczęśliwy, kiedy wsparta na jego ramieniu opuści na zawsze ten smutny, ponury dom, te zacieśnione horyzonty, spojrzy pełnemi oczyma w błękit, w światło, będzie się w nie mogła wpatrywać swobodnie. Nietylko nie wątpiła, że to nastąpi wkrótce, ale nie przypuszczała przeszkód, ani trudności żadnych.

Przyszłość rozwijała się w jej myśli, niby wstęga złocista, pełna cichych radości, ukochania, szczęścia.

Wśród tych marzeń widziała także Marcelę, ale Marcelę bez skaz i błędów—Marcelę taką, jaką była niegdyś. Bo, rzecz dziwna, im cięższą była rzeczywistość, tem więcej wolnym od troski wydawał się dzień jutrzejszy. Zapominała nawet, że były rzeczy niepowrotne, których nie z życia usunąć nie mogło; wszystko bez wyjątku było w jej oczach łatwem

i dlatego znosiła bez szemrania swoją dolę, myśląc o tej szczęśliwej przyszłości.

A dola to była ciężka. Codziennie z większą trudnością poruszała zmęczone członki, codziennie temu jęć brakowało, gdy szła po wschodach, codziennie droga do pracowni wydawała się jęć uciążliwszą, codziennie też oczy jęć podkrażone nabierały większego blasku, pleć stawała się przezroczystsza, rumieńce żywzsemi, codziennie suknie zapinały się luźniej, a kaszel rozdzierał jęć piersi.

Prakseda spoglądała na nią z boku i kręciła głową. Nie wierzyła ona w doktorów, ani w lekarstwa, ale rozumiała, że z lokatorką jęć było źle bardzo i lękała się kłopotów, wydatków, przykrości, nieodłącznych od choroby i śmierci.

To też powiedziała bez ogródki Jadwini, żeby od miesiąca szukała sobie innego pomieszkania.

Było to dla niej prawdziwym ciosem... Gdzie i kiedy szukać miała, gdy siły wypowiadały posłuszeństwo? Próbowwała pytać o przyczynę; Prakseda wyznała bez ogródki, iż kaszel spać im przeszkadzał.

— Ja przecież zawsze kaszlać nie będę— tłumaczyła się, pełna owych złudzeń, będących niekiedy jednym z symptomatów jęć choroby — niechno zrobi się ciepło.

Stara panna miała na ustach wyraz niemiłosiernej prawdy, powstrzymała się jednak.

— To wówczas do nas powrócisz—wyrzekła—
teraz trzeba się leczyć.

Powtarzano jęj to w pracowni.

— Ależ ja wcale chorą nie jestem — odpowiadała, dziwiąc się tym radom — jestem tylko trochę osłabiona...

Choroba przecież nurtowała ją i rozwijała się z przerażającą szybkością i, zanim ten miesiąc, po którym wyprowadzić się miała od panien Obrańskich, upłynął, raz, gdy powracała z pracowni, zrobiło jęj się słabo, oparła się o ścianę domu i czekała chwilę usiłując daremnie dech złapać. Uczuła nagle gorącą falę, wzbierającą w jęj piersi, zakaszłała, krew strumieniem rzuciła się jęj z ust i padła bez zmysłów na bruk uliczny. Gdy otworzyła oczy, nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, ani co się z nią działo. Nie miała siły się poruszyć, a świat zewnętrzny przedstawiał się jęj, jakby w jakiejś mgle niewyraźnej, wśród której majaczyły jęj miejsca i postacie nieznanne. Nad sobą widziała jakąś łagodną twarz kobiecą, objętą białym sztywnym kornetem.

W tęg chwili usłyszała jakieś kroki i ktoś stojący przy jęj łóżku zawołał:

— Czy być może? to panna Jadwiga!

Głos ten słyszała kiedyś. Chciała spojrzeć, kto wymówił jęj imię, z wysileniem obróciła głowę i poznała młodego doktora, który niegdyś był częstym gościem w ich domu.

Chciała coś powiedzieć, ale nie miała siły, a przytém dano jęj wymowny znak milczenia, kładąc palec na ustach.

Dziwnym fenomenem, twarz młodego doktora obudziła w nięj cały szereg myśli, z których wykluczone były ostatnie tygodnie życia, panny Obrańskie i wszystko, co się z niemi wiązało. Pamiętała tylko dom rodzicielski, Marcelę, pod której opiekę dostać się pragnęła.

Tam tęż młody lekarz dał znać natychmiast o tēm, co się stało. Wiadomość ta spadła na Marcelę w chwili, gdy w jęj miękkim sercu nowe wrażenia zacierały boleść, sprawioną ucieczką siostry. Oswajała się ze swoim położeniem, robiła przygotowania do podróży, którą miała odbyć z prezesem, marząc ciągle o tēm, że jego żoną zostanie.

Więść o chorobie Jadwini spadła na nią niby uderzenie gromu, a gdy siostrę przeniesiono ze szpitala i położono na jęj łóżku w sypialni, stanęła nad niēm półmartwa z boleści.

Lekarz zrozumiał odrazu, iż nie było żadnej nadziei, i dał to jasno poznać Marceli. Choroba oddawna nurtowała ten młody organizm, a dziś rozpoczęła się już praca, niczēm niepowstrzymana, śmierci.

Marcela sprowadzała najbieglejszych lekarzy. Jak często bywa w przedostatnich chwilach, choroba nadała Jadwini piękność złowrogą. Oczy powiększyły

się wśród wychudłej twarzy, pleć zawstydzała alabaster, a blask źrenic, rumieniec policzków, żywy karmin ust, złudzić mógł niedoświadczonych.

— Czyż to być może, by nie było już żadnej nadziei?—pytała siostra z rozpaczą.—Ona taka młoda!

Niestety, odpowiedziano jej jednogłośnie, iż suchoty młodych tém szybciej zabijają, a życie Jadwini liczyło się już nie na miesiące i tygodnie, ale na dnie.

Szczęściem chora tego nie czuła. Gorączka podniecała marzenia, żyła nadzieją jutra, które dla niej nie istniało. Wszystko w jej głowie układało się szczęśliwie wedle pragnień. Pan Gustaw nie mógł jej wziąć za złe, iż leczyła się w domu. Panny Obrańskie dłużej trzymać jej nie chciały, a zresztą Marcela niezawodnie była obmówioną. Teraz w domu wyzdrowieje szybko, co dzień sądziła się zdrowszą, pan Gustaw skończy instytut technologiczny, dostanie dobre miejsce, ożeni się z nią. Trzeba było nawet myśleć o wyprawie. I myślała też o niej nieustannie, chciała ją zrobić bardzo oszczędnie, miała tyle dawnych sukien, trzeba je było tylko przerobić. Teraz, po tych zabójczych zimnach, które stały się ostatecznym powodem jej choroby, zaświeciło jasne, wiosenne słońce, a Jadwinia zaczęła nagle troszczyć się bardzo o to, co włoży, skoro doktor wstać jej pozwoli. Nie miała wcale siły podnosić się z łóżka, ale mówiła ciągle, że wstanie jutro. Zapragnęła

gwałtownie mieć szlafroczek z białego kaszmiru, przybrany czarnym aksamitem, jak do żałoby przystało. W ten szlafroczek ubierze się, gdy przyjedzie pan Gustaw i rachowała dnie do jego przyjazdu.

Szlafroczek czempredzėj kazała zrobić Marcela i położyła go na krześle obok łóżka, ale Jadwinia nie ubrała się w niego nigdy, nie doczekała przyjazdu Gustawa.

Umarła, uśmiechniona nadziejami w cichy wieczór majowy, gasnąc z ostatnim promieniem słońca. Śmierć jej była lekka, przysła wśród marzeń szczęścia, cicha jak sen, nie ukazawszy ofierze swojej widmowego oblicza; zabrała ją, jak dziecię spracowane, bezsilne do walki życia.

Dla Marceli był to cios straszny, ona do ostatniej chwili ludzi się chciała. Prezes nie odstępował jej prawie w pierwszych dniach, a chcąc rozerwać jej żal, naglił do podróży.

W biurach prezesa wrzał teraz ruch spowodowany bliskim wyjazdem pryncypała, a on sam pracował z gorączkową szybkością. Rozstrzygał jedne po drugich interesy, przychodzące pod jego decyzję, dawał jedne po drugich instrukcje, jasne, zwięzłe, stanowcze—gdy zastukano do drzwi prowadzących z jego gabinetu w głąb apartamentów, i to zastukano w sposób świadczący, iż ten, kto to czynił, miał prawo wejść bez żadnych formalności.

Prezes podniósł głowę z widoczném zdziwieniem, potem zerwał się pobiegł ku drzwiom, zamienił słów parę ze stukającą osobą, pośpiesznie odprawił jednego z urzędników, któremu właśnie dawał jakieś zlecenia, potem dopiero otworzył drzwi, a w nich ukazała się nie żadna tajemnicza osobistość, ale sama prezesowa, której, co prawda, nie widywano nigdy w biurach męża.

To, co świat mówił o stosunkach domowych tej pary, nie było wcale widoczném w sposobie, jakim się wzajem powitali. Prezes przyjął żonę z wytworną grzecznością, bez zakłopotania, jakby nie miał powodu lękać się jej kontroli i nie popełnił żadnej z tych win, które zwykle najmniej rachować mogą na przebaczenie kochającej małżonki.

— Czy rozkażesz mi przejść do swoich pokojów? — zapytał z galanterią.

— Wszystko jedno — odparła — mam ci powiedzieć słów parę, byle nas tutaj nikt nie słyszał.

Prezes wskazał jej z uśmiechem podwójne drzwi gabinetu przystające tak szczelnie, iż tłumiły wszelki głós; najciekawsze i najbystrzejsze ucho nie mogło nic pochwycić z tego, co tu mówiono. Wszakże w gabinecie tym rozgrywały się nieraz interesa pierwszorzędnej wagi, wymagające tajemnicy.

Gdy żona zajęła miejsce na jednym z foteli oddalonych od biurka, prezes usiadł też przy niej.

Prezesowa, choć podobno w jednym wieku z mę-

żem, wydawała się znacznie starszą, bądź to z powodu powagi oblicza, usposobienia, czy też kilkorga dzieci, które wychowywała z niezmierną troskliwością. Pomimo głośnego stosunku prezesa z Marcelą, nie wyglądała wcale na osobę rozgniewaną, mającą ochotę i prawo zrobić scenę; on zaś nie zdawał się jęj obawiać. Przeciwnie, zapytał przyjaźnie:

— Czém służyć ci mogę?

Ona przez chwilę patrzyła w oczy jego z nieokreślonym wyrazem.

— Wieść niesie, że wyjeżdżasz do Szwajcaryi, czy Włoch, Eustachy — wyrzekła wreszcie.

— Nie sądziłem, że cię to obchodzi — odparł — zresztą wiesz dobrze, iż nie wyjechałbym nigdy, nie pożegnawszy się z tobą.

— Wieść niesie, że nie wyjeżdżasz sam. Och, bądź spokojny! nie będę się mieszała do twoich sercowych tajemnic, ale ponieważ wieść dodaje wiele innych rzeczy, chciałabym ci przypomnieć naszą umowę.

— Nie dałem ci do tego prawa — wyrzekł z pewnością żywością. — Miałbym doprawdy ochotę zapytać: odkąd to kobieta, tak rozumna, jak ty, pozwala, by donoszono jęj plotki?

Uśmiechnęła się bez gniewu, może trochę smutnie...

— Czy to są zupełnie bezpodstawne plotki? — spytała z odrobiną złośliwości.—Zresztą mniejsza—

wchodzić w to nie będę; ale wiem—wiem na pewno, że tam rachują na rozwód i na małżeństwo.

— Ja o tém nie wspomniałem nigdy — zawołał — pamiętam, com ci winien.

Nie zaprzeczała, ale i nie zdawała się téż być w zupełności przekonaną o prawdzie słów jego.

— Są wypadki — rzekła znowu — w których obiecuje się więcej, niż się chce i może dotrzymać.

— To byłoby nieuczciwie!

— Hm! są rozmaite rodzaje uczciwości, a uczciwość mężczyzn względem kobiet nie należy podobno do wyborowych. Jest to jednak kwestya poboczna, której rozbierać nie myślę. Nie chcę wchodzić w twoje stosunki z innymi kobietami, Eustachy, ale tylko w twój stosunek ze mną.

Położyła szczególny nacisk na ten ostatni wyraz.

On milczał, więc po chwili mówiła dalej:

— Gdyśmy się pobrali, będzie temu blisko lat piętnaście, byłeś wówczas jeszcze bardzo młody, świetny, poszukiwany, a ja... ja znałam świat. Rodzice nasi życzyli sobie tego związku, a ty nie zaniedbałeś niczego, ażeby mnie przekonać, iż życzysz go sobie także.

On chciał jęj przerwać, prawdopodobnie zaręczył, że kochał ją i kocha dotąd.

Ona znów zrobiła ruch proszący, by jęj mówić pozwolił.

— O! ja wierzyłam, a najlepszy dowód: iż je-

stem twoją żoną. Ale powtarzam, znałam świat, wiedziałam, jakie otaczać cię będą pokusy. Mogłam się ważyć na stratę twego serca, to obchodziło mnie jedną; ale nie na rozerwanie rodziny, skazanie dzieci na sieroctwo. I wtedy to przysięgam, że w dniu, w którym inną pokochasz, wrócę ci tę wolność, wystarczającą wam mężczyznom, a ty przysięgłeś mi wzajem, że związek nasz będzie nierozwalnym, dopóki ja sama nie dostarczę ci powodów zerwania. Czy masz mi co do zarzucenia? czy nie dotrzymuję święcie punktów umowy?

— Maryo! jesteś wzorem...

— Nie mam w tém wielkiej zasługi — przerwała trochę smutno. — Pozwalam na to, czemu przeszkodzić nie mogę. Ale piękniebyśmy wyglądały, my, żony bogatych mężów, gdybyśmy za każdą miłostką miały drżać o nasze stanowisko, gdybyśmy były na łasce serc waszych.

W tych słowach wybuchnęła gorycz tajona. Uczuła to sama i powstała szybko z uśmiechem trochę wymuszonym.

— Daruj mi, Eustachy, czułam się w obowiązku przypomnieć ci...

— To zbyteczne; królowa jest zawsze królową, władczynią nienaruszalną.

Skłonił się przed nią nisko, może z odrobiną ironii.

— Zwłaszcza — dodał — że kontrakt ślubny obwarował jęj prawa.

— Ojciec mój uważał, iż przeciw namiętnościom obwarować się trzeba. Ja ufałam twemu słowu.

Podala mu rękę drobną, ale suchą, rękę kobiety zdeterminowanęj; on złożył na nięj konwencyonalny pocałunek, pełen szacunku.

— A teraz nie przeszkadzam ci — mówiła dalej — przed podróżą masz pewno wiele spraw do załatwienia. Nie potrzebuję życzyć ci dobrej zabawy. Zresztą zobaczymy się jeszcze.

Odeszła. Ale po jęj odejściu prezes nie zaraz odzyskał zwykłą równowagę. Nie zastanawiał się nad tēm, zkąd jego żona tak dobrze uwiadomiona była o rodzaju stosunku jego z Marcelą. Nie obiecywał jęj wprawdzie nigdy tego, czego dotrzymać nie mógł, ale uczucia jego wychodziły po za ramy zwyczajnej miłości; kiedy zaś porównywał z ukochaną tę stanowczą, wyrachowaną kobietę — czuł dobrze, iż tamta ze swą miękką, łagodną naturą, ze swęm nieograniczonęm zaufaniem, była dla niego właściwszą towarzyszką i gdyby to było w jego mocy...

Marcela jednak o tēm nie wiedziała i w parę dni później, przyobleczona w grubą żalobę po siostrze, w towarzystwie osoby, wynalezionęj przez prezesa, która zajmowała miejsce pośrednie pomiędzy damą do towarzystwa, a sprytną subretką, wyjeżdżała do

Wiednia, gdzie prezes miał się na drugi dzień z nią połączyć.

Brat ją odprowadzał. Była to dla obojga przykra chwila, tembardziej, że o tój porze trudno nie spotkać na dworcu znajomych.

Sawińscy przyjechali późno i zaraz Stanisław poprowadził siostrę do osobnego przedziału pierwszej klasy, który dla niej był zamówiony.

Wsiadła do wagonu ze swą towarzyszką, Stanisław zatrzasnął drzwi i spoglądał na szybę, po za którą widać było jój delikatny profil. Doznawał dziwnego uczucia, jak gdyby sam prowadził ją do zguby i głos jakiś tłumiony odzywał mu się w duszy, zapytując: „coś zrobił z siostrą twoją?”

W tydzień potem Marcela i prezes kołysali się w gondoli po wielkim kanale Wenecyi. Noc wiosenna, noc jasna, lazurowa, rzuciła swój płaszcz na królowę Adryatyku, pokrywała jój rany, uwydatniała piękności i czyniła podobną do zaczarowanej krainy marzeń. Piazzetta gorzała światłem, po kanale wielkim mknęły, jak widma, czarne gondole, a na nich pochylone nad wiosłem rysowały się sylwetki gondolierów, podobnych do posągów Sansovina. Miarowo pluskały wiosła, czasem głos dzwięczny zanucił jaką pieśń miłosną. Miłość zdawała się unosić na cichych falach, drząc w powietrzu, kołysać gondolą...

Marcela spoglądała wokoło rozmarzona, a gon-

dola kierowała się przed hotel Europejski, spoglądający na kanał maurytańskimi oknami i balkonami, pełnemi rzeźb misternych.

Marcela była w stanie trudnym do opisania. Działał na nią czar włoskiego nieba i cudnego miasta, działał czar pierwszych chwil miłości. Zbolała, smutna, garnęła się w objęcia prezesa, jakby chciała zapomnieć w nich o wszystkiém, co przeszła, co jój groziło. Bluszczowa ta natura potrzebowała wsparcia i upajała się na chwilę szalem miłości. Ale były to tylko chwile. W głębi jój duszy odbywał się głos nieuśpiony niczém i oskarżał ją. Ona to, jój postępowanie, jój hańba była pierwszym powodem śmierci Jadwini, która odczuła ją tak silnie, iż ważyła się na wszystko, byle jój nie podzielać.

Jój hańba! Chwilami nie mogła uwierzyć własnemu położeniu. Więc to ona, ona, dumna Marcela Sawińska, córka nieposzlakowanego ojca, była tu sama z obcym człowiekiem, na jego łasce... była jego kochanką. I człowiek ten miał żonę, dzieci, obowiązki!

Na tę myśl przechodził ją dreszcz mroźny, zapytywała samęj siebie: jak to stać się mogło? rozszerzały się jój źrenice z przerażenia, jakby czuła, iż stacza się coraz głębiej w jakąś przepaść bezdenną. Nie mogła zerwać w jednej chwili z przywyknieniami życia całego, z pojęciami, wszczepionemi od

dziecka, których w głębi duszy wyznawać nie przedstawiała.

Gdyby przynajmniej na swoje usprawiedliwienie miała jedną z tych namiętności, które, jak huragan, niweczą wszystkie przeszkody! ale namiętności nie doznała i może nawet doznać nie była zdolna. Chwilami z przerażającą jasnością zdawała sobie sprawę z własnych uczuć. Kochała prezesa: ale jaką rolę w tej miłości grała obrażona duma, źle pojęta miłość własna? ile kochała w nim człowieka, ile dostatek jakim ją otaczał? tego rozwikłać nie była w stanie, a nie śmiała zapytać siebie: czy kochałaby go, gdyby był ubogim...

Jeśli te myśli napastowały ją, gdy była sama, łamała ręce w bezsilnej rozpacz, przebiegała pokój, jak szalona, i byłaby chciała roztrzaskać białe czoło o mury, byle uciec przed niemi. Jeśli przyszły w jego obecności pozostawała blada i niema ze słowem urwanem na ustach, dłonie jej stawały się lodowatemi, a mętne źrenice nie ożywiały się pod ogniem jego spojrzeń.

Prezes zapewne rozumiał, co wówczas działo się w jej duszy, bo o nic nie pytał, tylko otaczał ją silniej ramieniem, a pocałunkiem zamykał usta, które może skarżyć się chciały.

Uspakajała się. Po tém przychodziło jej na myśl że on mógł jednym słowem zniweczyć jej trwogi, złagodzić rozpacz i że tego słowa nie wyrzekł nigdy.

Pragnęła z nim mówić o swoim położeniu, a na to zawsze brakło jej odwagi. Przeczuwała, że nie usłyszy tego, czego pragnęła i wołała już pozostać w niepewności.

Gondola zatrzymała się przed jasno oświetlonymi stopniami hotelu. Wsiadł z niej prezes i podał rękę Marcelli, z tą wyszukaną troskliwością, z jaką podaje się rękę kobiecie ukochanej. Ona wsparła się na nim i za chwilę postać jej zarysowała się w całym wdzięku, podniesionym strojem wykwintnym. Czarna suknia z czarną koronkową zarzutką rysowała jej piękną kibić, czarne rękawiczki po łokcie okrywały drobną rękę, a złote włosy i olśniewająca białość twarzy odbijały od złotego kapelusza, który skrzył się cały w blaskach gazowych płomieni.

Podobna kobieta wszędzie, o każdej porze, zwraca uwagę i zwracała ją też. Kilku mężczyzn znajdujących się przy wejściu, zatrzymało się, ażeby na nią patrzeć. Nagle z piersi jednego z nich wyrwał się krzyk stłumiony: „Marcela!”

Spojrzała i oko w oko spotkała się z Ryszardem.

Jakim sposobem znalazł się tutaj, na jej drodze—w chwili właśnie, kiedy wysiadała z gondoli i szła wsparta na ramieniu prezesa? Niech na to odpowie złośliwy przypadek, nieraz stawiający wprost siebie ludzi, którzy najmniej pragną spotkania, a mylący kroki tych, co się wzajem szukają.

Rzecz była bardzo prosta; Czercza zachorował. Nie przechodzi się bezkarnie tego wszystkiego, co on przeszedł ubiegłej zimy; doktorzy wysłali go do jednego z leczniczych zakładów w górach Karyntyi. Niespodzianie pomyślnie zakończony interes dostarczył mu na to środków. Po kilkotygodniowej kuracji zrobił wycieczkę do Wenecyi, stanął w tym hotelu, oblanym wodami wielkiego kanału, i znalazł się przy wejściu, w chwili właśnie, gdy powracał prezes z Marcelą.

Opanował szybko pierwsze wzruszenie; płomień, który przebiegł po jego twarzy — znikł. W jednej chwili zrozumiał położenie, zmierzył zimnem, pogardliwem wejrzeniem tę kobietę, którą niegdyś kochał szalenie, tego człowieka, którego propozycję dziś rozumiał w zupełności, i odwrócił się, nie czując w obowiązku nawet zaszczyścić ich najlżejszym ukłonem.

Ona stała, jakby gromem rażona, przed oczyma obecnych, służby hotelowej, kryjącej lekceważące uśmiechy pod maską urzędowej powagi, gdy prezes, oprzytomniawszy pierwszy, pociągnął ją w głąb hotelu.

Wpół martwa, dała powodować sobą. Wprowadził ją na wschody do salonu, który łączył ich pokoje. Przez roztwarte na oścież drzwi balkonu wpływały fale powietrza, i złoty księżyc, żeglując w pełni po szafirze nieba, zaglądał w okna, wy-

cięte w maurytańskie ostrołuki, i stał na ziemi słupy światła.

Marcela weszła tu automatycznym krokiem. Usta jej były ścięte, tylko widać było w jej oczach rozszerzonych osłupienie rozpaczy. Tak stała przez chwilę, nagle błysnęła w jej głowie myśl jakaś; złożyła ręce i załamała je nad czołem.

Prezes przeklinał sam siebie, iż nie dowiedział się naprzód, kto mieszka w hotelu, iż nie miał Czerczy na oku i nie kazał go śledzić. Przychodziło mu na myśl, że on przedsięwziął tę podróż umyślnie, ażeby urągać jej i jemu. W innej chwili byłby zmusił każdego do uszanowania kobiety, której ramię podał, ale tu lękał się wywołania skandalu. Znał dość Czerczę, aby wiedzieć, że był to człowiek zeterminowany na wszystko, któremu nawet miliony, jakie on posiadał, nie zdołały zaimponować, i wrzał tłumionym gniewem, a wrzał tém więcej, im bardziej Marcela była zgnębiona tém spotkaniem.

Stała teraz przy gotyckim oknie, odcinając się czarno na tle lazurów, w postaci podobnej do posągu boleści, piękna, jak marzenie.

— Marcelo! — zawołał, zbliżając się do niej i obejmując jej kibić rękami. — Marcelo!

Na razie on, tak zręczny, nie znajdował słowa, którémby ją mógł pocieszyć, i chciał zastąpić je pieszczotą. Ona nie broniła się, ale nie zdawała się odczuwać jego uścisku; była, jak martwa, a oczy jej

spoglądały tak, jakby obce były temu wszystkiemu, co ją otacza.

— Marcelo! — powtarzał, okrywając ją pocałunkami.

— Czy tak ma być zawsze?—szepnęła przez zaciśnięte zęby.

— Kochać cię będę zawsze! — zawołał w najlepszej wierze, powtarzając znikome przysięgi, któremi uspakajał już tyle kobiet.

Może nie usłyszała go, nie zwróciła uwagi na te słowa, tyle razy przez nią samą słyszane.

— Czy zawsze — powtórzyła silniej — ludzie mają się odemnie odwracać z pogardą?...

— Marcelo! uspokój się, posłuchaj mnie...

Nie była zdolna tego uczynić, powtarzała te same wyrazy z monotonią rozpaczy.

Położyła mu ręce na ramionach, jakby chciała przejrzyć myśli jego do głębi.

— Czy zawsze? mów, czy zawsze?...

Przed tym wzrokiem prezes spuścił powieki.

— To nieszczęśliwe spotkanie — wyrzekł—więcej się nie powtórzy, przysięgam. Wyjedziemy stąd jutro, dziś jeszcze, zaraz...

Zrozumiała, że było to wszystko, co mógł dla niej uczynić.

— Ja tego nie zniosę — krzyknęła, wysuwając się z ramion jego, które opasać go chciały.

Chodziła po pokoju coraz prędzej, jak to czynić zwykła w chwilach nadzwyczajnego wzburzenia, przyciskając konwulsyjnie załamane dłonie do czoła i powtarzając jak szalona, monotonnym głosem:

— Nie zniosę! nie zniosę! nie zniosę!

Prezes nie wiedział co ma począć. Scen podobnych, szczerych i udanych, widział w swém życiu wiele, kończyły się one zwykle potokami łez, które on był w obowiązku osuszyć pocałunkami, do pocałunków dodając bądź jaką brylantową bransoletę, bądź sznur pereł, bądź pewną liczbę tęczowych papierków, stosownie do okoliczności i osoby. Marcela nie mogła różnić się w zupełności od innych kobiet; oczekiwał więc chwili, w której rozpacz zacznie topić się we łzy. Ale oczekiwał na próżno. Ona powtarzała ciągle to samo. Raz jeszcze zbliżyła się do niego, raz jeszcze spojrzała w oczy.

— Eustachy! — zawołała — przysięgam ci, że tego nie zniosę.

Zrobił gest rozpacz, jakby na świadectwo, że jest tutaj bezsilny. Scena ta, przewidywana może, męczyła go nad wyraz. Pragnął pocieszyć Marcelę jak najprędzej, byle pocieszyć się dała.

— Więc nie! — szepnęła jeszcze, sama do siebie, jakby opanowała ją myśl nowa.

I zanim prezes mógł zrozumieć, co robi, jak strzała pobiegła na balkon, przechyliła się po za ka-

mienną balustradę i znikła mu z oczu, a złowrogi plusk fali obił mu się o uszy.

Krzyk straszny wydobył się z piersi prezesa. Wołał ratunku.

Gondolierzy, czekający na pasażerów, zobaczyli już upadek ciała. Jeden z nich w mgnieniu oka rzucił ubranie i wskoczył w wodę, nie czekając na zachęty i obietnice, których prezes nie szczędził.

Poszukiwania długo nie trwały, wyciągnięto z wody Marcelę, ale wyciągnięto już trupa. Czy zabił ją upadek z wysokości balkonu, czy kilka minut przebytych pod wodą, dość, że ratunek okazał się daremny. Spoczęła na smutnym cmentarzu weneckim, zdala od siostry i ojca, pod obcym niebem, wśród obcych.

A Stanisław! Los ostatniego z dzieci szczęścia nie był lepszym od losu sióstr.

Niedawno pisma codzienne zamieściły następującą wiadomość:

„Wczoraj, przy ulicy Nowy-Świat, u pana X., miało miejsce przykre zajście. Z powodu imienin gospodarza, zebrało się grono przyjaciół, którzy zabawiali się grą w karty. Niezwykłym szczęściem odznaczał się Stanisław S., nie tylko wygrał znaczne sumy gotówki, ale kilku z obecnych przegrało drugie tyle na słowo.

Szczyście, które stale dopisywało graczowi, zwróciło już od pewnego czasu uwagę, a nawet nasuwało podejrzenia. Tego wieczoru więc zaczęto go śledzić bacznie i schwymano w chwili, gdy wykonywał niezmiernie zręczną wolte.

S., syn znakomitego prawnika, za życia ojca znany był w szerokich kołach naszego miasta, uczęszczał do najlepszych towarzystw, był niegdyś urzędnikiem jednej z finansowych instytucji. Oszusta oddano w ręce policyi.”

Nie trudno się było domyślić, kim był ów Stanisław S.

Odtąd zniknął on z horyzontów towarzyskich, a dziejów jego życia szukaćby trzeba w archiwach kryminalnych.

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-700 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F

2160